

CO ZYSKALIŚMY W BRUKSELI?

Nie otworzyłem szampana
– prof. Krasnodębski po szczycie Unii



Arcybiskup Ryś – zaufany
hierarcha papieża Franciszka

TYGODNIK LISICKIEGO

DO

NR 31/384 27 LIPCA–2 SIERPNI 2020

CENA 7,90 zł (W TYM 8% VAT)

RZECZY



ZIUTEK SPOD „PARASOLA”
– POWSTAŃCZE LOSY
AUTORA PIOSENKI
„PAŁACYK MICHŁA”



Przewodnik „Do Rzeczy”:
13 najpiękniejszych
zamek w Polsce



NADAMBASADOR

Dlaczego Georgette Mosbacher
tak protekcjonalnie traktuje Polskę

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Sensacyjny wywiad
z weteranem Powstania
Warszawskiego**

Tomasz Stańczyk – **1920: wojna cywilizacji**

Maciej Rosalak – **Jak Polacy złamali szyfry bolszewików**

Iain Ballantyne – **Podwodna klęska Hitlera**

Arkadiusz Karbowski – **Najemnicy w Kongo**

Jakub Ostromięcki – **Rzeź białych na południu USA**

Rafał Ziemkiewicz – **Falszerstwo Grunwaldu**

Sławomir Cenckiewicz – **Ulica imienia agenta**

Piotr Zychowicz – **Niemiecka masakra na Krecie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Era samokrytyki

Pamiętam, jakie wrażenie robiły na mnie zdjęcia z komunistycznych obozów reedukacyjnych, kiedy to dawni burżuazyjni i wrogowie ludu pojawiali się tam z odpowiednimi tabliczkami przedstawiającymi ich winę, na przykład z prostym i prawdziwie bolszewicko-szczerym wyznaniem: „Jestem kapita-listyczną świnią”. Zawstydzanie, publiczna samokrytyka to stałe mechanizmy, którymi posługują się rewolucyjni wychowawcy. Przez zewnętrzne napiętnowanie do wewnętrznej przemiany – tak brzmi ich recepta na powstanie nowego człowieka. Potępienie nie dotyczy przede wszystkim czynów, ale właśnie poglądów lub raczej przed sądów – zespołu opinii i przekonań, w których człowieka wychowano. Żeby się ich ostatecznie wyzbyc i żeby w miejsce dawnego człowieka przywiązanego do tradycyjnej moralności stworzyć prawdziwego homo novus, potrzeba środków radykalnych. Poniżenie, degradacja i samokrytyka są gorzkim, ale w ich oczach koniecznym lekarstwem, chroniącym też przed nawrotem choroby.

Dziś ich potomkowie myślą i postępują podobnie. Chociaż nie mogą już posyłać opornych

do obozu, posługują się równie skuteczną metodą psychicznego szantażu i zastraszenia. Jak w praktyce wygląda tworzenie nowej tożsamości, dobrze pokazały w Polsce dwa przykłady.

Pierwszym była publiczna samokrytyka złożona przez redakcję „Nowej Fantastyki” za to, że opublikowała ona opowiadania Jacka Komudy, wyśmiewające środowiska LGBT. On sam doskonale opisał, jak do tego doszło: zaczęło się od protestów grupki internetowych aktywistów, którzy wzajemnie się podniecając, stworzyli pierwszą falę uderzeniową. Następnie oburzenie przeskoczyło na niektórych współpracowników i autorów pisma, aż wreszcie dotarło do wydawców. Ci, jak rozumiem, przerażeni utratą pieniędzy wymusili na redaktorach publiczne uderzenie się w piersi. Cóż, ja po złożeniu takiej samokrytyki nie mógłbym sobie spojrzeć w twarz, ale redaktorzy „Nowej Fantastyki”, jak widać, potrafią.

Bardzo podobny przebieg miała reedukacja osób zarządzających Kompanią Piwowarską. Jej grzech polegał na tym, że była jednym ze sponsorów gali Człowieka Roku „Gazety Polskiej”, podczas której tytuł odebrał abp Marek Jędraszewski. Przy okazji wyborów

prezydenckich w Polsce przypominał o tym niemiecki portal Noizz.de, ogłaszając, że wynik wyborów w Polsce może „zaszkodzić prawom LGBT”. To natychmiast pobudziło niemieckich aktywistów do wyrażania oburzenia i wezwania do bojkotu polskiego piwa. Akcja, tak jak w przypadku „Nowej Fantastyki”, przyniosła właściwy efekt. Kompania Piwowarska złożyła samokrytykę: „Przepraszamy za stworzenie wrażenia, że wspieramy ruch anty-LGBT w Polsce poprzez przekazanie w lutym tego roku naszych produktów na galę »Człowiek Roku«. [...] Nigdy nie było to naszą intencją”, a następnie zapowiedziała poprawę i zadośćuczynienie: „po tym incydencie” Kompania, której właścicielem są zresztą Japończycy, zweryfikowała „polityki sponsoringowe” i wzmocniła „wewnętrzne procesy akceptacji działań, aby mieć pewność, że są one zgodne z wyznawanymi przez nas wartościami”. Cały ten bełkot, niestety na trzeźwo, to inaczej właśnie zmodernizowana, tęczowa wersja dawnej komunistycznej samokrytyki.

Pierwsze zagony rewolucji już do Polski dotarły. Można być pewnym, że gdyby nie panujący układ polityczny, takich aktów samokrytyki i żenującego samoponiżenia mielibyśmy znacznie więcej. Liczba polskich tchórzy i karierowiczów, którzy dla zachowania stanowiska i pieniędzy gotowi są powiedzieć i zrobić wszystko, pełzając u stóp szantażystów i merdając ogonkiem, odpowiada średniej statystycznej z innych państw. Nie mam złudzeń.

Jak z tym walczyć? Oczywiście odwagi i nonkonformizmu wymuszyć się nie da. Można jednak śmielej podjąć walkę z rewolucjonistami. Wskazywać mechanizmy wymuszania i piętnować tych, którzy dali się złamać. ©©

RYSUNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

12 MACIEJ PIECZYŃSKI
NADAMBASADOR

Dlaczego Georgette Mosbacher tak protekcyjnie traktuje Polskę

KRAJ

16 ROZMOWA
Z PROF. ZDZIŚŁAWEM KRASNODĘBSKIM

NIE OTWORZYŁEM SZAMPANA

Polskę atakują hunwejbini lewicowej rewolucji

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NOWA TOTALNOŚĆ

22 TOMASZ ROWIŃSKI
RZECZNIK REWOLUCJI

24 PIOTR SEMKA
ARCYBISKUP RYŚ NA FALI

28 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
NOWE KŁOPOTY „PANA TIK-TAKA”

KULTURA

30 JERZY MIZIOŁEK
PAMIĘĆ NA WŁOSKIEJ ZIEMI
Upamiętnienie Bitwy Warszawskiej

32 PIOTR GOCIEK
**PIEKŁO
NA ATLANTYKU**

39 GRZEGORZ KONDRASIUŁ
MEDYCyna TO ZŁO

NIE PRZEGAP

34 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

40 PAWEŁ SZAŁAMACHA
CO RZĄDOWE, A CO SAMORZĄDOWE?
Państwo potrzebuje zmiany

42 ŁUKASZ WARZECHA
**STOP BZDUROM,
CZYLI MICHAŁ I MAŁGOSIA**

HISTORIA

44 ROZMOWA
Z MAŁGORZATĄ CZERWIŃSKĄ-BUCZEK
ZIUTEK SPOD „PARASOLA”
Powstańcze losy autora
piosenki „Pałacyk Michła”

46 ŁUKASZ CZARNECKI
ŚWIAT KWIATÓW I WIERZB

ŚWIAT

52 PIOTR WŁOCZYK
REWOLUCJA KAŚA WŁASNE DZIECI
Lewica kontra lewica

56 GABRIEL MICHALIK
MONASTER ŚWIĘTEGO STALINA

EKONOMIA

60 JAKUB WOZINSKI
ZMIANY W VAT NA RATUNEK
Czas na obniżkę podatków

62 ŁUKASZ ZBORALSKI
ELEKTRYCZNA PREMIERA

64 JACEK PRZYBYLSKI
MILIARDERZY W CZASACH ZARAŻY

PODRÓŻE

68 RADOŚŁAW WOJTAS
TROPEM NAJPIĘKNIEJSZYCH ZAMKÓW
Przewodnik „Do Rzeczy”

LATO Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM



74 WOJCIECH CEJROWSKI
RURA OS (STARA RURA)
Preria w Arizonie. Siedzimy w naszej
kowbojskiej knajpie. Posłuchajcie...

O ZDROWIU

76 KATARZYNA PINKOSZ
**BIORĘ TABLETKI,
DZIAŁAM, ŻYJĘ**
SM: choroba tysiąca twarzy

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (7), KOWALCZUK (8), GMYZ, GOCIEK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (50), PRZYBYLSKI (55), GABRYEL, WARZECHA (67), KOMUDA (80), ZALEWSKI, MAKOWSKI (81), KUCHARCZYK (82)

Drodzy Czytelnicy!

W tym tygodniu apel byłych opozycjonistów i represjonowanych. Korespondencję elektroniczną do redakcji prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Apel byłych opozycjonistów i represjonowanych

Rzadko kiedy Polska i Polacy mogli i mogą poszczycić się odnotowanymi w historii wygranymi bataliami. Rzadko kiedy takie batalie znajdują odpowiednie uznanie w pamięci samych Polaków, w opinii i działaniach rządzących, nie mówiąc już o przełożeniu na forum międzynarodowym. A jednak mamy czym się poszczycić. I to w czasach nieodległych.

Jest to zwycięstwo Solidarności, co przypominamy w przededniu jej 40-lecia. Najpierw była opozycja demokratyczna. Powstawała w niewielkich grupach, z czasem łączących różne środowiska:

Jednak rewolucje łatwo zapominają o swoich bohaterach. My, którzy poświęciliśmy kiedyś swój czas, a czasem zdrowie, pracę, karierę zawodową, aby budować podstawy pod obalenie komunizmu, przeszliśmy już na renty lub emerytury albo niebawem przejdziemy. Wśród nas są koleżanki i koledzy, często osoby schorowane, niezamożne, samotne, bez środków na życie, na opiekę medyczną, na lekarstwa, na rehabilitację. Owszem, niektórzy dostali nawet odznaczenia, ale medale czy ordery nie nakarmią ani nie wyleczą, a także nie przyniosą odpowiedniej rekompensaty za znacznie obniżone świadczenia emerytalno-rentowe.

Ustawa z dnia 20 marca 2015 r. o działaczach opozycji antykomunistycznej oraz osobach represjonowanych z powodów politycznych tym, którzy byli represjonowani, czyli zamykani w więzieniach, pozbawiani pracy lub prawa do wykonywania zawodu, którzy świadczyli pracę na rzecz nielegalnych organizacji i związków, gwarantuje uwzględnienie

tych okresów do uzyskania prawa do świadczeń emerytalnych. Jednak z powodu nieuwzględnienia w przepisach Ustawy o emeryturach i rentach z FUS istotnego faktu, że nie było możliwe odprawianie wtedy za nas składek, finalny efekt okazuje się kpiną z naszego środowiska, gdyż wysokość świadczeń emerytalno-rentowych za te okresy wynosi 0,00 zł. To tylko jedna

z wad ustawowych odnoszących się do naszego środowiska.

Dlatego pozwalamy sobie zaapelować do władz, wszystkich władz.

Pozwólcie nam, naszym koleżankom i kolegom na godną starość. Pozwólcie nam otrzymywać godne renty i emerytury. Pozwólcie nam godnie przeżyć jesień naszego życia oraz nie odchodzić w niedostatkach i w zapomnieniu. Apeluje my może po raz pierwszy, ale na pewno po raz ostatni. Potem już nie będziemy mieli sił.

A może i już nas nie będzie.

26 czerwca 2020 r.

**PEŁNA LISTA OPOZYCYJONISTÓW, KTÓRZY
PODPISALI LIST, NA STRONIE DORZECZY.PL**



wierzących i ateistów, ludzi o prawicowych i lewicowych przekonaniach, robotników i inteligentów, świeckich i księży, studentów i pracujących. Powstawały nielegalne wydawnictwa, które w dużych nakładach wydawały książki i prasę. Dlatego też w 1980 r. wszyscy, razem z protestującymi robotnikami, świadomie tworzyliśmy szeroki ruch społeczny. Nie zabił go stan wojenny, a to, co Solidarność pokazała, było dla społeczeństw innych krajów totalitarnych inspiracją do obalenia nieludzkich systemów. Po naszym 4 czerwca 1989 r. niebawem padł mur berliński, Rumunia obaliła tyrana, potem były ZSRS, Czechosłowacja, Bułgaria, Albania. Blok sowiecki przestał istnieć.



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziembkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowski,
Sławomir Cendekiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Choś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel,
Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowski, Wojciech Roszkowski,
Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torąński, Szwach Weiss, Piotr Włoczek,
Marcin Wolski, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska,**
Małgorzata Puzyr, Sandra Skibińska, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotopodpisy: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz,**
Agnieszka Wasilewska
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztofa**
Okładka: **Małgorzata Genca/Polska Press/East News**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rylkaczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 58 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detailed ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością
karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Gra jest wszystkim

W dzisiejszym świecie masowej komunikacji władza interpretacji decyduje o wszystkim. Nikt nie czeka na złożone analizy, zniuansowane oceny. Nic dziwnego, że po najdłuższym szczycie unijnym w Brukseli Mateusz Morawiecki ogłosił sukces. Pochwalił się zarówno wysokością wynegocjowanych sum, jak i tym, że nie doszło do „bezpośredniego” powiązania przyznawania środków unijnych z oceną stanu praworządności w krajach unijnych. Niemal na zasadzie automatu opozycja zaczęła wytykać, że pieniądze mogło być więcej. Wskazywano też, że szef Rady Europejskiej Charles Michel oraz szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen podkreślają, że budżet powiązano jednak z praworządnością.

W kolejnych dniach obie strony wyszukiwały wypowiedzi i opinie potwierdzające ich wersje wydarzeń. Z początku większy problem miała opozycja. Sporo liberalnych gazet od „New York Timesa” do „Süddeutsche Zeitung” ogłosiło, że Polacy i Węgrzy ograli wszystkich i mogą triumfować. Gdy premier Morawiecki pokazywał takie ty-

tuły z sejmowej trybuny, przyszła zmiana linii i zaczęto ogłaszać, że ani Warszawa, ani Budapeszt nie mogą być pewne „bezkarności”.

Jak wybrnąć z tego chaosu? Wnioski ze szczytu podzielimy na trzy punkty.

Po pierwsze, Morawiecki wywalczył dla Polski naprawdę sporo. Razem z Konradem Szymańskim operowali w Brukseli z ogromną swobodą, a siły Wyszehradu nikt już nie lekceważy. Biorąc jednak pod uwagę, że fundusz powstał z myślą głównie o najbardziej pogruchotanych koronawirusem – Włochach, Hiszpanach i Portugalczykach – mamy za co niebiosom dziękować.

Po drugie, w kwestii wiązania środków z praworządnością w ramach kompromisu wynegocjowano dla złagodzenia oporu Orbána i Morawieckiego bardzo wieloznaczny zapis. Od tego są w końcu spece od paragrafów – umieją znajdować „last minute” kompromisowe formuły gaszące na jakiś czas unijne kryzysy. Kiedy Berlinowi i Paryżowi będzie zależało, by przyciąć coś Polsce, dyplomaci chwycą się własnej interpretacji zapisów.

Tym samym sama zasada powiązania środków z praworządnością przeszła. Jedyne pytanie, jak duże koalicje trzeba stworzyć, by takiego bata użyć. O tym, czy zapisy zostaną użyte do osaczenia Polski i Węgier, zadecydują determinacja Paryża i Berlina oraz zrzeczność naszych dyplomacji.

I trzecia uwaga. Nie czarujmy się – kraje Unii wykonały kolejny krok ku ujednoliceniu Europy. Ma rację publicysta „Nowej Konfederacji”, gdy pisze, że „głównym wygranym przyjętego porozumienia wydaje się sama koncepcja federalnej Europy – do której prowadzi wspólnotowanie długu, bezpośrednie transfery środków czy rozbudowa zasobów własnych Unii”.

Wszystko będzie więc w przyszłości pochodną stanu gry w łonie Unii. Gdy będziemy słabi, będą w stanie nas ugodzić. Gdy będziemy silni, każdy się trzy razy zastanowi, zanim nas zaczepi. Gdy wygra niezdolna do samodzielnej gry z najważniejszymi graczami Platforma, tej pałki nie trzeba będzie używać, bo „grzecznych” nie trzeba strofować. ©©

Gra jest wszystkim.

76. ROCZNICA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

W ramach obchodów rocznicowych Muzeum Powstania Warszawskiego przygotowało m.in. spotkanie powstańców warszawskich z prezydentem RP Andrzejem Dudą i prezydentem Warszawy (30 lipca). 1 sierpnia o godz. 17 ruszy zaś w stolicy akcja społeczna „Wolność łączy”. Tego dnia wieczorem będzie też koncert „Warszawiacy śpiewają (nie) zakazane piosenki”. Pełny program na stronie muzeum: 1944.pl. (luz) ©©

O powstaniu także na stronach 44 i 50



HISZPAŃSKA SOLIDARNOŚĆ

Lider hiszpańskiej partii Vox Santiago Abascal zapowiedział utworzenie we wrześniu związku zawodowego o nazwie „Solidaridad” na cześć polskiego ruchu Solidarność. Związek ma nie tylko bronić praw pracowniczych, lecz także „służyć walce z lewicową ideologią rządu Sáncheza i potężnymi interesami globalizmu”. Ma stać się odpowiedzią obywatelską – oznaczać przynależność do wspólnej sprawy, obronę narodowej gospodarki, małych firm i osób samozatrudnionych. (mw) ©©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Polska augsburska

Niestety, nikt nie podchwycił mojego postulatu, żeby dla przegrywających wybory lewicowo-liberalnych „elit” zorganizować zawczasu jakieś grupy wsparcia psychologicznego, jak na przykład czyni się to w cywilizowanych krajach dla poddanych traumom pola walki żołnierzy. Niestety, salony zostały z traumą kolejnego odrzucenia same, co owocuje rozlicznymi aberracjami – wezwaniami do bojkotu polskiej żywności, kolejną falą bezsilnego straszenia: „Oj, bo wyjadę z tego kraju” etc.

Do najpoważniejszych należy postulat „landyzacji” Polski. Skoro przegrywamy Polskę jako całość, to oddajcie nam przynajmniej te miasta i regiony, w których wygrywamy. Postulat taki głoszą nie tylko

internetowe anonimy – Antoni Podolski, były wiceminister spraw wewnętrznych i szef RBC, opublikował w „Wyborczej” taki właśnie artykuł pod znaczącym tytułem „Polska Republika Federalna”. Śmiertelnie poważnie, choć rzecz sprawia wrażenie prima aprilis.

Aberracyjne, a zarazem niezwykle typowe dla ludzi stale mówiących o demokracji jest zwłaszcza to, że za „swoje” uważają oni te regiony, w których ich partia wygrywa tylko na niewielkim obszarze lub niewielką przewagą. Z lubością zamalowują na mapkach żółtym kolorem np. województwo śląskie, choć przewaga Rafała Trzaskowskiego wyniosła tam raptem 20 tys. głosów. Zgodnie z logiką „obozu demokratycznego” te 20 tys.

wystarczyłoby, aby jako zwycięzca wziął on tam wszystko. Przegrani Ślązacy-PiS-owcy, jak się im nie spodoba, mogliby sobie wyjechać do innych „landów”, na Podkarpacie albo Mazowsze.

W istocie nie chodzi więc wcale „opozycji totalnej” o model znany z RFN, o żadną „landyzację”, ale o zasadę tzw. pokoju augsburskiego, który zakończył niemieckie wojny religijne: „Cuius regio, eius religio”. Czyje królestwo, tego religia. Z demokracją, wypisywaną przez opozycję na sztandarach, nie ma to nie wspólnego.

Ktoś może zauważyć, że idea, która – mówiąc Podolskim – pozwoliła Niemcom „żyć w podzielonym państwie”, pochodzi sprzed pięciu stuleci. Ale cóż, niejedyny to przykład, że postęp często wymaga cofnięcia zegara. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Żadnych awantur!

Minister rodziny, pani Marlena Małąg, zapowiedziała 16 lipca, że rząd „przygotowuje się do wypowiedzenia konwencji stambulskiej” i że możemy na to liczyć, „kiedy zostanie to skonsultowane z ministerstwem sprawiedliwości”. Na słowa pani minister zareagował dzień później wiceminister Marcin Romanowski, wyjaśniając, że Ministerstwo Sprawiedliwości już „od dawna jest przygotowane do rozpoczęcia [takich] prac”. A gdy minął kolejny dzień, pani minister oświadczyła, że decyzja o deratyfikacji „jeszcze nie została podjęta” i że ciągle „trwają w tej sprawie analizy”. Sytuacja jest więc, krótko mówiąc, niejasna.

Od analizy wewnętrznej stanowiska pani minister łatwiejsza jest jednak jego heurystyka, analiza zewnętrzna. Otóż pierwsza wypowiedź pani minister, o wypowiedzeniu genderowej konwencji, padła w telewizji Trwam. Druga, że nie jest pewne, czy wypowiedzenie nastąpi – w Polskiej Agencji Prasowej. Niewątpliwie więc na obie różne opinie miały wpływ nieco różne oczekiwania odbiorców.

Ale skoro tak, to po prostu oczekiwania formułujemy. Tydzień temu pisałem, że nie ma sensu w tej chwili zastanawiać się, dlaczego międzynarodowy pakt na rzecz gender nie został do tej pory wypowiedziany. Przyszłości nie zmienimy, możemy zmienić przeszłość. Chociaż jednak nie warto

w tej chwili się wgłębiać w powody, dla których było, jak było, trzeba brać pod uwagę wyjaśnienia, które wielokrotnie słyszeliśmy.

Za każdym razem, gdy władza uzasadniała swe zaniechania w dziedzinie cywilizacji życia i praw rodziny, powtarzała: „Atakują nas ze wszystkich stron”, „Już dość mamy otwartych frontów”. Dzisiaj więc widzimy, że im więcej – począwszy od wojny o Trybunał – tych frontów otwierano, tym bardziej zamykano możliwości przeprowadzenia zmian naprawde ustrojowych. Jeśli więc miałyby nastąpić teraz, to pamiętajcie o jednej zasadniczej dyrektywie: dajcie szansę rodzinie, a poza tym – żadnych awantur, panie i panowie! ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Dzień Kota

W Paryżu, podobnie jak w całej Francji i wielu państwach na całym świecie, 15 sierpnia jest dniem wolnym od pracy z okazji Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. To jedno z najstarszych świąt maryjnych, obchodzone od wieków. Ludwik XIII w 1638 r. ustanowił w tym dniu święto narodowe i tak jest do dziś. 15 sierpnia to także patronalny dzień słynnej paryskiej katedry Notre Dame – Naszej Pani.

Jednak od sześciu lat Paryż ma inną patronkę, superpostępowkę i apostołkę politycznej poprawności, burmistrznię Anne Hidalgo, która w chrześcijańskich świętach najwyraźniej nie gustuje. Nie jest jasne, czy to na polecenie postępowej damy na oficjalnej stronie władz miejskich Paryża na liście świąt, w które urzędy są zamknięte, pod datą 15 sierpnia zapisano jako powód „Święto Kota”. Notabene, jak sprawdziłem, we Francji Dzień Kota przypada 8 sierpnia, a Międzynarodowy Dzień Kota świętowany był w lutym. Niemniej jednak to, że ani pani Hidalgo, ani nikt z jej podwładnych nie sprostował i nie przeprosił, znaczy jedno:

władze Paryża całkowicie się z tym zapisem zgadzają.

Nie ma też najmniejszych wątpliwości, że wygłup był małpią złośliwością pod adresem katolików, czyli 43 mln Francuzów, z których 3 mln są praktykujący. A przecież kardynałna zasada religii politopu mówi, że z religii kpić nie wypada. W Paryżu najwyraźniej stosowana jest asymetrycznie. Być może chodzi jedynie o tchórzostwo. Wszak kpiny z islamu w przypadku satyrycznego pisma „Charlie Hebdo” skończyły się tragicznie. Sfanatyzowani brodacze zamordowali 12 członków redakcji.

Niemniej jednak pani Hidalgo przegoniła bożonarodzeniowe jarmarki z Champs Élysées jako „nieodpowiednie w tym wyjątkowym miejscu”. Z siedziby władz miejskich znikły tradycyjne szopki. Z drugiej strony burmistrzini co roku świętuje zakończenie ramadanu, który – jak powiada niewiasta – „jest świętem francuskiego dziedzictwa kulturowego”. „Uległość” Houellebecqa kłania się w pas. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Mielisimy tu tak budkę, ale...



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Watażkowie i dyktatorzy bezprawia

Wyборы były i minęły, ale emocje nie opadły. Niektórzy zdążyli w ciągu dwóch tygodni przejść z pozycji profrekwencyjnych do zanegowania ich rezultatu. „Nasz niedzielny wybór nie będzie pewny. Władza, która od 5 lat przejmuję sądy, może próbować wybory unieważnić. [...] Ale właśnie dlatego trzeba iść i głosować. Kiedy głos Narodu będzie doniosły, trudniej będzie go uciszyć. Bądźmy więc głośni” – pisał prof. Marcin Matczak pod koniec czerwca. Niestety, głos narodu wybrzmiał nie tak, jak powinien.

„To były najbardziej nielegalne wybory w historii Polski po 1989 r. Mówiłem o ich rażącej niekonstytucyjności w Senacie na miesiąc przed I turą, więc proszę mi nie pisać, że protestuję, bo wygrał PAD. Protestuję przeciwko bezkarności władzy i pogardzie dla prawa – bo tak trzeba” – doprecyzował post factum Matczak.

Nie on jeden dał się tak nabrać. „W niedzielę 12 lipca wybory strażnika Konstytucji. Tak wiele zależy od tych jednych wyborów. Tak wiele zależy od Nas. Idźmy głosować!” – pisał na przykład dr Mikołaj Małecki z UJ. Po głosowaniu przekonywał: „Co miałyby się jeszcze wydarzyć, by Sąd Najwyższy stwierdził nieważność wyboru prezydenta? Ex lege: wybory bez podstawy prawnej, w niekonstytucyjnym terminie, po niekonstytucyjnych zmianach prawa wyborczego, bez kandydata z wymaganym poparciem 100k podpisów... Wybór nieważny, to jasne”.

Podobnie wyglądała sytuacja w sprawie unijnego szczytu, na którym wypłacane środki miały być uzależnione od przestrzegania mechanizmu praworządności. „UE mówi wprost: kiedy jesteś w naszym klubie gentlemanem – korzystasz. Kiedy psujesz powietrze i nie pozwalasz otworzyć okna – tracisz. Proste, uczciwe” – tłumaczył subtelnie ten proces Jarosław Kuźniar. Gdy jednak okazało się, że zapis jest, ale nie da się go skutecznie egzekwować, nawet ostatni wierni położyli krzyż na Unii. „Czyli jednak UE zrezygnowała z powiązania praworządności z funduszami. Dzięki temu watażkowie i dyktatorzy bezprawia rozwiną skrzydła, a wartości spłyną rynsztokiem. Skoro Polacy sami wybrali sobie łamacza konstytucji, to krzyżyk na drogę. Pa, pa” – pożegnał się z internautami Przemysław Szubartowicz. ©©

Mamy dla państwa miłą wiadomość. Wszyscy pewnie odczuwacie lekkie zażenowanie, że Sławku Nowaku ksywka Lolo Pindolo miał się schylić po marne półtorej bańki. Otóż to tylko czubek góry lodowej. Można powiedzieć, że obecne zarzuty to jak posadzenie Ala Capone za podatki. Materiał, który zgromadziło CBA, jest znacznie obfitszy i co ciekawe, zaczął być zbierany jeszcze za minionego reżimu.



FOT. ROBERT GARDZINSKI

dwaj panowie g

Zapowiadamy też szybką kontynuację programu Cela+. Nie wszystkich można wyciągać z łóżka o szóstej rano, bo niektórzy mają immunitety. Dwa wnioski o uchylenie czekają w prokuraturze na wysyłkę. Podobno będzie bardzo ekumenicznie, więc powody do radości będą mieli zarówno Eine Totalopposition, jak i rządzący.

Co ciekawe, inne, dalsze planowane pobudki mogą doprowadzić do sporych przetarasowań na liście najbogatszych Polaków. Cóż, i my lubimy od czasu do czasu ujrzyć dużego misia w kajdanach. A jako że jesteśmy też przyjaciółmi zwierząt, to zamiast misiów wolimy w kajdanach oligarchów.

No i znów zostaliśmy trendsetterami. Najpierw wszyscy po nas powtarzali, że do odstrzału jest minister sportu, teraz powtarzają, że zniknie z rządu także miła pani od funduszy regionalnych, której nazwiska nikt nie pamięta. My jednak chcielibyśmy wrócić do sportu, bo tam kryje się tajemnica ostatnich elitarystycznych wybryków niejakiego Rudego, czyli Zibiego Bońka.

Zatem wyjaśniamy. Jednym z powodów, dla których pani minister sportu ma przechlapanie w rządzie, jest to, że Rudy Zibi Boniek okręcił ją sobie wokół palca. No i przekonał do zgody na wydłużenie mu kadencji o rok. Dzięki temu Zibi pojedzie wciąż jako prezes PZPN w przyszłym roku brylować na zaległym Euro 2020. Niby nic w tym złego, ale Zibi poczuł się tak pewny, że przestał już udawać symetrystę i zaczął nawalać publicznie w dudaelektorat. Poczekajcie, aż mu się skończy kadencja, szykuje się Tomasz Wołek bis.

Skoro o rekonstrukcji. Może nie uwierzycie, ale mimo ogłoszenia przyszłej dymisji przez Jacka Czaputowicza nie ma pewnego kandydata na stanowisko nowego szefa dyplomacji. Dwóch by chciało. To znaczy Krzysiek Szczerski i Kondzio Szymański. Problem w tym, że nie mają za wysokich notowań na Nowogrodzkiej. I przez dwa tygodnie w tej sprawie nic się nie zmieni, bo Naczelnik Państwa udał się na naprawdę zasłużony urlop.

Na urlop za to nie pojedzie premier Mateusz. Ktoś w końcu musi pilnować sklepu. Najbliższe wolne premiera planowane jest na listopad. Zatem już po kongresie, na którym zostanie wiceprezesem PiS.

Apropos premiera. Znany ze wstrzemięźliwości, przestrzegania postów oraz innych miesięcy abstynencji Mateusz dał się złamać na szczycie unijnym i zaczął pić coca-colę. Efekt był straszliwy: nie mógł zasnąć, nawet kiedy była okazja, by zmrużyć oczy na całe dwie godziny. Tyle bowiem trwały szczytowe przerwy na sen.

Ciekawa wiadomość zza kulis negocjacji. Im bardziej skąpcy europejscy i fetyszyści praworządności w sosie

brukselskim nawalali w Polskę i Węgry, tym bardziej przysparzali nam sojuszników. Liczba krajów, które zorientowały się, że mogą być glanowane w podobny sposób, wzrosła niepomniernie. Dziękujemy wam, eurokraci!

Tymczasem w Polsce. Sąd Najwyższy został zasypany protestami wyborczymi. Musimy jednak ostudzić nadzieje opozycji, która liczy, że sędziowie się nie wyrobią i Andrzej Sebastian nie obejmie 6 sierpnia urzędu. Znakomita większość protestów to tzw. copy/paste, które da się rozpatrzyć zbiorczo jako jeden. Poza tym nie czarujmy się – jak po wyborach prezydenckich w 1995 r. poradzili sobie z ok. 500 tys. protestów, to te 5 tys. to mały pikus.

Gazety ekscytują się informacją, że w planie prac Sejmu nie ma na razie wyboru nowego Rzecznika Praw Obywatelskich, więc Adam Bodnar forever. Informujemy: ciszej jedziesz, dalej zajedziesz. Kwestia nowego rzecznika jest przedmiotem intensywnych negocjacji. Nie, o dziwo, nie w Senacie, który musi klepnąć kandydata, a gdzie większość ma Eine Totalopposition. Otóż negocjacje trwają w episkopacie.

Wsumie nie powinno to nikogo dziwić, bo skoro Polska jest już tą teokracją, katodyktaturą i dudastanem, to dlaczego nie? Przy okazji odpowiadamy, dlaczego nie toczą się w Senacie. Otóż wiewiórki opowiadają, że są w grze kandydaci, którzy już mają poparcie i episkopatu, i paru senatorów spoza Zjednoczonej Prawicy. Więc jak przyjdzie co do czego, to będzie w sprawie nowego rzecznika blitzkrieg.

Zżycia samorządów. Nie ma w Polsce osoby, która bardziej byłaby niezadowolona z planów rozbicia Warszawy i Mazowsza na dwa województwa niż marszałek Adam Struzik zwany Wielkim Księciem Mazowieckim. Rzecz w tym, że jakkolwiek by się starały chłopcy z PSL i mieszczychy z PO, w nowym sejmiku samodzielną większość będzie miał PiS. A to oznacza zmianę na stolcu nie tylko marszałka województwa, lecz także przewodniczącego sejmiku. Dwa nazwiska w tym kontekście nam się o uszy obily – Kołodziejski i Czapliński. Piłka jest jednak w grze. ©

BABY DWIE

Dżoana Krupa poczuła się mocno zagrożona, jeśli chodzi o jej pozycję w programie „Tap Mad!”, którego jest prowadzącą i największą gwiazdą. Okazało się, że do programu ma zawitać nowa prowadząca Karolina Pisarek, modelka, która debiutowała w tymże programie. Na szczęście szybko wyszło na jaw, że Karolina ma pokazywać widzom kulisy programu, a nie być prowadzącą główny show, ale mimo to Dżoana pozostała rozżalona. – Od początku programu jestem prowadzącą. To jest moje dziecko, mój pierwszy program. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś inny mógł go prowadzić. To ja najbardziej byłam za Karoliną, jak była w programie. To ja ją promowałam, chodziłam z nią na ścianki jako „suport” – wyznała Pudelkowi Krupa. – Cóż! Nie jest to tak ciepłe powitanie w programie, na jakie liczyłam ze strony Joanny! – odpowiedziała skwaszona Pisarek. Zapowiada się najciekawszy sezon „Tap Mad!” w historii! Chyba zaczniemy oglądać.

MYJCIE RĘCE!

Marina Szczęsna, żona bramkarza Wojciecha Szczęsnego, podobno bardzo boi się koronawirusa. Do tego stopnia, że sama traci na tym zawodowo. Jak donosi Pudelek, celebrytka poszła ostatnio na casting do jakiegoś programu telewizyjnego. Na wejściu zajęła się dezynfekcją wszystkiego i wszystkich, po czym oznajmiła, że nie może nikogo dotknąć. – Wypadła fatalnie, jeżeli chodzi o interakcje z ludźmi, i przez to nie zaangażowali jej do projektu – twierdzi informator portalu. Pudelek donosi też, że jej zachowanie wynika głównie z obawy o kontrakt Wojtka. Piłkarz ma bowiem w nim klauzulę mówiącą, że jeśli ktoś z jego najbliższej rodziny zachoruje, to w konsekwencji on może ponieść kary finansowe, a nawet mieć skrócony kontrakt. My tam kibicujemy Marinie. Każdy powód, by częściej myć ręce, jest dobry!

CZY WARTO?

Radzio Majdan udzielił wywiadu, w którym opowiedział o tym, czym dla niego jest ojcostwo i jak odnajduje się w roli taty małego Henryka. – Wszyscy, co mają dzieci, to wiedzą, że, mając małego dzidziusia, nie ma mowy o wysypianiu się, nawet jak jest grzeczny. A Henio jest grzeczny: nie płacze, nie zarywa nocy, ale trzeba go karmić i poświęcać mu czas co trzy godziny. Normalne, że noc jest przerywana – wyznał. Został też zapytany o to, czy przejmuje się komentarzami na temat tego, że wraz z Małgorzą-



FOT. RADOŚLAW NAWROCKI/EPRIUM

tą sprzedają swoją prywatność, zamieszczając ochoczo zdjęcia z dzidziusiem. – Nie dochodzi do mnie ta krytyka, nie zdaję sobie z niej sprawy. Zawsze ludzi nieżyczliwych odsuwałem od siebie. Jeśli coś jest w naszym życiu wyjątkowe i dla nas powodem do tego, by dzielić się tym szczęściem, to warto – stwierdził. Na pewno warto. Gdyby się nie opłacało, Radzio i Gosia by na to nie poszli. To akurat więcej niż pewne.

ILE MASZ WÓZKÓW?

A tymczasem mogą sobie pozwolić choćby na to, by pochwalić się kolejnym wózkiem dla swojej nowo narodzonej pociechy. – Wózek nr 2. Ten wybierał mój mąż. Ma do niego jeszcze fotelik samochodowy i nosidło – oznajmiła światu Perfekcyjna Małgosia. Twierdzi, że to sportowy model, w przeciwieństwie do mojego białego wózka. I coś w tym jest: to bardzo lekki i zwinny wózek. Do prowadzenia dosłownie jedną ręką. Łatwy do składania i intuicyjny w obsłudze. To, co najbardziej podoba się Radziowi, to chyba jego nazwa – rebellious. Fajnie mieć wybór” – dodała. Na pytanie jednej z fanek: „Po co komu dwa wózki?”, odpowiedziała zaś skromnie: – Nie wiem, my mamy cztery. Pokaż, ile masz wózków, a powiem ci, kim jesteś! Jeśli bowiem więcej niż jeden, to na bank jesteś celebrytką. Pardon, influencerką, bo tak się teraz mówi.

CO ZA MĘCZARNIA!

Marcelina Zawadzka może stracić posadę prowadzącej „Pytanie na śniadanie” w TVP. Produkcja programu podobno w tajemnicy (takiej, że pisać o tym wszystkie portale plotkarskie) szuka już kogoś, kto mógłby ją zastąpić. Podobno Marceliny za bardzo ten fakt nie martwi. – Teraz czeka na rozwój wydarzeń, ale możliwe, że takie zakończenie sprawy będzie jej nawet na rękę. Jej kariera influencerska świetnie się rozwija, a inne stacje zaczynają się nią poważnie interesować – mówi Pudelkowi jej znajomy. – Marcela od dawna męczy się w TVP, ma dosyć. I wie o tym każdy, nawet jej współpracownicy z „Pytania na śniadanie” – dodaje. Ona się niby męczy? To co mają powiedzieć ci biedni widzowie, którzy muszą ją oglądać? ☹☹



FOT. PAMEŁ GROMIDA



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nie śledziliśmy jakoś szczególnie poczynąń delegacji rządu tego kraju podczas negocjacji w Brukseli, iż chcieliśmy sobie oszczędzić oczywistego wstydu.

te pieniądze negocjować. Sukcesem byłoby, gdyby Europa nam je po prostu dała, zakładając, iż się nam należały.

A takie wyproszone, wychodzone, to w ogóle żadna przyjemność wydawać.

i futbolu, zwłaszcza gdzie – jak wiecie – wciąż hołduje się prymitywnym patriarchalnym zasadom, mówiącym, iż w ogóle mamy prawo mówić o tym, iż ktoś jest lepszy, ktoś gorszy, iż ktoś wygrał, a ktoś przegrał.

Złota Piłka powinna zostać więc przetopiona, a uzyskany z niej kruszec powinien zostać przeznaczony na produkcję pieniędzy do finansowania wielu równościowych grantów, których Europa tak bardzo obecnie potrzebuje.

Wartości europejskie nie pasują ?!!!
Już ja was k#&@&@
zata z oświec...



Teraz słyszymy o jakichś takich różnych kwotach z wieloma zerami i jesteśmy skłonni się zgodzić, iż rzeczywiście może to być w chooy dużo. Jednak naszym zdaniem nie można tego rozpatrywać jako sukcesu tego rządu. Otóż porażką, i to taką totalną, jest fakt, iż w ogóle trzeba było

Są i dobre wiadomości. Renomowany francuski magazyn „France Football” ogłosił, iż z uwagi na równość w tym roku nie przyzna corocznie wręczanej Złotej Piłki piłkarzowi, który został ogłoszony lepszym niż inni. To bardzo pozytywna zmiana w świecie sportu

Straszna siara. Otóż dowiedzieliśmy się, iż Lasy Państwowe wydały komunikat, iż w ciągu ostatnich lat zwiększyła się powierzchnia całkowita lasów w Polsce.

W ogóle nasza pierwsza reakcja to było zdziwienie, iż jak to? Polskie państwo ma lasy? No nieźle xD Na co bowiem nowoczesnemu państwu las?

No i poza tym, dlaczego niby zwiększamy stopień zalesienia tego kraju? Iżby dyskryminować wielkie aglomeracje miejskie i powstrzymać je przed rozwojem?

Naszym zdaniem Polska natychmiast powinna przestać się zalesiać, należy się urbanizować i modernizować, a nie sadzić jakieś brzozy czy jesiony. Już nie mówiąc o tym, iż państwo zamiast w lasy powinno inwestować w start-upy.



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Telefon do prezydenta

Panie prezydencie, prezydent Trump na linii.

Tak, jasne. A ja jestem prezydentem Polski. To znaczy, moment, akurat jestem. A ja jestem prezydentem Putinem. O!

Ale... Nie rozumiem, panie prezydencie. Mamy łączenie z Białym

Domem, pan prezydent Stanów Zjednoczonych Donald John Trump chciałby z panem pilnie mówić.

Może Donald John Rambo, co? Proszę pani, ja raz dałem z siebie zrobić idiotę i wystarczy.

No, ale... My to sprawdziliśmy, to naprawdę jest Białe Dom. Bezpieczna linia.

A wtedy to naprawdę był Nowy Jork i ONZ. Ilu ja już od tego czasu takich żartownisiów spuściłem ze schodów. Już i podobno Merkel dzwoniła, i Johnson, i Mikron, którego nauczyliśmy widelcem

jeść... I wie pani, co? Nie dałem się ani razu więcej zrobić w bambuko!

Ale... No, nieważne. To co ja mam odpowiedzieć sekretariatowi pana prezydenta Trumpa?

Pani powie tym ruskim dowcipasom, że tu Polska jest, polski prezydent i żeby sobie z głowy te numery wybili. Zrozumiano?!

Tak mam dokładnie powtórzyć?
Tak!

A mogę to dostać na piśmie? © ©
Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„W praworządnym kraju szef służb spotkałby się dyskretnie z Trzaskowskim i powiedział, że dobrze mu radzi, by usunął Nowaka ze swojego sztabu. I w razie czego pokazał jakiś dowód tych przekrętów”

JERZY SKOCZYŁAS, dziennikarz, na Twitterze po zatrzymaniu Sławomira Nowaka



FOT. MATEUSZ WODARCZYŃSKI/FOPIUM

Obrona kłamstw TVN i agencji WSI, finansowanie prześladowców ks. Blachnickiego i kłamstwa smoleńskiego, wspieranie interesów rosyjskich i niemieckich, propaganda LGBT i pedofilii, demoralizacja dzieci i niszczenie rodziny, walka z Kościołem i naszą tradycją narodową, likwidacja WOT, IPN, CBA, polskiego sądownictwa i telewizji publicznej, a w rezultacie niepodległości to program, który chce się narzucić Narodowi Polskiemu. Dla mnie to zdrada. Tym się różnimy” – te słowa Antoni Macierewicz zaadresował do zwolenników Platformy Obywatelskiej tuż przed drugą turą wyborów prezydenckich. Mocny komentarz doczekał się równie ostrej riposty: „W mojej ocenie tego typu dzielące i nienawistne wypowiedzi są okropne i godne pożałowania. Każdy przyzwoity człowiek powinien odrzucić tego rodzaju retorykę!”. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby w takim stylu Macierewiczowi odpowiedział polski polityk z przeciwnej, a nawet z tej samej strony

mniał, że artykuł 41 konwencji wiedeńskiej mówi, aby nie mieszać się do spraw wewnętrznych państwa przyjmującego.

Na słowa Mosbacher zareagował też Macierewicz: „Szanowna Pani Ambasador, w polemice z PO, którą Pani zaatakowała, napisałem prawdę i tylko prawdę. Odnoszę wrażenie, że nie są Pani znane okoliczności śmierci ks. Blachnickiego i Jego inwigilacji przez SB; nie zna Pani roli agencji komunistycznej w powstaniu TVN; nie zapoznała się Pani z kartą LGBT Plus promującą seksualizację dzieci. Uważam, że na te zjawiska powinien zareagować każdy przyzwoity człowiek. Tak postępowałem od 50 lat, walcząc o niepodległość Polski [...]. I nic tego nie zmienia”.

Symptomatyczna była odpowiedź ambasador. „Złożenie przysięgi jako ambasador nie oznacza, że odrzuciłam etykę, wartości i umiejętność odróżniania dobra od zła. Jeśli widzę, że historia jest zniekształcana lub interpretowana ze złych pobudek, to zabieram głos niezależnie od mojego stanowiska” – napisała. Nie odniosła się zatem do

na moje pytanie, czy publiczna krytyka pod adresem polskich polityków nie jest „mieszaniami się do wewnętrznych spraw Polski”, a więc złamaniem norm zachowania dyplomaty wobec państwa przyjmującego.

GŁOS W WEWNĘTRZNYCH SPRAWACH

To nie pierwszy raz, kiedy jednoznacznie i publicznie zabrała głos w wewnętrznych sprawach Polski. „Trzaskowski boi się debaty z Polakami. Woli ustawioną debatę w WSI 24 i niemieckim Onecie” – tak Beata Mazurek, europosłanka PiS, krytykowała kandydata PO na prezydenta za odmowę przyjazdu do Końskich. „Dobrze Pani wie, że szerzy Pani coś, co jest absolutnym kłamstwem, sugerując, że TVN to WSI. Powinna się Pani wstydzić. To jest poniżej godności osoby, która reprezentuje Polaków” – zbesztala Mazurek ambasador USA. W odpowiedzi Beata Mazurek powołała się na raport z likwidacji WSI. Przypomniała też, że Macierewicz, podany do sądu za słowa o agenturalnej

Nadambasador



Maciej Pieczyński

Publicznie karci polskich polityków. Ingerencję w wewnętrzne sprawy państwa przyjmującego tłumaczy troską o wolność słowa. Czy Georgette Mosbacher przekroczyła już granice?

barykady, krytyczny wobec powszechnie znanej wyrazistości poglądów marszałka seniora. Jednak ta niezbyt dyplomatyczna ocena wyszła spod klawiatury ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce Georgette Mosbacher. Szef misji dyplomatycznej obcego państwa skarcił polityka partii rządzącej krajem przyjmującym.

„To jest niebywałe, aby ambasador podejmował publiczną polemikę polityczną z politykami kraju, w którym sprawuje funkcję dyplomatyczną” – napisał na Twitterze były minister spraw zagranicznych Witold Waszczykowski. Przypo-

zarzutu Waszczykowskiego o naruszenie zapisów konwencji wiedeńskiej. Można wręcz odnieść wrażenie, że ponad literą prawa międzynarodowego świadomie postawiła swoje osobiste oceny moralne.

Pani ambasador pośrednio potwierdza, że właśnie taką hierarchię wartości zastosowała. – Nigdy nie ma właściwego czasu ani miejsca na nienawistną retorykę. Kiedy widzę niesprawiedliwość – nazywam ją po imieniu. Kieruję się moimi zasadami etycznymi, wartościami i zdolnością do odróżniania dobra od zła – jako ambasador i jako człowiek – tak Georgette Mosbacher odpowiedziała

genezie ITI, ostatecznie sprawę wygrał. Ambasador Mosbacher nie kontynuowała dyskusji. Opublikowała jednak pojedynczy wpis, w którym podkreśliła, że „wymiana zdań w dyskusji na Twitterze” w żaden sposób nie wpływa na jakość polsko-amerykańskich relacji. „Jeszcze nigdy nie były one tak bliskie, co widać było ostatnio w Waszyngtonie!” – dodała, odnosząc się do wizyty Andrzeja Dudy w Białym Domu tuż przed pierwszą turą wyborów prezydenckich.

Z kolei w listopadzie 2018 r. Georgette Mosbacher wystosowała do premiera Morawieckiego list, w którym wskaza-

ła, co należy, a czego nie wolno mówić ministrom polskiego rządu na temat stacji TVN. O tej sprawie jako pierwszy informował portal Dorzeczy.pl. Odnosząc się do kontrowersyjnego dokumentu, Mosbacher stwierdziła: „Wśród podstawowych wartości niesamowicie ważnych dla USA i dla mnie jest wolność słowa, wolność mediów i wolność intelektualnego dyskursu”. Przekaz złagodziła stwierdzeniem, że relacje polsko-amerykańskie są „bardzo dobre”, a pogłębianie przyjaźni Warszawy i Waszyngtonu jest dla niej kwestią priorytetową.

Powtarzającym się wątkiem w publicznych sporach pani ambasador z politykami PiS jest kwestia oceny TVN. Stacja nie bez powodu uważana jest za medialne ramię antypisowskiej opozycji. Dlatego trudno się dziwić, że TVN w pewnym momencie znalazła się na celowniku TVP. Materiały telewizji prywatnej, krytyczne wobec działań rządu, stały się obiektem krytyki ze strony telewizji publicznej. Pod koniec kwietnia „Wiadomości” wiele miejsca poświęcały „Faktom”. Mosbacher stanęła w obronie prywatnej stacji, zapewniając, że jej priorytetem jest „przejrzystość, wolność słowa oraz niezależne i odpowiedzialne dziennikarstwo”. „Sugestie, że jest inaczej, są fałszywe” – podkreśliła. W tym samym wpisie Mosbacher przypominała, że „TVN jest częścią rodziny Discovery, amerykańskiej firmy”, notowanej na nowojorskiej giełdzie. Dlatego trudno się dziwić, że ambasador USA występuje w obronie rodzimego kapitału.

PRAWO I DOBRE MANIERY

– Prawo dyplomatyczne wyraźnie mówi, że dyplomaci kraju wysyłającego nie powinni się mieszać w sprawy wewnętrzne kraju przyjmującego. Nawet więcej: nie mają również prawa wykorzystywać budynków ambasad i konsulatów do celów niezgodnych z oficjalnymi celami dyplomatycznymi, nie mogą też prowadzić działalności handlowej. Immunitet oznacza nie tylko szczególne przywileje, lecz także niesie za sobą szczególne obowiązki. Dotyczy to zwłaszcza ambasadora, który, jako szef misji dyplomatycznej, powinien dawać dobry przykład niżej postawionym przedstawicielom swojego państwa w kraju przyjmującym – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Artur Wróblewski, amerykańista, politolog z Uczelni Łazarskiego. W jego

Powtarzającym się wątkiem w publicznych sporach ambasador USA z politykami PiS jest kwestia oceny telewizji TVN

ocenie ambasador Mosbacher naruszyła przepisy konwencji wiedeńskiej. Sankcją, która mogłaby ją za to spotkać, jest uznanie jej za osobę niepożądaną. Tego domagają się politycy Konfederacji.

– Pani ambasador łamie nie tyle zapisy tego czy innego aktu prawnego, ile konwencję dobrego zachowania się – uważa z kolei prof. Bohdan Szklarski, politolog, amerykańista z Uniwersytetu Warszawskiego. – Takie sytuacje zdarzają się w relacjach asymetrycznych, takich jak stosunki polsko-amerykańskie. Georgette Mosbacher może sobie pozwolić na więcej, ponieważ jest przedstawicielem państwa, uznanego w kraju przyjmującym za najbliższego sojusznika, strategicznego partnera, wręcz gwaranta bezpieczeństwa. Ryzyko jest niewielkie, ponieważ wiadomo, że cokolwiek by pani ambasador powiedziała, polityka Polski wobec Stanów Zjednoczonych się nie zmieni – dodaje.

– My w Polsce jesteśmy niezmiernie wyczuleni na próby pouczenia ze strony „wielkiego brata”. Z drugiej strony, lubimy wyolbrzymiać swoje znaczenie dla Ameryki. To zresztą cecha typowa dla państw, które wchodzą w relację asymetryczną z większym partnerem. Amerykanie są na tyle dyplomatyczni, że nie wyprowadzają z błędu swoich sojuszników, gdy ci zawyżają swoją samoocenę i swoje zasługi dla Waszyngtonu. Nie chcą robić przykrości. Kiedy jednak sojusznik przekroczy pewną granicę, dostaje publicznie „po łapkach”. Tak było w przypadku nowelizacji ustawy o IPN, tak było po atakach na TVN – komentuje prof. Szklarski. W jego opinii Amerykanie w obu przypadkach stanęli w obronie wolności słowa i mediów.

Artur Wróblewski porównuje zachowanie Georgette Mosbacher do praktyk, które w przeszłości Waszyngton stosował wobec krajów Ameryki Łacińskiej. – Była to tzw. dyplomacja dolarowa. Na początku XX w. Amerykanie finansowo zdominowali państwa latynoamerykańskie. W efekcie do krajów tych przyłgnęło pogardliwe miano „bananowych repu-

blik” – mówi amerykańista. – Do historii przeszedł słowa Roosevelta, który o jednym z zależnych od Ameryki przywódców południowoamerykańskich powiedział: „Somoza może jest sukinkotem, ale to nasz sukinkot”. Ta wypowiedź stała się symbolicznym wyrazem protekcyjnego stosunku Waszyngtonu do podległych mu krajów. Niestety, właśnie te tradycje przypominają niektóre komentarze pani ambasador Mosbacher – dodaje.

KOLEŻANKA TRUMPA

Amerykańscy zgodnie przyznają, że na zachowanie pani ambasador może mieć wpływ specyficzna droga jej kariery. – Nie jest to „career diplomat”, jak Amerykanie nazywają zawodowych dyplomatów. Ambasadorem została jako koleżanka Donalda Trumpa. Dlatego też jedną z przyczyn takiego, a nie innego zachowania może być brak dyplomatycznego doświadczenia i wycucia – mówi Wróblewski. Jednocześnie, zdaniem ekspertów, arogancja USA może mieć charakter, paradoksalnie, życzliwy – nie prowadzi bowiem do poniżenia kraju przyjmującego, lecz do wyznaczenia granicy, której przekroczyć, zdaniem potężnego sojusznika, nie wolno.

Jak podkreślają eksperci, wysyłanie na placówki osób bez wykształcenia i doświadczenia dyplomatycznego to amerykańska specyfika. Często stanowiska otrzymuje się za polityczne zasługi, np. w kampanii wyborczej. Victor Ashe, ambasador USA w Warszawie w latach 2004–2009, wcześniej był burmistrzem miasta Knoxville. Mosbacher z kolei ma za sobą bogatą karierę biznesową. Po studiach założyła przedsiębiorstwo kosmetyczne. Po jego upadku podjęła pracę w firmie Fabergé. Wyszła za mąż za właściciela przedsiębiorstwa. Następnie kupiła podupadły koncern kosmetyczny, z sukcesem przeprowadziła jego restrukturyzację, a później sprzedała niemieckiej firmie. W latach 90. założyła przedsiębiorstwo Georgette Mosbacher Enterprises, zajmujące się doradztwem marketingowym. Nie rozstawała się też z branżą kosmetyczną. Równolegle z biznesem prowadziła działalność polityczną. Od lat 60. jest związana z republikanami. Odpowiadała za finanse partii. Była pierwszą kobietą przewodniczącą stowarzyszeniu republikańskich gubernatorów. W 2016 r. Barack Obama powołał ją do Komisji Doradców ds. Dyplomacji. Dwa lata później, już za

kadencji Trumpa, została ambasadorem w Warszawie. Silna i niezależna kobieta.

– Georgette Mosbacher ma do polityki zagranicznej podobne podejście jak Donald Trump. Czyli postrzega świat jak wielki rynek, a swój kraj – jak wielkie przedsiębiorstwo, nastawione na konkretne zyski – mówi prof. Szklarski.

– Zgodnie z etykietą pani ambasador powinna działać zakulisowo raczej, niż podejmować publiczną polemikę. Nie wiadomo jednak, jaka była geneza tego sporu. Być może były już wcześniej wysyłane sygnały po cichu, na niższych szczeblach, a dopiero wtedy, gdy to nie poskutkowało, pani ambasador weszła w otwartą dyskusję. Tego nie wiemy – zastanawia się prof. Szklarski.

POUCZANI PRZEZ USA

Polska nie jest jedynym krajem tak potraktowanym przez amerykańskiego dyplomata. Dobrym przykładem jest tu sprawa Richarda Grenella. Na początku maja 2018 r. objął on stanowisko ambasadora USA w Niemczech. Zaczął niezbyt dyplomatycznie. Stwierdził publicznie, że niemieckie firmy powinny natychmiast przestać współpracować z Iranem, w imię dobrych relacji ze Stanami Zjednoczonymi. Wypowiedź wywołała niemałe kontrowersje. Następnie Grenell udzielił kontrowersyjnego (z punktu widzenia Berlina) wywiadu dla prawicowego portalu Breitbart. Stwierdził w nim, że chce wspierać konserwatystów w całej Europie. Zapowiedział również, że zaprosi na lunch w ambasadzie kanclerza Austrii Sebastiana Kurza, który – delikatnie rzecz ujmując – nie jest ulubieńcem niemieckich elit lewicowo-liberalnych. „To, co wyczynia ten człowiek, jest niespotykane w międzynarodowej dyplomacji” – oburzał się wówczas Martin Schulz, sam znany z ingerowania w wewnętrzne sprawy państw UE. „Kiedy patrzę na działania amerykańskiego ambasadora w Niemczech, mam wrażenie, że on bardziej czuje się jak oficer okupacyjny niż ambasador USA w suwerennym kraju” – komentował z kolei Gerhard Schröder.

Przypadki pouczenia kraju przyjmującego przez amerykańskich dyplomatów zdarzały się również za kadencji Baracka Obamy. Wtedy to np. ambasador USA krytykował rząd Indii za działania wymierzone w działalność organizacji charytatywnych. W Bangladeszu swego czasu Amerykanie krytykowali rząd za

stłumienie studenckich protestów. W Rumunii ambasador USA wyraził „niepokój” z powodu – jego zdaniem – kontrowersyjnych poprawek w prawie karnym. W Mołdawii przedstawiciel najpotężniejszego państwa na świecie stanął, paradoksalnie, w obronie wolności słowa rosyjskich mediów, którym zakazano działalności na terenie kraju. Dostało się również Węgrom – trzy lata temu chargé d'affaires amerykańskiej placówki w Budapeszcie wygłosił wykład na temat wolności mediów jako zasady koniecznej do funkcjonowania demokratycznego państwa prawa.

Niemal za każdym razem interwencja amerykańskich dyplomatów podyktowana była obroną jakichś konkretnych wartości. W końcu ambasador Mosbacher tłumaczyła swój protekcyjny ton wobec Macierewicza kwestią „etyki”. – Dyplomata powinien kierować się zarówno przepisami prawa, jak i etyką. Pani ambasador ma wręcz obowiązek działać zgodnie z własnymi zasadami, a przy tym bronić interesów swojego kraju – przyznaje Witold Waszczykowski w rozmowie z „Do Rzeczy”. Dodaje jednak: – To nie zwalnia z przestrzegania prawa międzynarodowego, które jasno określa, w jaki sposób dyplomata może egzekwować interes swojego kraju. Od tego jest protokół dyplomatyczny.

Politycy Konfederacji domagają się uznania ambasadora Georgette Mosbacher za osobę niepożądaną

Ambasador może poprosić o rozmowę praktycznie z każdym politykiem w kraju przyjmującym. USA to nasz strategiczny sojusznik i drugi największy inwestor. Jestem więc przekonany, że gdyby w sprawach dla siebie istotnych pani ambasador poprosiła o spotkanie z premierem czy prezydentem, nie byłoby żadnego problemu. Wszystko da się jakoś umówić. Niestety, pani ambasador Mosbacher wybrała drogę dyplomacji „megafonowej”.

Dlaczego? – Pani ambasador wywodzi się z biznesu, więc trochę brakuje jej doświadczenia i profesjonalizmu. Po drugie, reprezentuje mocarstwo światowe,

więc być może uważa, że więcej jej wolno. Szczególnie że jest bliską znajomą prezydenta USA – tłumaczy Waszczykowski. Artur Wróblewski zaznacza, że szczególnie relacje Mosbacher z Trumpem mają swoje bardzo dobre dla Polski strony. – Ambasador z politycznego nadania ma łatwiejszy dostęp do ucha prezydenta, łatwiej i szybciej można z nim coś ustalić i załatwić niż w przypadku zawodowych, ale słabiej umocowanych politycznie dyplomatów – zauważa.

Witold Waszczykowski przyznaje: – Trzeba uczciwie powiedzieć, że pani ambasador bardzo nam pomogła. Jej bliskie relacje z Trumpem na pewno wpłynęły na to, że prezydent Duda stosunkowo często spotykał się ze swoim amerykańskim odpowiednikiem. Być może, gdyby nie Georgette Mosbacher, nie udałaby się niedawna, zorganizowana w ostatniej chwili, wizyta w Białym Domu. Włączyła się również w akcje na rzecz zniesienia wiz. Oczywiście zdecydowało zmniejszenie liczby odmów, ale być może nie byłoby tego, gdyby nie presja, którą pani Mosbacher mogła wywierać na konsułach, decydujących o przyznaniu wiz.

Były szef MSZ uważa, że „dyplomacja megafonowa” Mosbacher to jej osobista inicjatywa i nie wynika z jakiegokolwiek inspiracji ze strony Białego Domu: – To silna, niezależna kobieta, mająca szerokie kontakty w amerykańskiej administracji i biznesie. Trudno jej utrzymać się w sztywnych ramach dyplomacji.

NA DYWANIK?

Zdaniem Waszczykowskiego wypowiedzi Mosbacher powinny spotkać się ze zdecydowaną reakcją MSZ. – Należałoby panią ambasador zaprosić nie tyle na dywanik, ile na spokojną rozmowę wyjaśniającą przy kawie – mówi. – Tak robiłem, gdy ambasadorem USA w Warszawie był niechętny naszej władzy Paul Jones. Cierpliwie mu tłumaczyłem, że wbrew temu, co pokazują amerykańskie media, w Polsce nie mamy „drugiej Korei Północnej”. Amerykanie zawsze wtedy używają argumentu o wolności słowa, o tym, że media mają prawo do swojej narracji. To jednak nie oznacza, że nie należy z nimi o tym dyskutować. W tej chwili jednak najbardziej pragmatycznie byłoby sprawę przemilczeć. Przynajmniej do czasu wyborów w USA. Jeśli Trump przegra, to Georgette Mosbacher też najpewniej z Polski wyjedzie.

A photograph of a middle-aged man with thinning grey hair and glasses, wearing a dark suit, white shirt, and dark tie. He is captured in a moment of active speech, with his mouth open and his right hand raised in a gesturing motion. He is holding a piece of paper in his left hand. The background is blurred, showing what appears to be a formal setting like a parliament or conference hall with blue lighting.

Nie otworzyłem szampana



Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, europosełem PiS

rozmawia Jacek Przybylski

JACEK PRZYBYLSKI: Unijny szczyt poświęcony budżetowi na lata 2021–2027 był bezprecedensowo długi i żmudny. Na wieść o jego wynikach otworzył pan szampana?

PROF. ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Nie, bez przesady. Jestem jednak zadowolony z ogromnej kwoty, którą nasza gospodarka zostanie zasilona, a także z tego, że udało się uniknąć paru zapisów, które byłyby dla Polski niebezpieczne. Z satysfakcją słucham również teraz komentarzy przeciwników naszego kraju, którzy wynikami szczytu są wyraźnie sfrustrowani.

Trzeba jednak pamiętać, że wynegocjowane porozumienie musi jeszcze zatwierdzić Parlament Europejski. Ja niepokoję się ogólnym kierunkiem, w którym rozwija się Europa. Oceniając ten proces z perspektywy historycznej czy wręcz historiozoficznej, mało można mieć powodów do optymizmu. Z tego powodu – chociaż szczerze gratuluję kolejnego sukcesu naszemu obozowi politycznemu – po tym szczycie nie otworzyłem szampana.

„Powiązanie z praworządnością – czerwona linia, w tym względzie żadnych ustępstw” – pisał pan przed szczytem na Twitterze. Tymczasem szef Rady Europejskiej podkreśla, że pierwszy raz w historii poszanowanie praworządności będzie kryterium rozstrzygającym przy wydatkach z unijnego budżetu. Czy to przypadkiem nie oznacza, że premier Morawiecki wrócił jednak na tarczy, a nie z tarczą?

Przyjęte porozumienie – jak to w Unii Europejskiej – jest wynikiem kompromisu. Rzeczywiście pierwszy raz w historii unijne fundusze są jakoś powiązane z praworządnością. Nie jest więc tak, że udało się uniknąć wpisania do tego dokumentu jakichkolwiek zapisów w tej kwestii.

Wielkim sukcesem negocjacyjnym jest jednak to, że nie ma w tym porozumieniu żadnych twardych zapisów, których zawarcia domagali się nasi przeciwnicy. Dzięki temu nie ma w porozumieniu żadnego punktu, który pozwalałby na skuteczne egzekwowanie sankcji, o które zabiegali tzw. przyjaciele praworządności.

Przed chwilą wysłuchałem w radiu niemieckim rozmowy z jedną z europo-

słanek z Holandii, zagorzałym krytykiem Polski, która wyrażała wielkie niezadowolenie z kształtu przyjętego dokumentu i tego, że się z nami nie rozprawiono.

W punkcie 22. porozumienia wprost czytamy jednak o szacunku dla poszanowania prawa. A punkt 23. mówi o wprowadzeniu „systemu warunkowości”, mającego na celu ochronę budżetu. Czy te zapisy nie będą mogły być w przyszłości używane jako polityczny kij bejsbolowy?

Oczywiście, że tak. Ta sprawa na pewno będzie się ciągnęła i już teraz chciałbym ostrzec przed tym Polaków – w Unii tego typu kwestie to niekończąca się opowieść, bo nigdy przecież nie kończy się walka polityczna.

Zapisy, które znalazły się w porozumieniu – i to kolejny powód, dla którego nie otwieram teraz szampana – to bowiem dopiero punkt wyjścia do dalszych negocjacji. Mówi się, że Komisja Europejska proponuje pewien ogólny mechanizm badania praworządności, a w sprawie jego wprowadzenia zabierze głos Rada Europejska. Można więc wychodzić z założenia, że na ten mechanizm Rada Europejska musi wyrazić zgodę, a w niej obowiązuje zasada jednomyślności.

Jest jeszcze jeden aspekt osłabiający kwestię powiązania budżetu z praworządnością, a więc zapis, że ta kwestia praworządności dotyczy wydatkowania otrzymanych środków, a więc np. sprawdzania, czy środki te wydawane są zgodnie z prawem i w odpowiedzialny sposób.

Z tym Polska – w przeciwieństwie choćby do krajów Południa – nie ma żadnego problemu.

Stawiając Polskę pod pręgierzem, eurokraci podkreślają, że chcą tylko, aby rządy państw członkowskich UE szanowały prawo. To nie brzmi jak wygórowany warunek.

Oczywiście i jako Polska nie mamy problemu z poszanowaniem prawa. Mamy jednak problem z tym, że pod hasłem poszanowania prawa i przestrzegania praworządności próbuje się ingerować w polskie sprawy wewnętrzne, z których wiele w ogóle nie podlega unijnym traktatom. Sprzeciwiamy się też próbom rozszerzania tej tzw. praworządności o radykalnie interpretowane

■ wartości europejskie. W ten sposób europejska lewica próbuje narzucić Polsce różne swoje rozwiązania i ideologie.

W rezolucji Komisji Wolności Obywatelskich, Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych (LIBE) – przyjętej tuż po wyborach prezydenckich w Polsce – mówi się np. o prawach reprodukcyjnych kobiet albo o małżeństwach homoseksualnych. Zresztą w tym dokumencie kwestionuje się w zasadzie wszystkie decyzje podejmowane przez polski Sejm od czasu reformy Trybunału Konstytucyjnego. Innymi słowy, kwestionuje się po prostu całe rządy Prawa i Sprawiedliwości oraz Sejm jako demokratyczną instytucję. Trzeba więc pamiętać, że jest to dokument, który wytworzyli fanatycy.

Fanatycy?

Tak, fanatycy, którzy nie znają pojęcia „kompromis”. Ci hunwejbini liberalno-lewicowej rewolucji nie spoczną dopóty,

być niebezpieczny i nieść za sobą skutki prawne oraz ekonomiczne, czy Polsce grożą głównie straty wizerunkowe?

Nie grożą nam już nawet straty wizerunkowe. Te nieustanne ataki wytworzyły już pewien stereotyp, w którym gdy tylko pada hasło „Praworządność”, od razu na myśl przychodzą Węgry oraz Polska, a nie Bułgaria, Rumunia, Holandia czy Niemcy. Z tym stereotypem trudno będzie walczyć, został utrwalony na lata, co jest wynikiem hałaśliwych działań polskiej opozycji.

Musimy przy tym zdawać sobie sprawę, że Unia jest rzeczywistością polityczną i walka polityczna przeciw konserwatywnemu rządowi w dość dużym kraju europejskim, jakim jest Polska, jest nie mniej ostra na poziomie unijnym niż ta, którą obserwujemy na wewnętrznej scenie politycznej. Lewicowo-liberalne siły europejskie zrobią wszystko, aby rząd PiS przestał istnieć. Obecnie są one

Przypomnijmy sobie choćby Francję za prezydentury Sarkozy'ego. Manipulacja polityczna polega na tym, że od Francji, Holandii oraz innych państw UE nie wymaga się spełniania utopijnych norm perfekcyjnej liberalnej demokracji, których przestrzegania żąda się od Polski. Jednocześnie z niewiadomych przyczyn uważa się, że ci europosłowie, którzy atakują nasz kraj, są do tego uprawnieni, nawet jeśli wykraczają daleko poza normy traktatowe. Wielokrotnie zachęcałem podczas debat w Parlamencie Europejskim, aby te miary, które stosowane są wobec Polski, przyłożyć do pozostałych państw Unii.

Kilka dni temu złożyłem więc interpelację poselską, żądając pisemnej odpowiedzi od Komisji w sprawie przestrzegania praworządności przez Niemcy, gdzie polityzacja sądów jest coraz dalej posunięta. Wystarczy spojrzeć na przykład nowego prezesa Trybunału Konstytucyjnego w Niemczech Stephana Harbartha, który krótko przed objęciem tego urzędu był aktywnym politykiem. To tak, jakby w Polsce prezesem TK został Joachim Brudziński lub inny wybitny działacz Prawa i Sprawiedliwości, na przykład Jarosław Kaczyński, który jest przecież z wykształcenia prawnikiem. Oczywiście, można powiedzieć, że to sprawa Niemiec. Skoro jednak o nich takie działania nie narusza zasady niezależności sądownictwa, to dlaczego tak tolerancyjna wykładnia nie jest stosowana wobec Polski?

Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen była jednak jedną z pierwszych osób gratulujących prezydentowi Andrzejowi Dudzie wyboru na nową kadencję. Czy to zachowanie sugeruje, że możemy poprawić relacje z Niemcami?

To ważny sygnał, choć oczywiście Ursula von der Leyen zrobiła to jako przewodnicząca Komisji Europejskiej, a nie polityk niemiecki.

Na szczęście jednak, jeżeli porzucimy sferę medialną oraz politykę typowo symboliczną – a z taką mamy do czynienia w przypadku ideologicznych ataków na Polskę czy Węgry – i przejdziemy do sfery polityki realnej, to te relacje natychmiast normalnieją i są co najmniej poprawne. W wielu sprawach mamy z Niemcami wspólne interesy. W tej realnej polityce liczą się zaś właśnie interesy oraz siła – liczba sojuszników, moc gospodarki oraz poziom poparcia we własnych krajach. Za premierem Rutte

Wystarczy spojrzeć na nowego prezesa Trybunału Konstytucyjnego w Niemczech Stephana Harbartha, który krótko przed objęciem tego urzędu był aktywnym politykiem. To tak, jakby w Polsce prezesem TK został Joachim Brudziński lub Jarosław Kaczyński

dopóki Polska nie będzie ukształtowana według zasad, które oni uważają za słuszne, a które często nie obowiązują w ich własnych krajach. Swego rewolucyjnego czy też reformatorskiego zapału nie kierują bowiem na Holandię – w której w ogóle nie ma Trybunału Konstytucyjnego – czy Niemcy, Austrię czy Francję.

Najlepszym przykładem była ich reakcja na plan przeprowadzenia w maju w Polsce wyborów prezydenckich w trybie korespondencyjnym. Nagle pojawiły się oskarżenia, że przeprowadzenie wyborów byłoby zamachem na demokrację. Tymczasem dziś często te same osoby z tą samą zaciekłością krytykują Donalda Trumpa za to, że on z kolei nie chce zgodzić się na wybory prezydenckie drogą korespondencyjną. Teraz już się podnoszą głosy, że wybory w Polsce były nieważne, bo nie odbyły się w maju. Przykłady można mnożyć.

Mocno krytyczny wobec rządów PiS raport, którego autorem jest lewicowy Hiszpan Juan Fernando López Aguilar, ma zostać poddany debacie we wrześniu. Czy tego typu polityczny atak może

zdesperowane, bo właśnie umarła ich nadzieja na zmianę na stanowisku prezydenta na kogoś „liberalnego, otwartego na świat i proeuropejskiego”.

Wspomniany López Aguilar to socjalista, który kiedyś publicznie wprost zapytał Radosława Sikorskiego: „Co my jeszcze możemy zrobić?”. Ci liberalno-lewicowi europosłowie czują się bezradni, bo procedura przeciwko Polsce z art. 7 utknęła w Radzie. Tymczasem oni bardzo chcieliby doprowadzić do ostatecznej rozprawy polityczno-ideologicznej, ale brakuje im do tego narzędzi prawnych i siły politycznej. Stąd właśnie ich postulat, aby stworzyć jakiś nowy mechanizm, np. aby państwa nawzajem siebie sprawdzały, czy przestrzegają praworządności. Tylko że tego nie chcą też inne kraje. Tego nie chciał nawet Frans Timmermans. Czy bowiem Paryż zgodziłby się na to, aby np. Hiszpania sprawdzała praworządność we Francji i wytykała jej różne niedoskonałości?

Nie uważam, by w Polsce wszystko było doskonałe, tak samo jak niedoskonałe są też inne demokracje.

stoją niemal wszyscy Holendrzy, którzy nie chcą tyle wpłacać do wspólnego budżetu, więc jego pozycja jest silniejsza. W Polsce mamy niestety opozycję i część społeczeństwa z mentalnością postkolonialną: bądźmy cicho, bierzmy pieniądze, jak nam dają, i ładnie podziękujmy. Ta siła, którą daje względna choćby jedność narodowa, jest ważna, ale niestety nasza opozycja przenosi walkę wewnętrzną na poziom unijny. Tam jednak, gdzie obowiązuje zasada jednomyślności, możemy wiele ugrać. Dlatego tak ważna jest dla Polski Rada Europejska. Mając w zanadru możliwość zastosowania weta, łatwiej jest się dogadać i tworzyć sojusze.

Unijni liderzy dogadali się na szczycie co do tego, że Unia pierwszy raz jako całość zaciąga wspólny dług, emitując euroobligacje. Czy to zapowiedź dużo głębszej integracji, w której kierunku po wyjściu Wielkiej Brytanii podążać będzie Wspólnota?

Niewątpliwie tak. Oczywiście skutki poznamy dopiero za parę lat, ale to może być bardzo ważny krok w kierunku federalizacji Unii Europejskiej. Komisja Europejska będzie miała nie tylko duże własne dochody, lecz także – i o tym za mało w Polsce dyskutujemy – prawo do ich arbitralnego rozdzielania i monitorowania ich wydawania. Co więcej, będzie mogła zaciągać długi, co – jak wskazują krytycy – jest sprzeczne z traktatami.

Jeśli chodzi o możliwość ingerencji w politykę zagraniczną, to wystarczy spojrzeć, jak już wygląda zarządzanie polityką klimatyczną. Polska musi składać plany dotyczące polityki energetycznej i klimatycznej, które następnie są zatwierdzane przez Komisję Europejską. Prawo do suwerennego określenia „miksu energetycznego”, zapisane w traktatach, stało się fikcją.

W niedalekiej przyszłości podobnie rzecz się może mieć z planami gospodarczymi. Dobrze pamiętamy gospodarkę planową, w której planowano kolejne pięćdziesiąt lat. Teraz Bruksela planuje gospodarkę do 2050 r. i ta Centralna Komisja Planowania – którą staje się powoli Komisja Europejska – będzie miała coraz szersze uprawnienia. Na szczęście szefowie rządów dbają nadal o swoją suwerenność, więc w porozumieniu po ostatnim szczycie zawarto pewne zabezpieczenia, które dają np. możliwość odwołania w sprawie planów odbudowy od decyzji Komisji do Rady Europejskiej.

To może być bardzo ważny krok w kierunku federalizacji UE. Ta federalizacja Europy dokonuje się po cichu, metodą Jeana Monneta

Kierunek to jednak Stany Zjednoczone Europy?

Tak, choć działają także siły w przeciwnym kierunku. Na szczęście w interesie najsilniejszych państw nie leży pełna integracja. Dobrym przykładem była niechętna reakcja Francji – jedyne mocarstwo atomowego – na niemiecką propozycję europeizowania sił atomowych.

Ta federalizacja Europy dokonuje się po cichu, metodą Jeana Monneta, czyli przez efekty uboczne decyzji dotyczących gospodarki. Spójrzmy, co stało się teraz? Mamy wielki kryzys. Wszyscy chcą zyskać dodatkowe fundusze, od polityków domagają się ich społeczeństwa. Aby je uzyskać, przywódcy godzą się więc na postawione warunki, nawet jeśli oznacza to głębszą integrację.

Sądzę, że nawet ci Polacy, którzy są przeciwko postępującej centralizacji Unii Europejskiej i są suwerenistami, nie zauważają, iż fundusze pomocowe to nic innego jak tylko dalsze uzależnienie od centrali w Brukseli.

Polska ma otrzymać z tzw. Funduszu Odbudowy równowartość 776 mld zł. To dobra cena za „sprzedaż Polski”, jak wynik ostatniego porozumienia określił Krzysztof Bosak?

Takie stwierdzenie to czysty populizm. Niestety, polska debata publiczna jest sprowadzona do podobnych chwytliwych, ale pozbawionych sensu haseł. Polityka jest sztuką tego, co możliwe. Mnie też jako suwerenistę, który chciałby Unii Europejskiej jako wspólnoty wolnych państw narodowych, wiele rzeczy się w tym porozumieniu nie podoba. Kłopot jednak w tym, że nie my sami wyznaczamy kierunek, w którym zmierza historia. Musimy się jakoś odnaleźć w rzeczywistości i skutecznie bronić tego, co dla nas najważniejsze. A jeśli ktoś to krytykuje, to niech pokaże realną alternatywę i przekona do niej społeczeństwo.

W polskiej debacie dużo częściej mówi się też o praworządności niż o polityce klimatycznej. A czy przypadkiem nie jest tak, że to właśnie zapisy dotyczące klimatu stanowią dużo większe zagrożenie, niż Polska nie dostanie wynegocjowanych na szczycie pieniędzy?

Tak rzeczywiście jest. Pieniądze z Funduszu Odbudowy mają bowiem nie tyle być przeznaczone na odbudowę gospodarki, ile na jej transformację. Chodzi więc o cyfryzację – która z naszej perspektywy nie budzi wiele kontrowersji – ale też cele klimatyczne. To Komisja Europejska będzie więc oceniać nasz plan uzdrowienia gospodarki i jej odpowiednie departamenty zaczną ten plan sprawdzać, przynajmniej i modyfikować. Dopiero wówczas okaże się, jaka kwota z obiecanej puli rzeczywiście do nas trafi i czy rzeczywiście pomoże ona w ratowaniu polskiej gospodarki.

I znów można odnieść się do oceny Krzysztofa Bosaka – Polska nie jest w stanie zawetować całej polityki klimatycznej UE. Możemy jedynie dostosowywać zobowiązania do naszych możliwości.

Niestety, Fundusz Sprawiedliwej Transformacji, na który Polska bardzo liczyła, ograniczono na szczycie z 40 mld do zaledwie 10 mld euro z Funduszu Odbudowy i 7,5 mld w ramach wieloletnich ram finansowych.

Prezes Jarosław Kaczyński zapowiedział rekonstrukcję rządu. Zmiana ma nastąpić m.in. na stanowisku szefa dyplomacji. Kto powinien przejąć ster w MSZ?

To oczywiście pytanie do premiera Morawieckiego i prezesa Kaczyńskiego. Nie wiem, czy Jacek Czaputowicz rzeczywiście odejdzie. Moim zdaniem to bardzo dobry minister. Dzięki swojemu temperamentowi udało mu się uspokoić np. relacje polsko-niemieckie. Choć światnym ministrem był też Witold Waszczykowski o zupełnie innym temperamencie. Co do ogólnych zasad naszej polityki zagranicznej, uważam, że Polska powinna być aktywniejsza w świecie „pozaunijnym”.

Obecnie nasza polityka zagraniczna koncentruje się na UE, USA oraz Niemczech czy Rosji. Jako europoseł sporo podróżuję i często słyszę, że nawet za czasów PRL byliśmy bardziej aktywni w Azji (mówili mi o tym choćby politycy w Indiach). Obecnie rozmawiam z panem, będąc w Islandii, i sądzę, że dobrze byłoby, gdyby Polska na przykład przygotowała bardziej ambitną strategię arktyczną. Jesteśmy już bogatszym krajem niż 30 lat temu i powinniśmy śmiało szukać partnerów politycznych i gospodarczych poza Unią Europejską.



FOT. JAN DEBNA/PAP

Nowa totalność



Rafał A. Ziemkiewicz

PO chce przede wszystkim odzyskać władzę. Bez tego nie sposób zrozumieć wyborów prezydenckich ani tego, co następuje po nich – czyli ruchu nazywanego Nową Solidarnością

Tak zwani obrońcy demokracji mają niezwykłą zdolność psychologicznego wypierania oczywistych pryncypiów „swojej” partii politycznej. Za nic nie chcą przyjąć do wiadomości, że celem Platformy Obywatelskiej wcale nie jest, wbrew ponawianym od lat gromko deklaracjom, „odsunięcie PiS od władzy”. Tym celem jest powrót do władzy samej PO.

Oczywiście, jedno z drugim się wiąże – dopóki PiS władzy nie straci, dopóty PO o jej odzyskaniu nie ma co marzyć. Niemniej hierarchia spraw jest właśnie taka. I wynika z niej, że celem najważniejszym

jest dla PO utrzymanie hegemonii po stronie opozycji, marginalizacja odwołujących się do tego samego elektoratu konkurentów, a najlepiej ich skanibalizowanie – tak jak się to udało z Nowoczesną i jest na najlepszej drodze w przypadku PSL.

Bez tej świadomości nie sposób zrozumieć ani ostatnich pięciu lat „wojny polsko-polskiej”, ani ostatnich wyborów prezydenckich, ani tego, co dzieje się bezpośrednio po nich – w tym najnowszej inicjatywy PO, ogłoszonego na wiecu w Gdyni w piątek 17 lipca nowego „ruchu społecznego” o nazwie Nowa Solidarność.

NOWY RUCH?

Gdyby partyjną propagandę PO przyjmować za dobrą monetę i wierzyć, że celem nowej inicjatywy jest wykorzystanie „nowej energii, uruchomionej przez Rafała Trzaskowskiego” do wymuszenia na władzy „zmian” czy „demokratyzacji”, trzeba by uznać sposób przeprowadzenia sprawy za tak partacki, że aż graniczący z sabotażem.

Przede wszystkim pośpiech, z jakim ogłoszono powstanie ruchu, okaleczył go w zaraniu. Nie ogłasza się: „Oto przyszła ta chwila, powstańcie wszyscy i nic, trwaj-

cie w beczynnym entuzjazmie, czekając na konkrety”. Tymczasem Rafał Trzaskowski i inni uczestnicy wiecu nie mieli do powiedzenia nic poza ogólnikami i banałami. Ruch ma być ogólnie antypisowski, ale nie powiedziano zupełnie, czym i czy w ogóle ma się różnić od poprzednich tego rodzaju inicjatyw, takich jak KOD czy Obywatele RP, z których mimo ogromnego wsparcia mediów i „autorytetów” nic przecież nie wyszło. Ma się, podobnie jak i one, odwoływać do dziedzictwa Solidarności, ale nie tej obecnej, „PiS-owskiej”, tylko do bliżej niesprecyzowanych „korzeni”. Bardzo starym komentatorom może się tu przypomnieć konferencja o „etosie Solidarności”, która legła u podstaw pierwszego „zjednoczenia sił demokratycznych”, czyli partii popierających Tadeusza Mazowieckiego w wyborach 1990 r.

Myśl o „zagospodarowywaniu” zebranego w wyborach poparcia też nie jest nowa: mało kto już pamięta niemal identycznie brzmiące zapowiedzi stworzenia „ruchu społecznego”, który miał zebrać i poprowadzić przeciwko PiS pod przewodnictwem Bronisława Komorowskiego 8 mln jego wyborców z drugiej tury. Identyfikacja jak teraz zakładano, że każdy

z nich to potencjalny bojownik, który na pierwsze wezwanie swego kandydata ochoczo ruszy, by demonstrować na ulicy i włączy się w inne formy politycznej aktywności. Nie trzeba przypominać, jak odległe się to okazało od prawdy.

Podobne déjà vu budzi zapowiedź, że pierwszym zadaniem nowego ruchu będzie zbieranie podpisów pod projektami ustaw. Od tego właśnie zaczęła się Platforma Obywatelska. Tylko że w jej przypadku miało to sens (co potem z tymi projektami ustaw zrobiła, to inna sprawa), bo dwóch założycieli z trzech było bezpartyjnych, a trzeci – Donald Tusk – właśnie odszedł z Unii Demokratycznej, w której był wiceprzewodniczącym, po „wycięciu” jego ludzi w wewnętrznych wyborach. Tymczasem Rafał Trzaskowski ma przewodzić „niepartyjnemu, społecznemu” ruchowi (czy też być jego „symbolem”, bo tak dosłownie zapowiedział go na wiecu Borys Budka), nie rezygnując bynajmniej ze stanowiska wiceprezesa PO. A Platforma ma drugi największy klub poselski i jako taka może każdy projekt ustawy zgłosić od ręki. Zbieranie pod czymkolwiek podpisów jest w tej sytuacji cynicznym zapędzaniem zwolenników do biegnięcia z pustymi taczkami.

Ruch Nowa Solidarność mają zasilić jakieś ponadpartyjne autorytety, ale nie wiadomo jeszcze jakie – można być pewnym, że gdy się one ujawnią, okażą się ludźmi od dawna będącymi w ścisłej orbicie PO. Mają też współtworzyć go samorządy – również nie powiedziano, które, ale łatwo zgadnąć, bo przecież masę „ruchu samorządowego” wykorzystywała PO już kilkakrotnie. Czyli nowość jest tylko w nazwie, w gruncie rzeczy mamy ciągle mieszanie tej samej herbaty, bez dosypania bodaj odrobiny cukru.

PO CO TEN POŚPIECH?

Najbardziej znaczący jest jednak wspomniany już pośpiech. Po co ogłoszono powstanie Ruchu już teraz, skoro oficjalnie ma to nastąpić dopiero w rocznicę Sierpnia i nie ma jeszcze nawet „konkretnych założeń”, bo ich ogłoszenie zapowiedziano „pod koniec miesiąca”? Czy nie lepiej było najpierw, przed ogłoszeniem inicjatywy, porozmawiać z „autorytetami”, by od razu ogłosić ich listę, z innymi antypisowskimi partiami, no i przede wszystkim ze stowarzyszącym rzeczywiście nowy element sceny politycznej Szymonem Hołownią, jedynym w antyrządowym obozie, który ma

prawo uważać się za jeszcze niezgranego i mówić, że wniósł jakąś „nową energię”?

I tu jest właśnie odpowiedź, jedyna możliwa i oczywista: PO musiała ogłosić powstanie „obywatelskiego ruchu społecznego” szybko, jak najszybciej, choćby i kompletnie „na chybcika”, aby tylko uprzedzić ten ruch ze strony Szymona Hołowni.

Był to swoisty wyścig – kto kogo będzie „przyjmować” do „poszerzonej formuły” antypisowskiej (we własnym języku „demokratycznej”) opozycji. Hołownia, dość naiwnie, postanowił najpierw sformalizować i umocnić swoje stowarzyszenie Polska 2050. Tymczasem Trzaskowski postawił na pic, na pośpieszne postawienie atrapy, politycznego bytu służącego wyłącznie do bycia, czyli raczej pseudobytu – i wygrał. To on jako „symbol” i „nadzieja” (w antypisowskiej mediosferze) będzie teraz stawiał Hołowni warunki, a warunki te niewątpliwie będą takie, że ich przyjęcie będzie oznaczało zrobienie z ruchu Hołowni drugiej Nowoczesnej.

Gdy zaś Hołownia spróbuje się postawić dyktatowi PO – a przecież, jeśli rzeczywiście chce coś osiągnąć i nie jest ostatnią fafułą, musi – zostanie zmiażdżony gromkim oskarżeniem, że „rozbija jedność obozu demokratycznego”. A więc jest, by tak rzec, ukrytą opcją PiS-owską. Zresztą, propaganda PO nie czeka, aż Hołownia się postawi, czołga go już teraz, czyniąc głównym winnym przegranej Trzaskowskiego w drugiej turze. Podczas gdy „zawsze wierny” PO Tomasz Lis wtórował powstawaniu Nowej Solidarności groteskowymi zachwyty nad banałami Trzaskowskiego jako „przemową na miarę Churchilla”, jego redakcyjny politruk Cezary Michalski już wskazał główne zagrożenie dla „obrońców demokracji”: to „symetryści” Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz!

Tworzeniu atrapy „ruchu społecznego” towarzyszy brnięcie PO w radykalną delegitymizację państwa polskiego. Na użytek swojej „bańki informacyjnej” liderzy tej partii utrzymują, że wybory były nielegalne (co na zewnątrz niuan-sowane jest groteskowymi formułami „legalne, ale skrócone”, „na doping” etc., bo przecież konsekwentne trzymanie się wersji włączanej „żelaznemu elektoratowi” uniemożliwiłoby PO wszelką politykę i czerpanie korzyści z bycia główną opozycją). Skoro wybory są nielegalne, to nielegalny jest też prezydent – a Sąd

Najwyższy, który odmówi stwierdzenia tej nielegalności, też okaże się nielegalny, tak jak zresztą każdy sąd, bo przecież KRS jest „niekonstytucyjna”, a każdy powołany przez nią sędzia nie jest sędzią. O tym, że nielegalny i pozbawiony „moralnej legitymacji” jest rząd – bo przecież „nie może rządzić jeden człowiek” – nie warto przypominać, podobnie jak o nielegalności Trybunału Konstytucyjnego.

ŚWIAT UROJEŃ

W takim dusznym, paranoicznym świecie urojeń każda wątpliwość jest zdradą, kolaboracją z „putinowską władzą”, a każdy, kto uznaje legalność „państwa PiS”, na przykład przyjmując nominację czy odznaczenie albo tylko nie uczestnicząc w radykalnej z nim walce (tak jak „zaprzędany Kaczyńskiemu” Pol-sat Zbigniewa Solorza), staje się, mówiąc po Michnikowemu, „świnia”.

Nic nowego. To wciąż formuła „opozycji totalnej”, zadeklarowana przez Grzegorza Schetynę pięć lat temu. Formuła bardzo utrudniająca, w gruncie rzeczy uniemożliwiająca, odsunięcie PiS od władzy, ale przede wszystkim – i to jest najważniejsze – uniemożliwiająca wyrośnięcie politycznej konkurencji, bezlitośnie niszczonej jako zdrajcy przez liberalno-lewicowe salony i media.

Z tego radykalizmu – nawiasem mówiąc, wzorowanej na sukcesie PiS, tak jak go PO i jej salony zrozumiały – PO zamierza zapewne wyjść dopiero przed samymi wyborami. Próbowala tego już w tych, wystawiając Małgorzatę Kidawę-Błońską, tak jak PiS w 2015 r. nieoczekiwanie wystawił na front Andrzeja Dudę i Beatę Szydło, ukrywając za nimi Antoniego Macierewicza i samego prezesa. Tylko że powtórka starego manewru przeciwnika zupełnie PO nie wyszła, przywodząc ją na krawędź katastrofy. Ratunkiem był powrót do radykalizmu i skrajnych emocji, co musiało finalnie zagrać na korzyść PiS (kiedy Włodzimierz Czarzasty mówi, że gdyby PO naprawdę chciała zmiany, poparłaby Hołownię albo Kosiniaka-Kamysza, nie można mu odmówić racji).

I ten kurs jest kontynuowany w nadziei, że tak jak kiedyś Kaczyńskiemu radykalizm pozwolił PO dotrzeć do następnych wyborów bez rozłamów i bez liczącego się rywala do „rządu dusz” nad „Polską anti-PiS”. „Obywatelski, ponadpartyjny ruch” to tylko skoordynowana z nim zagrywka taktyczna.

W sprawie wyboru nowej osoby na stanowisko RPO jest dość cicho. Prawdopodobnie dlatego, że dla strony rządzącej jest to nieco skomplikowane z powodu mechanizmu wyboru takiego urzędnika przewidzianego przez ustawodawcę. Z kolei dla opozycji dalsze trwanie Adama Bodnara – najbardziej kontrowersyjnego z rzeczników w historii tego urzędu – jest okazją do zbudowania trwałszego instytucjonalnego przyczółku w politycznej wojnie.

W obecnej sytuacji parlamentarnej w kwestii wyboru nowego rzecznika wiele zależy od woli opozycji. A to okazja to realnego starcia, także podgrzania go w mediach. Co więcej, Adam Bodnar angażuje się politycznie w sposób idący jawnie wbrew linii obozu rządzącego. W sprawach zaś, w których zaangażowanie rzecznika budziło największe kontrowersje, wydaje się, że kierował się bardziej wyznawaną przez siebie ideologią niż polskim porządkiem konstytucyjnym. A przecież obronę tego porządku opozycja ciągle ma na ustach.

Dla zwykłych obywateli stawką starcia o obsadę urzędu rzecznika jest trwanie lub przerwanie, a przynajmniej osłabienie ideologicznej ofensywy, w której udział bierze wciąż urzędujący rzecznik.

DECYDUJĄCY SENAT

Rzecznika Praw Obywatelskich na pięcioletnią kadencję w formie uchwały wybiera Sejm. Kandydatów proponuje marszałek Sejmu lub 35 posłów. Najważniejsze jest jednak to, że ten wybór musi potwierdzić w ciągu 30 dni Senat. Jeśli zwycięży tam strategia „totalnej opozycji” – niezależnie od jakichkolwiek merytorycznych zastrzeżeń – wówczas Adam Bodnar będzie trwał na stanowisku. Tak bowiem jest skonstruowana kadencja tego urzędu. Jeśli politycy nie dochodzą do porozumienia, to dotychczasowy rzecznik pozostaje na urzędzie tak długo, jak będzie to konieczne. Profesor Andrzej Zoll był rzecznikiem o dziewięć miesięcy dłużej, niż to było przewidziane. Sejm odrzucił kandydaturę prof. Andrzeja Rzeplińskiego i obywatele czekali na swojego rzecznika aż do pojawienia się kandydatury Janusza Kochanowskiego. Jednak prof. Zoll nie był wojującym ideologiem, ale konstytucjonalistą, który, gdy zasiadał w Trybunale Konstytucyjnym, uznał, że zasada ochrony życia ludzkiego także w fazie



FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER



Tomasz Rowiński

Na początku września kończy się kadencja Adama Bodnara na stanowisku RPO. Stawką kolejnej kadencji jest trwanie lub przerwanie ideologicznej ofensywy, którą wspiera

Rzecznik rewolucji

prenatalnej jest fundamentem demokratycznego państwa prawa. Zasady działania Adama Bodnara nie są tak oczywiste.

Cisza wokół wyboru nowego RPO w ciągu ostatnich miesięcy mogła sugerować, że być może sam PiS uzna trwanie Bodnara za przydatne politycznie. Adam Bodnar mógłby być swego rodzaju straszakiem na niezadowolony z rządów PiS prawicowy i katolicki elektorat, ikoną nadchodzącej rewolucji społeczno-politycznej pod tęcza flagą. Żeby urzędowanie Adama Bodnara zakończyło się tak, jak powinno – 9 września, już na posiedzeniu Sejmu w dniach 22–24 lipca powinien zostać wybrany nowy kandydat. Kolejne posiedzenie odbędzie się bowiem dopiero po sierpniowych wakacjach. Senat mógłby zatwierdzić nowego rzecznika podczas swojego najbliższego posiedzenia, które odbędzie się między 5 a 7 sierpnia. Z informacji, które podał na łamach „Gościa Niedzielnego” Bogumił Łoziński, wynika, że opcja instrumentalnego wykorzystania poglądów Bodnara do perswazyjnej politycznej rozgrywki nie jest brana pod uwagę. Według Łozińskiego PiS liczy raczej na przekonywanie niektórych senatorów opozycji, by poparli nowego kandydata, którego zaproponuje Sejm. Gdy ten tekst się ukazuje, być może pewne rozstrzygnięcia już zapadły lub są w trakcie ustaleń i negocjacji. Istnieje jednak pewne niebezpieczeństwo, że zachowanie opozycji w stylu totalnego sprzeciwu spowoduje uruchomienie strategii straszaka: „Zobaczcie, kto tu nie jest zdolny do kompromisu, kto tu jest radykalny”. A Adam Bodnar na radykała znakomicie się nadaje.

RPO KONTRA ŁĄD

Przede wszystkim bowiem można mieć wątpliwości, czy Adam Bodnar akceptuje polski porządek konstytucyjny. W głośnej sprawie drukarza z Łodzi, który odmówił drukowania materiałów propagandowych fundacji LGBT Business Forum, RPO zaatakował gwarantowaną konstytucyjnie w Polsce wolność wyznania i sumienia za pomocą przepisu z PRL. Został on w Polsce potraktowany jako implementacja unijnej dyrektywy antydyskryminacyjnej. Chodzi o art. 138 Kodeksu wykroczeń, który w alternatywnej rzeczywistości realnego socjalizmu miał wymuszać świadczenie usług po cenach ustalonych

urzędowo. Pamiętajmy, że właściwie jedynym pracodawcą w czasach Polski Ludowej było samo państwo. Odmowa wykonania usługi miała wymusić na kliencie zaproponowanie wyższej kwoty od tej ustalonej z góry. Wyroki skazujące drukarza w sądach kolejnych instancji wzięły się z tego, że faktycznie powstały interpretacje tego przepisu w kluczu antydyskryminacyjnym. Szeroko pisał o tym Łukasz Zboralski („Do Rzeczy”, nr 24/2020, w artykule „Wolność kontra dyskryminacja”). Jednak te akademickie interpretacje Trybunał Konstytucyjny w czerwcu 2019 r. potraktował tak, jak na to zasługiwały, czyli niczym rodzaj życzeniowego, być może ideologicznego myślenia. Trybunał uznał, że art. 138 nie daje żadnych podstaw, by traktować go jako implementację unijnej dyrektywy 2000/43/WE z czerwca roku 2000 wprowadzającej w życie zasadę równego traktowania osób bez względu na pochodzenie rasowe lub etniczne. Trybunał uznał, że art. 138 jest nadmierną ingerencją w wolność jednostki. Sprawa wytoczona przez, najwyraźniej, suflującego ideologię politycznego ruchu homoseksualnego Adama Bodnara upadła tylko dzięki determinacji prokuratora generalnego i Instytutu Ordo Iuris. Co by było, gdyby tej determinacji zabrakło?

Nieco podobnie sprawa wygląda w sporze o Samorządową kartę rodziny i inne podobne uchwały, które przyjęło wiele jednostek samorządu terytorialnego w Polsce. Rzecznik Praw Obywatelskich jest jedną z aktywnych stron tego sporu. Chociaż dokumenty, które przyjmują samorządy, są po prostu lokalnym potwierdzeniem zasad polskiej konstytucji, to rzecznik zarzuca im między innymi niekonstytucyjność. Co jednak warto są te zarzuty, można było zobaczyć w sposobie interwencji, na jaki zdecydowało się biuro rzecznika. „Nasz podstawowy zarzut jest więc formalny. Chcemy wykazać, że samorządy, uchwalając dokumenty, wyszły poza ramy kompetencji” – mówiła dla portalu OKO.press adw. Anna Błaszczak-Banasiak z Biura RPO. Pisałem więcej o sprawie w artykule „Tęczowy atak na samorządy” („Do Rzeczy”, nr 28/2020). Do tej pory pięć skarg rzecznika zostało odrzuconych, a jedna uznana za zasadną w wątpliwy sposób. Jak pisał o tym prezes Instytutu Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski: „Wbrew brzmieniu deklaracji

sąd w Gliwicach uznał, że zakazuje ona edukacji seksualnej. [...] W szczególności warto przypomnieć orzeczenie WSA w Krakowie, który jednoznacznie odrzucił skargę RPO, pouczając Rzecznika o wolności wyrażania opinii i ocen zjawisk społecznych przez samorząd. [...] Sprawa musi dotrzeć do NSA. To nie tylko kwestia wolności samorządów, ale także konstytucyjnych praw rodziców”.

ZBROJNA DEMOKRACJA

Adam Bodnar chętnie odwołuje się do koncepcji praw człowieka, którym hołdują niedemokratyczne, wręcz autorytarne gremia anonimowych ekspertów czy aktywistów ponadnarodowych ciał roszcujących sobie prawo do globalnej władzy moralnej. Ludzie ci przez nikogo nie są wybierani ani nikogo nie reprezentują. Na pewno nie reprezentują polskich obywateli i ich konstytucji.

W swoim głośnym przemówieniu programowym w Muzeum Polin Adam Bodnar odwołał się do koncepcji „militant democracy” [„zbrojnej demokracji” – przyp. red.], której głównym postulatem jest ograniczanie wolności słowa i wolności politycznej wobec arbitralnie zdefiniowanych wrogów demokracji. Arbitralność, uznaniowość to zresztą drugie imię rewolucji. Dzisiaj prawa człowieka stały się obszarem takiej rewolucji. Nie definiuje ich już Powszechna konwencja z roku 1949, nie mówiąc o Dekalogu, który był ważnym punktem odniesienia dla twórców katalogu praw. Obecnie kolejne grupy tożsamościowe za pomocą sloganu „praw człowieka” walczą o przywileje, które kuriozalnie nazywa się równością. Rewolucja, choć mówi o walce z przemocą, to wprowadza nieustanną przemoc jako zasadę społeczną. Choćby to była przemoc na paragrafy, orzeczenia, na medialne narracje. Wieszczeni niegdyś „koniec historii” przeradza się na naszych oczach w „wojnę wszystkich ze wszystkimi”, z której wybawić miał ją „postęp społeczny”. Coś jednak jest nie tak, skoro antagonizmy rosną, a rzecznik praw obywatelskich sporego kraju w Europie proponuje stosowanie ideologicznej prewencji wobec ludzi niepasujących do „postępu”.

Adam Bodnar jest aktywnym uczestnikiem tej rewolucji, dlatego trzeba możliwie najszybciej rzecznika zmienić. To sprawa wszystkich posłów i senatorów dobrej woli. Niezależnie od przynależności partyjnej.

Arcybiskup Ryś na fali



Piotr Semka

Arcybiskup Grzegorz Ryś może stać się liderem młodej generacji hierarchów mających dość zachowawczej linii starszej części episkopatu. Pytanie, czy nie otworzy to drogi do takiego modelu Kościoła, jaki jest w Irlandii czy Austrii. Skupionego na indywidualnym przeżywaniu wiary, który nie śmie rzucić wyzwania procesom laicyzacji

Lakoniczny komunikat Stolicy Apostolskiej z 25 czerwca głosił: „Ojciec Święty mianował administratora apostolskiego sede plena dla diecezji kaliskiej. Został nim metropolita łódzki abp Grzegorz Ryś. Administrator apostolski sede plena kieruje diecezją, kiedy poważna przeszkoda uniemożliwia sprawowanie urzędu biskupowi ordynariuszowi. Ordynariuszem diecezji kaliskiej jest bp Edward Janiak”. Ta wiadomość, która ukazała się w polskich mediach katolickich, przeszła bez większego echa. Zwolennicy arcybiskupa łódzkiego przyjęli ją jako włączenie do akcji kogoś, kto ma ukrócić działania publiczne biskupa kaliskiego, który zaczął nadużywać swej pozycji biskupa do prowadzenia publicznej akcji głoszenia swej niewinności.

Mało kto jednak w mediach przypomniał, że sprawą bp. Janiaka zajmuje się na mocy pełnomocnictwa Watykanu metropolita abp Stanisław Gądecki, któremu diecezja kaliska podlega jako część metropolii poznańskiej. Zwrócił na to uwagę ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, który w wywiadzie dla „Do Rzeczy” mówił: „Jedną rzeczą jest dla mnie frapująca [...]. Jak widać, Watykan dokładnie przeanalizował sytuację, podjął decyzję, że metropolita poznański i przewodniczący Komisji Episkopatu Polski nie będzie zarządzał całą

(archi)diecezją [...]. Świadczy to o pewnym braku zaufania Stolicy Apostolskiej do struktur kościelnych w Polsce”. Inaczej na tę sprawę patrzy szef „Christianitas” Paweł Mielcarek: „Decyzja Stolicy Apostolskiej sama z siebie nie jest aż tak dziwna. W sytuacji konfliktowej Kościół często uznaje, że lepiej, aby diecezją, w której biskup staje się obiektem postępowania, zarządzał ktoś spoza metropolii. Uwagę zwracać może coś innego. Abp Ryś w liście skierowanym do wiernych diecezji kaliskiej już po objęciu swej funkcji administratora apostolskiego pisał: »W najbliższym czasie wystąpię do Nuncjatury Apostolskiej w Polsce o przywrócenie mi kompetencji w sprawach oskarżeń o nadużycia seksualne wobec duchownych diecezji kaliskiej«.

Wyglądać to może na pewien rodzaj rywalizacji z arcybiskupem Gądeckim”.

Metropolita poznański otrzymał już wcześniej od Stolicy Apostolskiej zadanie wyjaśnienia wszystkich wątpliwości wobec bp. Edwarda Janiaka. Siłą rzeczy w polu zainteresowania tego śledztwa muszą być przypadki pedofilii, o które obwiniani są księża podlegli bp. Janiakowi. Czy oba śledztwa nie będą na siebie nachodzić? Jeden z księży obserwujących od wielu lat pracę episkopatu tak komentuje tę sytuację: „Decyzje Stolicy Apostolskiej w sprawie diecezji kaliskiej są czymś absolutnie



Typ aktywności duchowej abp. Grzegorza Rysia (z lewej) doskonale wpisuje się w program duszpasterski papieża Franciszka

FOT. GETTY IMAGES

nowym w praktyce polskiego Kościoła. Po pierwsze dwukrotnie Watykan zainteresował w sprawie wyjaśnienia zarzutów wobec bpa Janiaka, po drugie – wyznaczył abp. Rysia do roli specjalnego »superwizora«, który ma pilnować porządku w diecezji kaliskiej. Wszystko to burzy niekwestionowaną dotąd zasadę, że metropolią zarządza wyłącznie dany metropolita. Z pewnością wywoła zbulwersowanie części biskupów, szczególnie tych starszej generacji z epoki Jana Pawła II, którzy przyzwyczaili się do sytuacji pełnej kontroli nad swoimi diecezjami. Tyle że interwencje Rzymu nie wzięły się znikąd. Bardzo powolne tempo reakcji na oskarżenia tuzowania spraw pedofilskich bulwersuje część opinii katolickiej.

Przekonanie, że nadzwyczajna sytuacja wymaga nadzwyczajnych metod, tłumaczy reakcje takie jak ks. Isakowicz-Zaleskiego. Ten krakowski kapłan, bijący od lat na alarm w sprawie lustracji biskupów, a potem zwlekania z rozliczeniem pedofilii, wskazuje, że na bok należy odłożyć dotychczasowe procedury. Wyjaśnienie spraw pedofilskich wymaga szybkiego działania. Czy jednak przy okazji ręcznego sterowania Rzymu na bok nie jest spychany przewodniczący episkopatu?

W takim pejzażu kryzysu Kościoła abp Ryś wysuwa się na kogoś, kto otrzymał „special mission” od Watykanu. Formalnie nie jest nawet w prezydium episkopatu, a jedynie w jego radzie stałej, jako jeden z sześciu biskupów. Nie sposób jednak nie zauważać, że faktyczna pozycja abp. Rysia staje się o wiele większa niż jego formalne usytuowanie w hierarchii episkopatu.

KRAKOWSKI SZNYT

Grzegorz Ryś jak na warunki polskiego episkopatu jest dość młody. Urodził się w 1964 r. w Krakowie. Wychowywał się i dojrzewał do powołania kapłańskiego w latach, gdy środowisko „Tygodnika Powszechnego” było u szczytu swojej potęgi. Bardzo silny wpływ wywarł na niego filozof ks. Józef Tischner, a także historyk Kościoła ks. prof. Jan Kracik. Nic dziwnego, że dla wielu obserwatorów abp Ryś jest kolejnym przykładem krakowskiej tradycji „Kościoła otwartego”, do której zaliczano wcześniej abp. Józefa Życińskiego czy obecnego kard. Kazimierza Nycza. Innym elementem jego „krakowskości” był chętnie przytaczany przez jego zwolenników fakt, że ochrzczony został w bazylice Mariackiej w Krakowie przez niezwykle zasłużonego kapłana, ks. Ferdynanda Ma-

chaya. W mieście, w którym tradycję ceni się wysoko, takie drobiazgi mają znaczenie. Początkowo wydawało się, że przeznaczeniem wyświęconego w 1988 r. w katedrze na Wawelu ks. Rysia będzie raczej kariera naukowca. Owszem, przez rok pracował jako wikariusz w parafii Świętych Małgorzaty i Katarzyny w Kętach, ale szybko wrócił do ukochanego Krakowa.

Od 2004 r. pełnił funkcję dyrektora Archiwum Kapituły Metropolitalnej w Krakowie. Dał się jednocześnie poznać jako kapłan „medialny”. W tej roli występował w TVP w czasie dwóch ostatnich pielgrzymek Jana Pawła II w Polsce. Dalsza kariera naukowa wiodła przez szefowanie Katedrze Historii Kościoła w Średniowieczu w Instytucie Historii Wydziału Historii i Dziedzictwa Kulturowego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II. Arcybiskup, a później kard. Stanisław Dziwisz nieco na zasadzie eksperymentu powierzył mu urząd rektora Wyższego Seminarium Duchownego. Piotr Legutko – dziś szef TVP Historia, niegdyś w „Gościu Niedzielnym” – wspomina: „Trzeba przyznać, że bardzo dobrze dał sobie radę jako rektor seminarium. Nie widział nic zdrożnego w grze w piłkę z seminarzystami, chodził z nimi razem na pielgrzymki na Jasną Górę i okazało się, że miał bardzo dobry kontakt z młodymi ludźmi. Był blisko seminarzystów i ich spraw. Bardzo za to go lubili”.

W 2011 r. papież Benedykt XVI mianował Grzegorza Rysia biskupem pomocniczym diecezji krakowskiej. Szybko poświęcił się on pracy z młodzieżą, a jego specjalnością będzie hasło nowej ewangelizacji. Pod Wawelem wspominają go jako hierarchę pełnego inwencji. Stało się to zresztą jego specjalnością. Jeden z krakowskich kapłanów mówi: „Biskup Ryś powtarzał wszystkim, którzy chcieli go słuchać, że trzeba wyjść z kościoła do ludzi, a nie pysznie czekać, kiedy oni przyjdą na mszę”. Bardzo rozwinął duszpasterstwo. Był otwarty na nowe formy ewangelizacji, takie jak taniec liturgiczny, ale angażował się też w akcje, z którymi utożsamiali się bardziej konserwatywni wierni. Jedną z nich były protesty podjęte zresztą przez młodzież z duszpasterstw, w której domagano się od prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego zatrzymania procesu zamianiania centrum Krakowa w dzielnicę klubów go-go.

Trudno się dziwić, że ten typ aktywności duchowej doskonale wpisywał się w program duszpasterski papieża Franciszka, który objął Tron Piotrowy w marcu

2013 r. I tu bardzo szybko okazało się, że stał się on personifikacją nadziei katolików otwartych i „Tygodnika Powszechnego”. Tych, którzy mieli nadzieję na robienie w polskim Kościele „rabanu”. Ale wspomniany już Piotr Legutko, któremu do środowiska „Tygodnika Powszechnego” dość daleko, wyraźnie zaznacza: „Moim zdaniem nie jest to biskup progresywny. Umie rozkładać akcenty tak, by zachęcać do nowelizowania form ewangelizacji, ale bez banalizowania przekazu. Kościół powinien mieć różnych kapłanów na różne role. Ktoś gra na lewym skrzydle, a ktoś inny na prawym. Arcybiskup Ryś doskonale pasuje do publiczności młodej. Wybrałem się kiedyś do muzeum Polin w Warszawie na dyskusję o polskim antysemityzmie. Mogę zaświadczyć, że próbowano wymusić na nim zdania z kanonu poprawności politycznej, ale nie dawał się wpisywać w żadne schematy”.

We wrześniu 2016 r. ogłoszono odejście w stan spoczynku kard. Stanisława Dziwisza. Kręgi krakowskiego Kościoła otwarte go były pewne, że zastąpi go abp Ryś. Ku ich konsternacji kurie przy Franciszkańskiej otrzymał abp Marek Jędraszewski. Biskup Ryś nie musiał zbyt długo pełnić posługi pod nieulubianym przez otwarty katolicyzm hierarchą. We wrześniu 2017 r. papież Franciszek mianował go arcybiskupem metropolii łódzkiej.

ŻONGLER SŁÓW

Krytycy abp. Rysia wskazują, że nauczył się on od swojego mistrza, ks. Józefa Tischnera, dość chwytliwej manieri załatwiania poważnych kwestii efektownymi, ale w gruncie rzeczy płytkimi chwytami.

W sieci można obejrzeć fragment jego wystąpienia na spotkaniu z młodzieżą, na którym poruszono problem uchodźców. Linia abp. Rysia polega na ciągłym powtarzaniu, że katolicy nie mogą dać narzucić sobie – by użyć jego określenia – dyskursu polityczno-gazetowego. Za pomocą tego zaklęcia abp Ryś zamyka dyskusję nad wszelkimi konkretnymi pytaniami o społeczne konsekwencje przyjmowania emigrantów, np. w sprawie proponowanej przez papieża Franciszka akcji jedna parafia – jeden emigrant. Na czym polega ta metoda retoryczna? W opowieści abp. Rysia na spotkaniu dekanalnym księżą z kapłanów miał powiedzieć: „Żadnych emigrantów do Polski, tylko żeby się episkopat nie wygłupiał”. Na uwagę któregoś z innych kapłanów, że tam są też chrześcijanie, zaciętrzewiony ksiądz z opowieści biskupa odpowiada:

„Chrześcijan też nie. Żadnych chrześcijan”. Wtedy abp Ryś zwierzył się młodemu, że „nie wytrzymał” i przypomniał księdzu, iż chrześcijanie na Bliskim Wschodzie są prześladowanymi świadkami wiary, za wierność swojej religii płacą męczeństwem i taka postawa wyznawcy była np. w starożytności otoczona najwyższą czcią w społecznościach chrześcijańskich.

Warto zanalizować tego typu metodę dyskusyjną. Biskup Ryś ułatwia sobie sytuację, uciekając od problemu migracji wyznawców islamu, przenosi rozważania na temat chrześcijańskich uchodźców. Ułatwia sobie dodatkowo sytuację, opowiadając o kapłanie, który jest tak zapięklonym przeciwnikiem emigrantów, że występuje nawet przeciwko bliskowschodnim braciom w wierze. A wtedy nietrudny jest już decydujący sztych – jak można odrzucić braci w wierze, którzy tyle przeszli?

Tyle że w czasie fali imigracyjnej 2015 r. chrześcijanie stanowili margines masy migracyjnej. Na dodatek w Polsce większość opinii konserwatywnej była za przyjmowaniem chrześcijan z Bliskiego Wschodu.

Wspomniany przykład pokazuje drugą stronę sprawności retorycznej abp. Rysia. Gdy trzeba, omija on niewygodne dla siebie kwestie, sprowadzając obce sobie poglądy do karykatury, by tym łatwiej je odrzucić.

W lipcu 2016 r. Kraków i archidiecezja krakowska zorganizowały kolejne Światowe Dni Młodzieży. Była to wręcz impreza wymarzona dla typu aktywności duszpasterskiej, w której dał się poznać bp Grzegorz Ryś. To on przygotował rozważania na uroczystości drogi krzyżowej na Błoniach krakowskich. Wpisały się one bardzo dobrze w nauczanie papieża Franciszka na temat uchodźców. Zaangażowanie bp. Rysia w duchowy przekaz ŚDM zostało zauważone w Stolicy Apostolskiej. On sam pasował dobrze do zaleceń nowego papieża, by Kościół pozbył się zadęcia, wyszedł do ludzi, zapomniął o wyniosłości, a drogie limuzyny sprzedał, aby uzyskać pieniądze na potrzeby biednych.

Dla bp. Rysia drogą do częstych kontaktów ze Stolicą Apostolską stała się znajomość, jak można sądzić, wręcz przyjaźń, z Polakiem Konradem Krajewskim. Obaj są niemal rówieśnikami – Krajewski urodził się w 1963, a Ryś w 1964 r. Kariera Konrada Krajewskiego była zaskakująco szybka. Nominację biskupią otrzymał w 2013 r., a pięć lat później, 28 czerwca 2018 r., Franciszek wręczył mu kapelusz kardynalski. Jeden z księży dobrze znających relacje na linii Polska–Rzym mówi: „Zetknąłem

się z opiniami, że powołanie we wrześniu 2017 r. dotychczasowego biskupa pomocniczego krakowskiego Grzegorza Rysia na urząd arcybiskupa metropolity łódzkiego mogło być pomysłem bp. jałmużnika papieskiego.

Łódź nigdy nie miała ważnego miejsca na mapie religijnej Polski, w odróżnieniu od tradycyjnych stolic arcybiskupich, takich jak: Poznań, Wrocław, Kraków czy Warszawa. A jednak rodzinne miasto abp. Krajewskiego – Łódź – doskonale wpisuje się we wrażliwość papieża Franciszka. Sam zawsze podkreślał wagę pracy duszpasterskiej w dzielnicach ubogich. Łódź, miasto, które po upadku komunizmu przeżyło załamanie gospodarcze, doskonale pasowało do franciszkańskiego wezwania zwrócenia uwagi na ubogich i wykluczonych.

Krajewski nie kryje bliskich relacji z abp. Rysiem. W 2019 r. wziął z nim udział w 93. łódzkiej pielgrzymce na Jasną Górę. Gdy w lipcu 2018 r. abp Ryś otrzymał paliusz – zwyczajowy atrybut metropolitów, Krajewski żartował: „Widziałem klucz kormoranów, widziałem pęd rumaków, widziałem jezioro łabędzie, ale Rysia w paliuszu jeszcze nie widziałem”.

Tak dobre „wejścia” w Watykanie składają do powracających spekulacji na temat kapelusza kardynalskiego dla abp. Rysia. Dziś na terenie Polski jest tylko jeden zarządca metropolii, który ma tytuł kardynała. Jest nim abp Kazimierz Nycz. Od paru lat bez kapelusza kardynalskiego pozostają metropolie Krakowa i Wrocławia, ośrodków religijnych tradycyjnie utożsamianych z kardynalską purpurą. Czyżby pierwszym kardynałem polskiej metropolii mianowanym przez papieża Franciszka miałby być arcybiskup łódzki?

APOLITYCZNA POLITYKA?

„Rzeczpospolita”, prezentując jesienią 2017 r. sylwetkę abp. Grzegorza Rysia, pisała: „W czasie, gdy niektórzy »facebookowi« i »twitterowi« duchowni, ale bywa również, że udzielający wywiadów w tradycyjnych mediach, bez zażenowania prześcigają się w ujawnianiu [...] wyrażonych antypatii politycznych, abp Ryś konsekwentnie robi swoje: głosi słowo Boże”.

Czy abp Ryś jest poza polityką? Pytany o zaangażowanie polityczne Kościoła w Polsce w wywiadzie dla portalu archidiecezji łódzkiej przyjmuje pryncypialny ton. Przypomina, że Kościół hierarchiczny nie może zajmować się realną polityką. „Nie jest rolą Kościoła wskazywanie, która partia nie jest lub jest chrześcijańska albo

na kogo należy głosować” – zaznaczał. I przyznawał, że wrażenie uwikłania Kościoła w Polskę w politykę „nie jest bez podstaw”.

Arcybiskup Ryś rzeczywiście nie daje się fotografować razem z politykami. Ale ten rygorysta nie działa już w wypadku parapolityki, która w Polsce niezwykle silnie towarzyszy podziałom politycznym.

Ktoś, kto wygłaszał homilię na pogrzebie Krzysztofa Kozłowskiego, senatora Unii Wolności, czy przewodniczył we mszy żałobnej za duszę Andrzeja Wajdy, sytuuje się jakoś na mapie polskich sympatii, niezależnie od formatu i zasług osób, które zegnał.

Przykładem sympatii metropolity łódzkiego jest jego długoletnia rola felietonisty w „Tygodniku Powszechnym”, piśmie o bardzo wyraźnych sympatiach politycznych. Nic dziwnego, że w konserwatywnej części katolickiej opinii publicznej wywołuje to krytykę. Publicysta Leszek Sosnowski na łamach miesięcznika „Wpis” w 2015 r. tak oceniał życzliwość bp. Rysia wobec tygodnika z Wiślniej. „Wzmaga [...] zamęt i niepokój fakt, że na łamach »Tygodnika Powszechnego« regularnie publikuje jeden z członków Episkopatu, krakowski biskup pomocniczy Grzegorz Ryś – z tego, co się orientuję, czyni to na własną rękę, bez aprobaty swego przełożonego, a nawet wbrew niemu. Tygodnik bowiem od dawna nie ma ani charakteru kurialnego, ani asystenta kościelnego, choćby w osobie najskromniejszego księdza”.

Nie znaczy to, że metropolicie łódzkiemu nie zdarza się wychodzić poza liberalne milieu. W kwietniu 2018 r. w ramach cyklu debat z okazji stulecia niepodległości w łódzkiej kurii dyskutował o polskości i wynikających z tego obowiązkach z Markiem Jurkiem i Ryszardem Bugajem. Ale to jednak zdecydowana mniejszość dialogowania abp. Rysia.

Mówiąc w skrócie, znacznie częściej metropolicie łódzkiemu zdarza się prowadzić dialog z Adamem Michnikiem czy Szymonem Hołownią niż z Bronisławem Wildsteinem czy ze Zbigniewem Stawrowskim.

Kolejną niekonsekwencją na tle gromko deklarowanego sprzeciwu wobec politykujących księży jest stosunek metropolity łódzkiego do ks. Wojciecha Lemańskiego. Ten suspendowany przez długi czas kapłan diecezji warszawsko-praskiej w lipcu 2018 r. zwrócił się do biskupa praskiego Romualda Kamińskiego o zawieszenie do odwołania zastosowanej kary suspensy. Jak informował wówczas komunikat die-

cezi warszawsko-praskiej, wolę przyjęcia go na czas próby do archidiecezji łódzkiej wyraził ks. abp Grzegorz Ryś. Kuria zazna-
czała, że od 11 lipca 2018 r. ks. Lemański
znajduje się pod jurysdykcją abp. Rysia
i na terenie jego diecezji może on sprawo-
wać posługi duszpasterskie.

Jednak już tego samego dnia, kiedy
ogłoszono komunikat kurii, ks. Lemański
na Facebooku wyszydził parę prezydenc-
ką. Kolejne wyraziste wypowiedzi ks.
Lemańskiego następowały aż do momentu
pewnego przekroczenia wszelkich granic,
gdy zwrócił się na Twitterze do znanego je-
zuity, o. Dariusza Kowalczyka, w kontekście
sporu o film „Kler”. Ksiądz Lemański napi-
sał wówczas: „Od bp. Pieronka i red. Mich-
nika odwal się, klecho, bo im do pięt nie
dorastasz”. Co charakterystyczne, kuria
łódzka nie zabrała głosu w tej sprawie.

Sytuację ratował wtedy bp Kamiński,
upominając ks. Lemańskiego w rozmowie
telefonicznej. Ale nie minął miesiąc, gdy
ks. Lemański zaatakował w Radiu TOK FM
swojego byłego zwierzchnika, abp. Hen-
ryka Hosera. W ciągu kolejnego półtora
roku ks. Lemański co rusz wypowiadał się
w różnych mediach w sposób lekceważący
dla Kościoła, atakując np. benedyktyna
Leona Knabita. Przez cały czas tego rze-
komego pobytu „na próbę” żadna z jego
kolejnych skandalicznych wypowiedzi nie
spotkała się z publicznym napomnieniem
abp. Rysia, o zakończeniu posługi ks. Le-
mańskiego w archidiecezji łódzkiej już
nawet nie wspominając.

Kolejną kontrowersję arcybiskup
łódzki wywołał w sierpniu 2018 r. swoją
wypowiedzią na uroczystościach rocznicy
likwidacji getta łódzkiego. Wyraził wów-
czas opinię, że „zagładę stworzyli w dużej
mierze ludzie, trzeba to powiedzieć,
niestety, z bólem serca. Ludzie, których
wychowywały Kościoły chrześcijańskie na
swoich nabożeństwach”. I znowu wypo-
wiedź ta wywołała sprzeciw. Jak słusznie
ripostował wówczas Rafał A. Ziemkiewicz:
„Holokaustu dokonali ludzie, którzy od
chrześcijaństwa odeszli i którzy księży
mordowali tak samo jak Żydów”.

Wszystkie podane przykłady pokazują,
że równolegle do posługi charyzmatyczne-
go kapłana, który bardzo wiele dokonuje
dla przywrócenia wiary, szczególnie mło-
dym ludziom, mamy do czynienia z kimś,
kto przyjmuje wiele stanowisk dyktowa-
nych przez polityczną poprawność.

Mamy do czynienia z kimś, kto zdaje się
nie zauważać, że wiele jego stanowisk sku-
pia się na tym, co potępiane jest przez poli-

Niekonsekwencją na tle deklarowanego **sprzeciwu** wobec **politykujących księży** jest stosunek metropolity łódzkiego do ks. Wojciecha Lemańskiego

tyczną poprawność, a znacznie rzadziej
krytyka abp. Rysia dotyczy sytuacji, w któ-
rej spory cywilizacyjne uderzają w Kościół
czy wspólnotę wiernych. Ksiądz Dariusz
Kowalczyk, jezuita wykładający w Rzy-
mie wskazuje: „bardzo cenię w wypadku
abp. Rysia swego rodzaju przepowiadanie,
które można określić jako egzystencjalne.
Odwołujące się do indywidualnego spo-
tkania człowieka z Panem Bogiem. Jest to
zdecydowanie niewystarczające. Musi
nie może się do tego redukować. Musi
konfrontować się ze światem w sensie
pierwszego listu św. Jana Ewangelisty,
który wskazywał, że trzeba się konfron-
tować ze światem jako domeną Złego. Jan
Paweł II mówił o ideologiach zła mając
na myśli nazizm i komunizm. Dziś mamy
inne doświadczenie neomarksistowskich
ideologii, które fałszują wizję człowieka.
Nie można ich nie zauważać”.

NOWE CZASY

Na naszych oczach rozgrywa się bardzo
przejmujący proces narastania chaosu.

Niedawno Polacy dowiedzieli się, jak
za pomocą ogłoszenia w lewicowym
dzienniku „La Repubblica” papież Franci-
szek miał zapoznać się z apelem świeckich
kościelnych kontestatorów z Gdańska
wzywających Rzym do przysłania komisji
złożonej z duchownych i ze świeckich,
która miałaby zbadać sytuację w polskim
Kościele. Stolica Apostolska demonstrowa-
ła chęć komunikacji z wiernymi, ale nie
wydaje się interesować się tym, jakie są
lokalne uwarunkowania takich protestów.
W tej sprawie spotyka się chaotyczność
działania kurii Franciszka ze skutecznością
świeckich kontestatorów abp. Głódzia.

Po konserwatywnej stronie episkopatu,
oprócz wiekowych już arcybiskupów Stani-
sława Gądeckiego i Marka Jędraszewskie-
go (obaj po 70 lat), nie widać zbyt wielu
młodszych biskupów, którzy by mieli wolę
mądrego polemizowania z zagrożeniami
cywilizacyjnymi w naszym kraju.

Polski episkopat, który wciąż w dużej
mierze reprezentują arcybiskupi i bisku-

pi, dla których punktem odniesienia jest
epoka Jana Pawła II, zderza się z szybko
postępującą laicyzacją Polaków. Starsza
generacja hierarchów w pierw nie potrafiła
skutecznie poradzić sobie z lustracją we
własnych szeregach, a teraz nie rozumie
wymogu szybkiego wyjaśnienia spraw
pedofilskich. Pytanie, jaki sposób myślenia
prezentować będzie kolejna generacja
biskupów z grupy wiekowej 45–60 lat. Już
dziś widzimy, że pewne dawniej nienaru-
szalne tabu powoli odchodzi w zapomnie-
nie. Biskup kaliski nie wahał się napisać
listu do innych biskupów, w którym ostro
atakował prymasa Polski Wojciecha
Polaka. Z kolei biskup pomocniczy płocki
Miroslaw Milewski, udzielając wywiadu
dla rozgłośni RMF FM, odnosząc się do
afery wokół biskupa kaliskiego Edwarda
Janiaka, stwierdził: „Chciałbym – mając na
uwadze to, co się działo w diecezji kaliskiej,
te gorszące skandale – przeprosić za
milczenie polskich biskupów w tej sprawie
[...]. Jestem wdzięczny papieżowi Francisz-
kowi za to, że podjął taką decyzję. Mamy
wreszcie przełom w tej sprawie. Tak dalek
być po prostu nie mogło”.

Wypowiedź biskupa diecezji płockiej
zwraca uwagę na dwóch planach. Z jednej
strony przeprosiny biskupa pomocniczego
jednej z diecezji w imieniu wszystkich bi-
skupów byłyby po prostu nie do pomyśle-
nia jako łamanie hierarchii. Z drugiej stro-
ny entuzjazm 49-letniego bp. Milewskiego
dla nominacji abp. Rysia na stanowisko ad-
ministratora diecezji kaliskiej pokazuje, jak
niecierpliwie młodsze pokolenie biskupów
oczekuje na zmierzenie się Kościoła z daw-
nymi grzechami. Arcybiskup Ryś może na
fali rozliczeń z grzechami pedofilii wysunąć
się na lidera młodej generacji hierarchów,
mających dość zachowawczej linii starszej
części episkopatu. Pytanie jednak, czy taki
spór nie otworzy drogi do procesu, który
osłabił Kościół w Irlandii czy Austrii. Po-
legał on na tym, że Kościół, chcąc odzyskać
kontakt z młodszą generacją, zaczął akcep-
tować wiele elementów zmian cywiliza-
cyjnych. To często droga skupiania się na
rozwoju duchowości wspólnoty wiernych,
bez ambicji wpływania na kształt całego
społeczeństwa; unikania nazywania po
imieniu zagrożeń wobec chrześcijańskiej
wizji społeczeństwa. A jak znamy to
z historii lat 60. i 70. na Zachodzie, zawsze
łatwo usprawiedliwiać takie częściowe
kapitulacje koniecznością docierania do
zmieniającej się świadomości wiernych.

Polski Kościół czeka ją wstrząsy.

Kiedy poznałem pana Sławomira, powiedziano mi, że może być to pierwszy kierownik Ukrawtodoru, do którego organy ścigania nie będą miały pytań. Cud się nie zdarzył – skomentował na Facebooku Władysław Kryklij, ukraiński minister infrastruktury, po tym, jak gruchnęła wieść, że dzięki współpracy polskich i ukraińskich służb antykorupcyjnych doszło do zatrzymania Sławomira Nowaka (Nowak zgodził się na podawanie w mediach pełnego imienia i nazwiska oraz pokazanie wizerunku).

Były minister infrastruktury w rządzie Donalda Tuska po odejściu z polskiej polityki przyjął ukraińskie obywatelstwo i postawił na karierę u naszych wschodnich sąsiadów. W 2016 r. został szefem ukraińskiej państwowej agencji drogowej Ukrawtodor (odpowiednik naszej GDDKiA). Miał pomóc Ukraińcom w poprawie fatalnego stanu ich dróg.

DWUDNIOWY TYDZIEŃ PRACY

Wraz z przeprowadzką do Kijowa słuch o Nowaku jednak nie zagał. Zza naszej wschodniej granicy co jakiś czas dochodziły wieści na jego temat. W marcu 2017 r. ukraińskie media donosiły, że Nowak cztery-pięć dni w tygodniu poświęca na wypoczynek w Polsce. „W styczniu, kiedy Ukraina zasypywana była niezwykle opadami śniegu, gdy w zaspach na drogach zamarzali ludzie, a w kraju działał sztab antykrzysowy, główny ukraiński drogowiec odpoczywał przez 11 dni roboczych” – wytykał ukraiński portal Antikor.com.ua.

We wrześniu 2019 r. Ukraińska Narodowa Agencja ds. Zapobiegania Korupcji zarzuciła Nowakowi, że w oświadczeniu majątkowym za 2017 r. zaniżył wartość swojego samochodu, a także środków zgromadzonych na rachunku bankowym. W wywiadzie dla „Newsweeka” Nowak tłumaczył, że Ukraińcy nie rozumieją, iż wpisał wartość netto, i stąd wątpliwość. Sprawa trafiła do sądu, który ją umorzył. Jednak krótko po tym Nowak zrezygnował z funkcji szefa Ukrawtodoru. Opowiadał, że dostał inną propozycję pracy.

W ubiegłym tygodniu Prokuratura Okręgowa w Warszawie postawiła mu zarzuty związane z czasem, kiedy pracował w Ukrawtodorze. Nowak miał kierować zorganizowaną grupą przestępczą czerpiącą korzyści z korupcji. Rzeczniczka prokuratury Mirosława Chyr poinformowała, że brał łapówki w zamian za decyzje o przyznawaniu firmom zleceń na budowę i remonty dróg na Ukrainie



FOT. MAREK OBARA

Nowe kłopoty „Pana Tik-Taka”



Agnieszka Niewińska

Były minister Sławomir Nowak nad Wisłą został zapamiętany za sprawą zegarka, którego nie wpisał do oświadczenia majątkowego. Teraz prokuratura zarzuca mu, że kierował grupą przestępczą, a za łapówki kupił m.in. luksusowego range rovera

oraz nadzorując realizację zawartych umów. Miał się wzbogacić w ten sposób o 1,3 mln zł i kupić za tę kwotę m.in. range rovera velar wartego ponad 300 tys. i obrazy na kwotę 56 tys. zł. W przestępczym procederze według prokuratury brali także udział zatrzymani z Nowakiem były dowódca GROM Dariusz Z. oraz Jacek P.

Maciej Piotrowski, ekspert ds. Ukrainy z Instytutu Wolności, podkreśla, że zatrzymanie Sławomira Nowaka nie świadczy

o tym, jakoby na Ukrainie doszło do jakiegoś przełomu, jeśli chodzi o walkę z korupcją. – System jest niewydolny i nawet jeśli dochodzi do zatrzymania, to sprawa utoyka na kolejnym etapie. O zatrzymaniu Nowaka nie jest nawet specjalnie głośno, choć to najwyższy rangą urzędnik zatrzymany za korupcję, odkąd prezydentem został Wołodymyr Zełenski obiecujący walkę z nią. Ukraińcy postrzegają Nowaka jako obcego, obywatela Polski. Nie miał

opinii sprawnego menedżera. Inni zagra-niczni eksperci, których do pracy na Ukra-inie ściągnięto za czasów prezydentury Petra Poroszenki, już dawno się wycofali, a Nowak został aż pięć lat. Być może postawione mu zrzuty są odpowiedzią na pytanie, dlaczego tak dobrze się czuł na Ukrainie – ocenia Piotrowski.

Jaka przyszłość czeka byłego mini-strę? – To zależy, jak zakończy się ta sprawa. Nowak jest niewinny dopóty, dopóki nie zostanie skazany prawomoc-nym wyrokiem. Pewne jest natomiast, że takie zatrzymanie i postawione zarzuty to dla kogoś, kto chce działać w polityce, ogromny cios wizerunkowy. Zresztą nie pierwszy w karierze Sławomira Nowaka – mówi dr Sergiusz Trzeciak, specjalista w dziedzinie wizerunku publicznego z firmy Trzeciak|Chmal.

Nowak – rocznik 1974 – w polityce po-jawił się już jako nastolatek. Najpierw dzia-łał w KLD, potem w Unii Wolności, w której kierował młodzieżówką. W 2001 r. wstąpił do Platformy Obywatelskiej. Od 2004 r. zasiadał w Sejmie. Wyrósł na jednego z najbardziej rozpoznawalnych polityków partii, specjalistę od politycznego PR. To on odpowiadał za kampanię parlamentarną PO w 2007 r. i prezydencką Bronisława Komorowskiego w 2010 r. Był nawet sze-fem Gabinetu Politycznego Prezesa Rady Ministrów, ale ze stanowiska Tusk usunął go na fali dymisji po ujawnieniu afery hazardowej w 2009 r.

Drugą szansę na eksponowane stano-wisko dostał w 2011 r. – przejął resort transportu, budownictwa i gospodarki morskiej po Cezarym Grabarczyku. Do końca kadencji jednak nie docze-kał – za sprawą doniesień medialnych. W 2013 r. „Wprost” pisał m.in. o tym, jak bawi się w drogim klubie z biznesmena-mi ze spółki Cam Media, która dostawała sporej wartości zlecenia od państwa, pytał o kosztowny czasomierz, które-go Nowak nie wpisał do oświadczenia majątkowego.

ZEGARKOWA TRAUMA

Politykowi nie przysłużyli się też kelnerzy, którzy nagrali jego rozmowę z Andrzejem Parafianowiczem, byłym wiceministrem finansów. Panowie rozmawiali o kontroli w firmie żony Nowaka. „Chcą ją trzepać. Cały 2012 r. Chcą najpierw wziąć rachunek bankowy. Mam nadzieję, że to dotyczy tylko jej działalności, a nie będą chcieli crossować tego z moim rachunkiem. Bo ona jedzie

Kiedy Nowak był jednym z najbliższych współpracowników Donalda Tuska (nazywano go nawet „złotym dzieckiem Tuska”), wieszczono, że w przyszłości będzie się ubiegać o najwyższe stanowiska

od paru lat na stracie, potężnej” – przy-taczał nagranie „Wprost”. Parafianowicz uspokajał: „To już odkryliśmy bardzo dawno. Zablockowałem to”.

Najbardziej przylgnęła jednak do Nowaka historia wspomnianego kosz-townego zegarka marki Ulysse Nardin. „Wprost”, który nagłośnił sprawę, ocenił jego wartość na 30 tys. zł. Może historia poszłaby w zapomnienie, gdyby Nowak po prostu przyznał, że zapomniał wpisać zegarek do oświadczenia. Ten jednak dziwnie się tłumaczył. Najpierw mówił o pożyczaniu zegarka od kolegi. Potem o kosztownym prezencie od żony. Na czasomierz przez dwa lata miała ciuć cała rodzina. Rodzice Nowaka zeznawali w sądzie, że odkładali po kilkaset złotych z niewielkich emerytur, a pieniądze na zegarek przekazali żonie Nowaka. Kosztowny czasomierz miał zakupić kolega polityka, któremu ten dostarczył go-tówkę. Z okazanego paragonu wynikało z kolei, że Nowak był w zegarku widzia-ny, jeszcze zanim ten został kupiony. Był minister nie był w stanie wyjaśnić, jak to możliwe.

Doniesienia na temat „afery zegarko-wej” rozkręciły karuzelę śmiechu. O No-waku powstawały dziesiątki memów, a były minister dorobił się nawet pseu-donimu Pan Tik-Tak. W 2019 r. Nowak tłumaczył w „Newsweeku”, że od czasu „afery zegarkowej” nie nosi zegarka. „Powoli wychodzę z traumy” – żalił się Tomaszowi Lisowi.

Wieści o problemach Nowaka z eks-kluzywnym zegarkiem dotarły oczywi-ście także i nad Dniepr. – Opowiadano o nich jednak w charakterze ciekawostki, bo na Ukrainie zegarek, który doprowadził do tego, że Nowak musiał ustąpić z ministerialnego stanowiska, może mieć każdy sołtys, który przyjmie dobrą łapówkę – mówi Maciej Piotrowski.

– Byli politycy, którym wybaczano większe przewinienia, ale od Nowaka sprawa zegarka moim zdaniem jeszcze długo się nie odklei. To był przykład bardzo złego zarządzania kryzysem wizerunkowym, który zresztą Nowak sam wywołał – uważa dr Trzeciak. Nie wyklucza jednak, że Nowak mógłby jeszcze kiedyś wrócić do czynnej polityki. – To byłoby bardzo trudne, ale nie nie-możliwe. Nowak ma jakąś pozycję w PO, o czym świadczy to, że znalazł się w orbie sztabu wyborczego Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Nie sadzę, by mógł wrócić na mocną polityczną pozycję, ale na mniej eksponowane stanowiska tak, zwłaszcza gdyby został uniewinniony. Zdarzały się już przypadki polityków z zarzutami, którzy wracali do polityki.

„ZŁOTE DZIECKO” I KREM POD OCZY

Kiedy przed niemal dwoma dekadami Nowak był jednym z najbliższych współ-pracowników Donalda Tuska (nazywano go nawet „złotym dzieckiem Tuska”), wieszczono, że w przyszłości będzie się ubiegać o najwyższe stanowiska. Dzienni-karze rozpisywali się o tym, że Nowak po-trafi skutecznie prowadzić polityczną grę, wycinać konkurentów. Koledzy partyjni chwalili go za umiejętność zachowania się przed kamerą, ale i żartowali z jego dbałości o wygląd. „W czasie wyjazdów na partyjne imprezy nieraz podśmiewali-śmy się, że jego kosmetyczka jest większa niż nasze walizki. Była w tym niewątpli-wie taka kumpelska złośliwość. W końcu my też nie chodziliśmy zaniedbani, ale on mocno zawyżał normę. Miał perfumy na różne pory dnia, jakieś odżywki do włosów, kremy pod oczy” – opowiadał w 2013 r. trójmiejskiej „Gazecie Wybor-czej” Sławomir Potapowicz, były działacz PO, obecnie warszawski radny KO.

– Z polityką jest trochę jak z grą na lo-terii. Nie każdy, kto na niej wygra, potrafi właściwie wykorzystać wygraną. Myślę, że podobnie jest z polityczną karierą Sławomira Nowaka. Pod tym względem przypomina Kazimierza Marcinkiewicza, który miał wszystko i nie potrafił tego wykorzystać – ocenia dr Trzeciak.

Nowak, przesłuchany w ubiegłym ty-godniu, nie przyznał się do winy. Prowa-dzony do sądu, który zdecydował o jego tymczasowym aresztowaniu, powiedział dziennikarzom: – To polityczna ustawka. Jestem niewinny, doskonale o tym wiecie. Trzeba to przetrwać. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Arturo Gatti w kaplicy polskiej w bazylice w Loreto namalował m.in. Bitwę Warszawską

FOT. JERZY MIZIOŁEK

Pamięć na włoskiej ziemi

Jak powszechnie wiadomo, w dziejach relacji polsko-watykańskich zdarzyła się katastrofa; papież Grzegorz XVI, nie najlepiej zorientowany w sytuacji politycznej, potępił powstanie listopadowe. Ale jego następcy – wśród nich Leon XIII – mocno wspierali działania prowadzące do odrodzenia Polski. Wyrazem tego było m.in. umieszczenie w 1883 r. obrazu Jana Matejki „Sobieski pod Wiedniem” w pałacu papieskim w Watykanie, gdzie po dzień dzisiejszy oglądany jest przez miliony zwiedzających z całego świata.

Do tematyki bitwy wiedeńskiej, która uratowała w 1683 r. Europę od nawałnicy tureckiej, powrócono, gdy na przełomie pierwszej i drugiej dekady XX w. tworzono program ikonograficzny kaplicy polskiej w Loreto. Kiedy Arturo Gatti, włoski malarz wybrany do dekoracji tego przybytku, kończył w czerwcu 1932 r. malowanie fresku z przedstawieniem bitwy pod Wiedniem, na nowo powrócono do dyskusji, które z wielkich wydarzeń z historii Polski ma stanowić jego pendant. Pierwotnie myślano o kontynuacji wątku wiedeńskiego, ale szybko zapadła, słabo niestety udokumentowana w źródłach, decyzja, że będzie nim przedstawienie Cudu nad Wisłą. Czy zdecydował o tym prymas Hlond, czy Aluigi Cossio, biskup Loreto, czy może raczej sam



Jerzy Miziołek

Paradoksalnie to w Italii znajdują się jedno z najciekawszych przedstawień Bitwy Warszawskiej 1920 r. Jedno zdobi kaplicę polską w słynnej bazylice w Loreto, drugie zaś kaplicę papieską w Castel Gandolfo pod Rzymem

ówczesny papież Pius XI? Wydaje się to całkiem możliwe, gdyż ten właśnie biskup Rzymu miał szczególnie serdeczny stosunek do Polski, kraju dobrze przez niego poznanego w latach 1918–1921, gdy jako Achille Ratti był najpierw wysłannikiem Benedykta XV, a następnie, od czerwca 1919 r., nuncjuszem papieskim.

Przyszły papież był aktywnym świadkiem odradzania się Polski i jej heroicznej walki z sowieckim najeźdźcą. Ponadto w Warszawie otrzymał sakrę biskupią i niezłomnie pozostał w tym mieście nawet w okresie największego zagrożenia, w sierpniu 1920 r.; co więcej, odwiedził miejsce batalii pod Ossowem i Radzyminem tuż przed śmiertelnym starciem. Był doktorem honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego i kawalerem orderu Orła Białego. O jego stosunku do naszego kraju i Bitwy Warszawskiej

najlepiej świadczą malowidła zamówione przez niego do podrzymskiej letniej rezydencji papieży.

„BITWA O WSZYSTKO” W CASTEL GANDOLFO

Efektom paktów laterańskich pomiędzy papieżem a państwem włoskim, podpisanych w 1929 r., było powstanie nie tylko Città del Vaticano, lecz także eksterytorialnej rezydencji papieskiej w Castel Gandolfo, na południe od Wiecznego Miasta. W 1932 r. zrodził się pomysł urządzenia tam kaplicy i wówczas Pius XI dowiedział się o polskim malarzu – Janie Henryku Rosenie, który zasłynął m.in. pięknymi malowidłami zdobiącymi katedrę ormiańską we Lwowie. Artysta otrzymał klarownie sformułowane zamówienie; na dwóch naprzeciwległych ścianach miał namalować dużego

formatu freski: pierwszy ukazujący obronę Częstochowy w czasie potopu szwedzkiego, drugi Bitwę Warszawską. Rosen wezwany do Italii szybko wykonał szkice i kompozycje całych scen. Papież Ratti okazał się bardzo wymagający i dokonał kilku zasadniczych korekt, m.in. zbyt statycznej w jego odczuciu scenie bitewnej kazał dodać dynamiki, usunąć z jej tła panoramę Warszawy, a w pejzażu ukazać tople; miał powiedzieć artyście, że „nie wierzbą jest charakterystyczna dla pejzażu warszawskiego, ale topola”. Był przecież osobiście pod Ossowem, wiedział, które drzewa tam rosły i że stamtąd grodu nad Wisłą nie sposób zobaczyć. Interesowała go prawda historyczna i pozostał przy swoim.

Niegdyś jeden z jego poprzedników – papież Juliusz II – wielokrotnie spotykał się z Michałem Aniołem, gdy ten malował freski w kaplicy Sykstyńskiej. Skala przedsięwzięcia w Castel Gandolfo była o wiele mniejsza, ale mimo to Pius XI aż osiem razy miał spotkać się z Rosenem. Naszego nieco zapomnianego dziś malarza nie da się porównać z twórcą fresków Sykstyńskich, ale nie ulega wątpliwości, że uważnie wsłuchawszy się w komentarze papieża, dokonał niezwykle interesującej próby upamiętnienia jednej z najważniejszych bitew w dziejach świata.

Głównymi bohaterami malowidła są słynny kapelan – ks. Ignacy Skorupka – i żołnierze Legii Akademickiej, jak wiadomo, profesorowie i studenci, w tym Uniwersytetu Warszawskiego, o których – także tym razem – wzięli udział w obronie ojczyzny. Smukły, jasnowłosy kapelan, ubrany w sutannę malowaną rozbielanymi błękitami i w białą komżę, ukazany jest w centrum. Złożony krzyż, który trzyma w prawej, podniesionej do góry ręce, tworzy wraz z widocznym po lewej stronie rozwianym czerwonym sztandarem z białym orłem główny akcent malowidła. Wąska, fioletowa stuła kapłana, służąca do udzielania ostatniego namaszczenia, i jego lewa, wskazująca kierunek ataku ręka dodają dramaturgii całej kompozycji. Za nim biegną młodzi żołnierze, którzy czujnie, rozglądając się na boki, prą do przodu z nasadzonymi na karabiny bagnety. Na pierwszym planie artysta ukazał trębaczę i chorążego ze sztandarem. U stóp bohaterskiego kapelana, który sam niebawem polegnie, ściska się snopy zboża, obok których leżą zwłoki młodego żołnierza bez hełmu. Jak słusznie zauważył jeden z badaczy,

białe mgły odcinające postacie żołnierzy i kapelana od tła tworzą rodzaj poświaty czy aureoli. Aby ukazać Cud nad Wisłą, potrzebna była odrobina mistycyzmu, jakże bliskiego Rosenowi, i przydanie bohaterom znamion świętości.

FRESKI ARTURO GATTIEGO W LORETO

Tuż po drugiej wojnie światowej swoje dzieło życia kończył tworzyć niemal zupełnie nieznany w Polsce malarz Arturo Gatti, jest nim kaplica polska w bazylice w Loreto. Pomysł na jej powstanie narodził się już w drugiej dekadzie XX w., jeszcze przed ponownym pojawieniem się Polski na mapie świata. Praca nad pełnym ozdobieniem i wyposażeniem kaplicy – także w barwne witraże i ołtarz w postaci tryptyku – trwała niezwykle długo. Powstało dzieło bogate w treści religijne i patriotyczne. Obok scen o tematyce chrystologicznej i maryjnej tematami głównymi są odzież wiedeńska i właśnie Bitwa Warszawska. Pierwszy fresk ukończony został, gdy swoje malowanie w Castel Gandolfo rozpoczynał Rosen, drugi w tragicznym roku wybuchu drugiej wojny światowej. Aby dobrze oddać ducha wiekopomnej batalii z 1920 r., Gatti przyjechał we wrześniu 1933 r. do Polski, w celu gromadzenia potrzebnej mu wiedzy i rozmaitych rekwizytów. Wiele z nich wraz z licznymi szkicami rysunkowymi i malarskimi do dziś przechowuje jego córka. Artysta, który pozostawił liczne zapiski, listy i rodzaj pamiętnika, kontaktował się z polskimi historykami, m.in. by zdobyć całkowitą pewność, „kto tak naprawdę był głównodowodzącym”, aby umieścić go w centrum podzielonej na trzy części kompozycji. Piłsudski i jego żołnierze ukazani na lewej ścianie kaplicy stali się „odpowiednikami” i kontynuatorami dzieła króla Jana III Sobieskiego i jego rycerzy widniejących na prawej ścianie przybytku.

W centrum górnej części fresku z Bitwą Warszawską, na tle błękitu nieba, widać Matkę Boską Częstochowską, podczas gdy z lewej strony aniołowie unoszą do nieba ks. Ignacego Skorupkę, śmiertelnie rannego w bitwie pod Radzymi. Po prawej stronie sfery nieba są przedstawieni: nuncjusz Achille Ratti, prymas Polski, kard. Dalbor i arcybiskup warszawski, kard. Kakowski. Jak już wyżej wspomniano, nuncjusz, późniejszy papież, w sierpniu 1920 r. odmówił

opuszczenia Warszawy, wierząc w zwycięstwo armii polskiej albo też – na dobre i złe – pragnąc dzielić los mieszkańców Warszawy.

Na pierwszym planie dolnej części malowidła Gatti ukazał dramatyczne zmagania polskich żołnierzy z sowieckimi, ci pierwsi zdecydowanie zwyciężają. Centralną postacią pierwszego planu malowidła jest żołnierz wznoszący sztandar 30. Pułku Piechoty. Niestety, poległ on w bitwie, ale na podstawie opisu kolegów artysta odtworzył jego rysy i upamiętnił dla potomnych. Na drugim planie widzimy, jako jeźdźców, głównych dowódców wojsk polskich – Józefa Piłsudskiego, Naczelnego Wodza, w otoczeniu generałów Tadeusza Rozwadowskiego (po lewej) i Józefa Hallera (po prawej). Nie ulega wątpliwości, że Gatti bardzo dobrze znał ikonografię Piłsudskiego i jego generałów, podobnie jak mundury polskie i sowieckie. W latach 1933–1939 powstało imponujące malowidło, które zapewne nie jest arcydziełem, ale które wraz ze sceną bitwy pod Wiedniem czyni z kaplicy polskiej prawdziwe sanktuarium chwały polskiego oręża.

Na wyjątkowość miejsca składa się jeszcze jedno przedstawienie, tym razem wykonane w technice witrażu. Oto polscy żołnierze z 2. korpusu gen. Władysława Andersa ratują płonącą kopułę bazyliki w Loreto. Rzeczywiście, w 1944 r. uratowali to wspaniałe sanktuarium, podobnie jak wyzwolili ogromne obszary Italii z niemieckiej niewoli, płacąc za to wysoką daninę krwi. Cmentarz z przeszło tysiącem poległych znajduje się tuż za wspaniałą bazyliką. Tak oto druga wojna światowa dopisała do heroizmu polskiego żołnierza jeszcze jeden rozdział, a Arturo Gatti wpisał go w światło witraża.

Prezydent Andrzej Duda w jednej z debat wyborczych zapowiedział, że jeśli dojdzie do jego reelekcji, to w pierwszą podróż uda się do Italii, kraju ogromnie przez COVID-19 dotkniętego. Czy w jego planach znajdują się również te prawdziwie polskie sanktuaria – w Loreto i Castel Gandolfo – które w jakże interesujący sposób upamiętniają wielki triumf polskiego oręża w 1920 r.? Ponadto na pokazanie w Warszawie czekają liczne rekwizyty zgromadzone przez Gattiego i przede wszystkim jego fascynujące studia i szkice, jak również kompletne projekty obydwu batalii – wiedeńskiej i warszawskiej.

Piekło na Atlantyku



Piotr Gociek

„Misja Greyhound” to kawał świetnego wojennego kina akcji i sukces Toma Hanksa w podwójnej roli: kpt. Krause’a oraz scenarzysty filmu

Miał to być przebój kin tej wiosny, lecz pandemia koronawirusa sprawiła, że stało się inaczej. Po zamknięciu amerykańskich kin i dwukrotnym przekładaniu premiery prawa do dystrybucji „Misji Greyhound” nabył koncern Apple, a film trafił do Apple TV+, gdzie dostępny jest od 10 lipca. Wojenna opowieść na podstawie książki C.S. Foreстера wyreżyserowana została przez Aarona Schneidera, zdobywcę Oscara za krótki metraż w 2004 r., cenionego operatora i twórcę filmu „Aż po grób” („Get Low”, 2009). Główną siłą sprawczą stojącą za projektem jest jednak Tom Hanks, który nie tylko zagrał główną rolę, lecz także napisał scenariusz. Porusza się na dobrze znanym sobie terenie, wszak pamiętamy go ze współczesnego klasyka kina wojennego, jakim był „Szeregowiec Ryan” Stevena Spielberga. Hanks i Spielberg stworzyli także znakomity wojenny serial HBO „Kompania braci”.

Kapitan Ernest Krause to postać skrojona idealnie pod Hanksa, specjalistę od ról zwykłych ludzi wykazujących się heroizmem w niezwykłych okolicznościach, ukochanego ojca, męża i bohatera Ameryki. Mamy rok 1942, luty, a Krause dowodzi eskortą konwoju 37 statków płynących z Ameryki do Anglii. Siły ma niewielkie, oprócz własnego okrętu (USS „Keeling”, kod wywoławczy „Greyhound” – stąd tytuł filmu) tylko trzy inne, w dodatku przez kilka dni konwój musi obywać się bez osłony lotnictwa, wpływając w strefę poza zasięgiem alianckich samolotów z obydwu stron Atlantyku.

PERFEKCYJNY HANKS

Tak jak „Szeregowiec Ryan” w słynnej sekwencji lądowania w Normandii wrzu-

cał nas w sam środek piekła desantu, tak „Misja Greyhound” wciąga nas w prze-rażającą rzeczywistość wojny morskiej. Od razu wpadamy w środek akcji, ledwie z konwojem pożegna się amerykańska eskorta powietrzna, już pojawia się pierwszy U-Boot, potem następny. Kolejne niespełna półtorej godziny filmu to nieustanna zabawa w kotka i myszkę między niemieckim wilczym stadem a okrętami Krause’a. Trafiamy do świata, który sugestywnie opisywali Alistair MacLean w „HMS »Ulisses«” czy nasz Arkady Fiedler w „Dziękuję ci, kapitanie”. Chociaż obie książki czytałem za młodu po wielekroć, to nie byłem przygotowany na intensywność, z jaką podobną historię opowiedzą Schneider i Hanks. Rację miał Łukasz Adamski, kiedy mówił w programie „Nakręcenie” (omawiamy nowości filmowe w PR24 w każdy czwartek o godz. 22.05), że „Greyhound” przypomina pod tym względem ostatniego „Mad Maxa” – mamy do czynienia z kinem na adrenalinie, z akcją non stop, z napięciem szarpającym nerwy.

„Misja Greyhound” chyba po raz pierwszy w dziejach kina tak dobitnie pokazuje także niezwykłą więź kapitana i jego okrętu, to stopienie się w jedno „pana i władcy na krańcu świata” (odwołując się do pisarstwa marynisty Patricka O'Briana) oraz podległej mu załogi. Nie ma innej drogi, mózg musi być jeden, decyzje muszą być spójne, a odpowiedzialność staje się przytłaczająca; Krause jednocześnie tropi ścigającego konwój U-Boota, kieruje resztą eskorty, decyduje o zakresie akcji ratunkowej podejmowanej przez wyznaczony do tego statek, dyryguje ruchami konwoju. Bez chwili snu, bez chwili wytchnienia, nieustannie

na nogach, pozostawiając nietknięte przyszykowane przez stewarda posiłki.

Jak znaleźć w sobie tę nadludzką siłę? Gdzie szukać oparcia? W pierwszych scenach filmu kpt. Krause odmawia modlitwę z małego katechizmu Marcina Lutera: „Anioł Twój święty niech będzie ze mną, aby zły wróg nie miał żadnej mocy nade mną”. Gdy opuszcza kajutę, widzimy karteczkę przypiętą do lustra „Jezus Chrystus wczoraj i dziś, ten sam także na wieki” (List do Hebrajczyków 13,8). W ogniu walki dodaje sobie otuchy cytatami z Pisma Świętego, a kiedy załoga cieszy się po zatopieniu U-Boota, że mniej na świecie o „pięćdziesięciu Szkopów”, odpowiada gorzko: „Pięćdziesiąt ludzkich dusz”.

Tom Hanks jest w tej roli perfekcyjny. Jego Krause nie szuka pokłasku, jest surowy, lecz sprawiedliwy, oddany w pełni swemu zadaniu. Trzeba spełnić swój obowiązek, bo chcą tego ojczyzna, Bóg i dlatego, że po prostu tak trzeba, w przeklętych czasach jedynie wysiłek zwykłych ludzi opowiadających się po stronie dobra nie tylko słowem może uczynić różnicę. Sceny morskich pościgów są imponujące, posępny obraz zimowego Atlantyku zapada w pamięć, ale najważniejsze jest tu poświęcenie Krause’a i jego załogi, którą kapitan napomina cytatem z Ewangelii św. Mateusza, by byli „roztropni jak węże, a nieskazitelni jak gołębie”.

Niezwykły to film, zupełnie niepasujący do czasów promowania w kinie zupełnie innych postaw, bohaterów, problemów. Tym bardziej cieszy to, że – jak informuje „Deadline” – „Misja Greyhound” okazała się najchętniej oglądaną nowością w dziejach serwisu Apple TV+, w dodatku liczba widzów (choć konkretnych nie ujawniono) była porównywalna z tą, którą film mógłby zgromadzić w kinach. Wielka w tym zasługa świetnej aktorskiej roboty Hanksa, wielka zasługa pewnej ręki reżysera, ale nie zapominajmy o literackim materiale wyjściowym.

C.S. Forester, jeden z gigantów powieści marynistycznej, pozostawił po sobie dorobek o wiele większy niż popularna także w Polsce seria powieści o Horatio

Hornblowerze. Wydano u nas zaledwie kilka – „Afrykańską królową” (na podstawie głośnego filmu Johna Hustona z Humphreym Bogartem), „Bitwę o Malte” (dawno temu, w roku 1946), a książka „Good Shepherd”, która posłużyła jako materiał twórcom „Misji Greyhound”, pojawia się na półkach księgarskich dopiero teraz, nakładem wydawnictwa Zysk i S-ka (i pod zmienionym tytułem, dopasowanym do tytułu filmu). W dorobku Forestera mamy jednak łącznie ponad 20 powieści niehornblowerowskich, kilka tomów opowiadań, których akcja rozgrywa się podczas drugiej wojny światowej, sporo tytułów non-fiction oraz wydaną już po śmierci autora autobiografię.

POLSKA BANDERA

Pisarzem był wyśmienitym, znawcą morza i żeglugi – wybornym. Książki Forestera pisane w latach 40 i 50. XX w. przynoszą jednak coś jeszcze: unikatowy ładunek doświadczenia i osobiste spojrzenie na największy konflikt zbrojny w dziejach. Forester pracował podczas wojny w brytyjskim ministerstwie informacji, przeprowadził się do Stanów, by przekonywać mieszkańców USA do poparcia udziału Ameryki w wojnie przeciw Hitlerowi. Miał często dostęp do wiadomości, które do szerokiej publiki nie trafiały, miał wielu przyjaciół i znajomych w armii oraz w marynarce, wiedział doskonale, jak olbrzymi jest wysiłek wojenny.

Zapewne dlatego w „Misji Greyhound” (mówię teraz o powieści, nie o filmie)

znalazł tak wiele ciepłych słów dla Polaków. Jednym z okrętów eskorty, którymi dowodzi Krause, jest polski ORP „Viktor” (kod „Eagle”) i jego „zaprawiona w bojach załoga”. Spójrzmy na inne cytaty: wzywany, by pomóc w walce z U-Bootem, „polski kontrtorpedowiec nadciągał tak szybko, jak tylko pozwalały na to reguły gry, na której zdążył już zjeść zęby”. Nie trzeba było go instruować: „»Viktor« nie potrzebował rozkazów; polski kapitan znał się na rzeczy. U wejścia do szurzej jamy nie trzeba pouczać teriera, co ma robić”. I w innym miejscu: „Przez chwilę mignęła Krause’emu myśl, aby ostrzec »Viktora«, ale zaraz ją porzucił. Tych Polaków nie trzeba wzywać do czujności”.

Niestety nic z tego nie zostało w filmie Schneidera. Raz tylko (podczas dialogu na temat stanu zapasów paliwa) słyszemy nazwy okrętów eskorty: oprócz „Keelinga” są to „Viktor”, „James” i „Dodge”; w komunikacji międzyokrętowej wszyscy posługują się kodami, odpowiednio „Greyhound”, „Eagle”, „Harry” i „Dickie”. „Eagle” podpisany jest na ekranie jako „niszczyciel brytyjski”. Inna sprawa, że słyszymy przez radio, jak łącznik z „Harry’ego” mówi z акцен-

tem stuprocentowo brytyjskim, a łącznik z „Eagle” (czyli naszego „Viktora”) z akcentem polskim (głos podkłada Max Osinski, polsko-amerykański aktor urodzony w Austrii).

Kto nie zna powieści Forester’a, ten się nie zorientuje, że „Eagle”/„Viktor” to okręt, do którego wymyślenia zainspirowały Forester’a losy ORP „Grom”. Jeszcze jeden cytat, z finału powieści: „Oto i requiem dla dzielnego okrętu. Dwa i pół roku temu »Viktor« wypłynął z Gdyni, uchodząc przed władającą polskim niebem Luftwaffe, i uciekł przez Bałtyk, nie dając się złapać niemieckiej marynarce wojennej. Przez te dwa i pół roku toczył zaciekle boje, będąc ostatnim schronieniem załogi wygnanej z ojczyzny – a teraz nieodwołalnie szedł na dno”. Wielka szkoda, bo u Forester’a mieliśmy nie tylko opowieść o heroizmie i poświęceniu Krause’a, lecz także wyraźne podkreślenie, że bój na Atlantyku był wysiłkiem sojusznictwa, marynarzy amerykańskich, kanadyjskich, brytyjskich i polskich. „Bandery kanadyjska i angielska podążały za »Gwiazdami i Pasami«, ale polskiej już pośród nich nie było” – pisze pod koniec książki Forester. Nie ma jej i w filmie Schneidera.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★

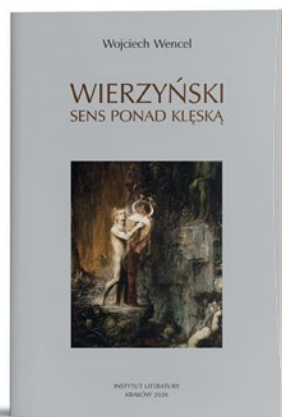
REŻ. AARON SCHNEIDER
„MISJA GREYHOUND”
(„GREYHOUND”)
USA 2020

wyst. Tom Hanks,
 Stephen Graham,
 Elizabeth Shue



★★★★★

C.S. FORESTER
„MISJA GREYHOUND”
ZYSK I S-KA 2020



Nowa książka
 Wojciecha Wencła
Wierzyński.
Sens ponad klęską
JUŻ DOSTĘPNA!

INSTYTUT LITERATURY

W internetowej księgarni Instytutu Literatury znajdziesz ponad 60 pozycji, w tym:

- *Dzieje literatury pozbawionej sankcji* **Andrzeja Kijowskiego**
- *Ryzyko bycia Polakiem* – wywiad-rzekę z **Janem Polkowskim**
- wszystkie numery kwartalnika kulturalnego „**Nowy Napis**”

Zamów na **sklep.instytutliteratury.eu!**
 z kodem **DO RZECZY** rabat w wysokości **15%** na wszystkie pozycje

REKLAMA



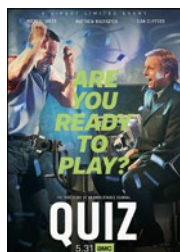
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Gra o milion



★★★★★
REŻ. STEPHEN
FREARS
„QUIZ”
WIELKA
BRYTANIA 2020

wyst. Matthew
Macfadyen, Michael
Sheen, Sian Clifford

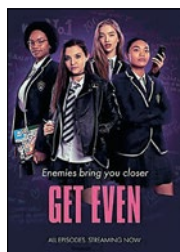
Historia wydarzyła się naprawdę – nieco gapowaty i safandulowaty brytyjski oficer Charles Ingram do spółki z żoną i jej bratem okpił system (czytaj: telewizję) i wygrał milion funtów w brytyjskiej edycji „Milionerów”. Wszystko działo się niemal dwie dekady temu, tuż przed atakiem na World Trade Center. Spektakularne poczucie nie zdobyło więc początkowo aż tak wielkiego rozgłosu, zmienił to potem proces, relacjonowany przez media nie tylko w Wielkiej Brytanii.

Miniseriał Stephena Frearsa to jednak coś więcej niż tylko opowieść o sprytnym, beczelnym przekręcie, to także satyra na jeden z filarów brytyjskości, czyli kulturę pubową. Oraz ironiczny obraz tego, co dzieje się w mediach (właściwie: działo się w mediach sprzed epoki Internetu), gdzie zastępy specjalistów od programowania telewizyjnego głowią się nieustannie nad tym, jak sprzedać to, co stare, jako nowe i jak uczynić nowe na tyle znajomym, żeby sprzedawało się jak stare. Mało kto pamięta, jak wiele formatów telewizyjnej rozrywki to pomysły stare jak



samo BBC, poczynając od „Tańca z gwiazdami”, a skończywszy na rozmaitych „quiz show” – wszak „Milionerzy” nie są niczym innym jak odświeżeniem zabawy, która obecna była w telewizji od zawsze.

Stephen Frears opowiada lekko, wartko i zabawnie, z odpowiednią dozą brytyjskiej ironii – jak przystało na ikonę angielskiego kina. Osobne słowa uznania należą się aktorom. W roli mjr. Ingrama oglądamy Matthew Macfadyena (był gwiazdą serialu „Ripper Street”), który wypada znakomicie, równie dobrze jak w „Sukcesji” produkowanej przez HBO. W roli jego żony obsadzono Sian Clifford (znamy ją m.in. ze „Współczesnej dziewczyny”) i też był to strzał w dziesiątkę. Sporą niespodzianką jest występ Michaela Sheena, niemal nie do poznania pod charakterystyczną, która zmieniła go w Chrisa Tarranta, jedną z ikon brytyjskiej rozrywki telewizyjnej. Tarrant prowadził oryginalnych „Milionerów” od 1998 do 2014 r., a Sheen wciela się w jego postać wymienienie. ©



NOWE SERIALE: „ODWET”

Letnia oferta Netflixu obfituje w propozycje lekkie i bardziej młodzieżowe (dowodem m.in. „Przeklęta”, o której za tydzień, oraz drugi sezon „Umbrella Academy”). „Odwet” to serial wyprodukowany przez BBC, którego bohaterki, nastolatki z elitarnej prywatnej szkoły, sprzymierzają się w sekrecie, by zemścić się na swych

prześladowcach. Jednocześnie muszą stawić czoła oskarżeniu o czyny, których nie popełniły. Dziesięcioodcinkowy thriller oparty został na serii książek Gretchen McNeil „Don't Get Mad”, w Polsce dotąd niektłumaczonej. ©

Piotr Gociek

• Sezon 1., „Odwet” („Get Even”),
Wielka Brytania 2020

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Josh Trank „Capone”, USA 2020, biograficzny
- reż. Ken Loach „Nie ma nas w domu” („Sorry We Missed You”), Wielka Brytania 2019, obyczajowy
- sezon 7. „The 100”, USA 2020, science fiction

Stracone dzieciństwo

Co roku ponad 20 tys. nieletnich stara się o pracę w Hollywood, ale udaje się zaledwie setce. Wybrańcy losu czy męczennicy X muzy? Dokument Aleksa Wintera, który sam zadebiutował na Broadwayu jako dziecko, jednoznacznej odpowiedzi nie udziela. Bo też każdy przypadek jest inny. Diana Serra Cary, lepiej znana pod artystycznym pseudonimem Baby Peggy, po raz pierwszy stanęła przed kamerą jako dwulatka. Wystąpiła w kilku kasowych produkcjach. „Zrobiłi nawet lalkę na mój wzór” – chwali się stojąca nad grobem gwiazda niemego kina. Gdy trochę podrosła, ojciec odkrywszy, że nie będzie miał udziału w zyskach, wściekł się, zerwał kontrakt i było po karierze.



★★★★★
REŻ. ALEX WINTER
„DZIECIAKI Z SHOW-BIZNESU” („SHOWBIZ KIDS”)
USA 2020

Wielu rodzicom przydałby się solidny klaps (bynajmniej nie filmowy) za handel żywym towarem. Matka chłopaka z Florydy, próbującego się załapać do pilotażowego odcinka nowego serialu, tłumaczy, że pomaga mu spełnić marzenia. Aktor, który pacholeciem będąc, wystąpił w „E.T.”, przyznaje, że nie miał wtedy zielonego pojęcia, w co się pakuje. Presja, panująca w fabryce snów, ryje berety dorosłym, a coś dopiero mówić o maślach. Jeden z rozmówców Wintera rozsądnie zauważa, że gdzie indziej też można zarobić i w dodatku zachować prywatność. Sęk w tym, iż niektórzy ludzie czują, że żyją tylko wtedy, gdy się o nich mówi. ©

Wiesław Chełmiński

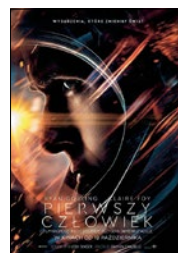


FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CZŁOWIEK Z KSIĘŻYCA

N

Czy Neil Armstrong rzeczywiście był zawziętym, gburowatym introwertykiem, ukrywającym prawdziwy powód wykonania „wielkiego skoku dla ludzkości”? Wątpię, lecz „Pierwszy człowiek” nie jest wszak prostą rekonstrukcją faktów. Powstał w kontrze do bohaterskiego „Marsjanina” i otwarcie podaje w wątpliwość sens eksploracji kosmosu. Teza, że w roku 1969 na Ziemi działy się rzeczy ważniejsze (wojna w Vietnamie, walka o prawa czarnych) niż na jej orbicie, jest dyskusyjna. Trudno jednak zaprzeczyć, że lot na Księżyc był przedsięwzięciem bardzo ryzykownym. Oglądając film Chazelle’a, można nabawić się klaustrofobii albo lęku przestrzeni. „La La Land” na jego tle wydaje się cokolwiek miłą, lecz nie od dziś wiadomo, że efekciarstwo ma więcej fanów niż ascetyzm. Szczęść Oscarów dla musicalu, jeden (za efekty specjalne) za uczłowieczenie herosa. W takim świecie żyjemy. I tylko Ryan Gosling wciąż gra na pianinie.



★★★★★
REŻ. DAMIEN CHAZELLE
„PIERWSZY CZŁOWIEK” („FIRST MAN”)
USA 2018

wyst. Ryan Gosling, Claire Foy, Jason Clarke

OSTATNIA WIADOMOŚĆ

W KINACH

Artysta równa się ekscentryk. Niby wszyscy to wiedzą, lecz malarz Wasił po niespodziewanej śmierci połowicy zadziwia żałobników. Na wiejskim cmentarzu domaga się otwarcia trumny, by móc sfotografować nieboszczkę. Twierdzi, że przed śmiercią chciała mu powiedzieć coś ważnego, więc spodziewa się wieści z zaświatów. Ciężar spacyfikowania pełnego werwy starca spada na syna – reżysera reklam, którego Wasił ma za skończoną łajzę. Anielskiej cierpliwości pierwotnego doradcy akuratność reżyserskiego duetu Grozewa – Wałczanow. Fabularny szkielec „Ojca” sam w sobie nie jest oryginalny, jednak na Bałkanach nawet trawa rośnie inaczej. Lokalny koloryt z jednej strony zapewnia m.in. cudotwórcę urzędujący w dawnym muzeum powstania narodowego. Z drugiej strony, sentencja „Próżność całe życie wystawia człowieka na próbę” sprawdza się pod każdą szerokością geograficzną. ©



★★★★★
REŻ. KRISTINA GROZOWA, PETAR WAŁCZANOW
„OJCIEC”
BUŁGARIA/GRECJA 2019,
AURORA FILMS

wyst. Iwan Barnew, Iwan Sawow, Tania Szachowa

recenzuje Wiesław Chełmiński

GRA TYGODNIA: „WARHAMMER 40 000: MECHANICS”

Ponure uniwersum Warhammera – choć zróżnicowane i popularne – ma niestety mieszane szczęście do dobrych gier. Norma, która sprawdza się w przypadku „Mechanics”, jest tworzenie produkcji poprawnych, ale niskobudżetowych, ograniczonych do fragmentu świata przedstawionego.

Nie zawsze musi to być ich wadą. Tytuł studia Bulwark jest właśnie taką solidną strategią turową, w której wcielamy się w przedstawicieli oddziałów Adeptus Mechanicus, tej części Imperium, która wyznaje kult maszyn oraz modyfikuje swoje działa, tracąc człowieczeństwo. Coś dla fanów



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

dobrego pozycjonowania i zarządzania niewielką armią. ©

Marcin Makowski

- Gatunek: Strategia
- Platforma: PC/PS4/XONE/Switch
- Producent, dystrybutor: Bulwark Studios / Koch Media
- Klasyfikacja PEGI: 16+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Widmo alternatywy

W odpowiednim czasie ukazują się teksty Dariusza Karłowicza zebrane w tom zatytułowany „Teby – Smoleńsk – Warszawa”. Ze szczególną uwagą powinni je przeczytać ci wszyscy, którzy po zwycięstwie w wyborach prezydenckich Andrzeja Dudy popadli w samozachwyt i z lubością wyliczają, ile to lat spokojnych rządów czeka teraz PiS wraz z jego przybudówkami. Autor, jeden z najciekawszych umysłów obecnej doby, filozof i publicysta aktywnie uczestniczący w życiu publicznym, już w podtytule swojej nowej książki wyraźnie akcentuje „złudę nietragiczności polityki”, a to oznacza, że czekają nas trudne chwile, bo tej złudzie większość z nas ulega, ufnie wierząc, że politykę naprawdę uprawia się w parlamentach, a demokracja parlamentarna to ustrój najlepszy z możliwych i jako takiej nic jej nie grozi. Otóż nic podobnego.

Podobnie przed katastrofą w Smoleńsku myśleliśmy, że po upadku komunizmu przyszło nam żyć w normalnym, suwerennym, do tego w miarę sprawnie zarządzanym państwie. Okazało się, że jest to – jak powiada Karłowicz – państwo niepoważne z niepoważnymi kadrami i niepoważnymi instytucjami. I to wtedy, po Smoleńsku, stało się oślepiąco jasne – pisał Dariusz Karłowicz w „Dziadach na Krakowskim”, głośnym artykule z 2012 r., podpisanym wspólnie z Markiem A. Cichockim – „że polityka to sprawa poważna. Sprawa życia i śmierci. Ministrowie, generałowie, parlamentarzyści, urzędnicy to nie są celebryci, debata publiczna to nie konkurs dla paszkwilantów, a historia nie skończyła się wraz z przystąpieniem do Unii i NATO, ale pędzi jak oszałała. To nie komedia! To nie kabaret! To nie happening!”.



FOT. MICHAŁ ZIŁKOWSKI/WNPEDIA

Oczywiście to, co się stało na lotnisku w Smoleńsku, było tragiczne. Ale Karłowiczowi chodzi tu o coś innego jeszcze. Mówi „o odrzuceniu polityki pojętej jako odpowiedzialność za całość, a dopiero wtórnie o lekceważeniu podmiotowości i powagi państwa oraz o innych skutkach plemiennej mentalności stron zamkniętych w bańkach swoich przekonań, uprzedzeń i interesów. Brak wizji wspólnoty jako solidarnej, sprawiedliwej i podmiotowej całości, oto – jak miemam – głębokie źródło wielu błędów i zaniechań; od tępego okrucieństwa imitacyjnej transformacji zaczynając, przez zaniechanie lustracji, lekceważenie kwestii bezpieczeństwa, pogardę dla instytucjonalnego ładu państwa, na demolowaniu pamięci kultury kończąc. Wszystkie te wektory przecięły się w Smoleńsku”.

Książka, o której tu opowiadam, mówi o Polsce. Dlaczego więc jej autor wychodzi w niej od Teb, od mitu tebańskiego, co sprawia, że przed jej lekturą warto przypomnieć sobie „Antygonę” Sofoklesa? Ano po to, że – zacytuję – „żyjemy w polityczności, która nie jest ani bezzałożeniowa, ani bezalternatywna”.

A król Teb, tak jak i rządzący Polską, nie może reprezentować części ludu, części miasta czy kraju. „Żeby jednak objąć prawdziwą władzę nad całością – wyklada Dariusz Karłowicz kawę na łąkę – musi najpierw pogodzić się z tragicznością świata i [uwaga! – przyp. K.M.] zasadniczo zdefiniować cele swoich rządów”. Może i, dodam od siebie, zredefiniować.

W krótkiej nocie zamieszczonej na okładce książki Andrzej Horubała pisze, że autor nie tylko kwestionuje liberalny ład, lecz także „uderza w poczwierne, ustabilizowane mniemanie tradycjonalistów”. Ale czy dlatego ten zbiór tekstów Karłowicza „irytuje, drażni, a więc i pobudza”? Zgoda jedynie na to ostatnie; wcale nie odnalazłem w „Tebach – Smoleńsku – Warszawa” wielu prowokacji – to rzecz absolutnie serio. Cóż z tego bowiem, że teraz jeszcze przeliczamy wyborcze wskaźniki, zastanawiając się nad przyszłością Prawa i Sprawiedliwości czy Platformy Obywatelskiej? Potrzebna jest zasadnicza zmiana nie tylko stylu rządzenia, choć jego przede wszystkim, jeśli nie chcemy mieć czegoś w rodzaju manifestacji „żółtych kamizelek” na ulicach Warszawy. Ktoś powie: bzdura, Polacy to przecież spokojny naród, któremu w Unii Europejskiej dobrze, jest jak u Pana Boga za piecem. Czyżby? Tekst zamykający książkę kończy Dariusz Karłowicz tak oto: „Na razie czas kupując partię protestu. Wbrew temu, co sądzą o nich rozeźlone elity, to właśnie populiści występują dziś w roli katechona powstrzymującego rewolucyjny armagedon. Jak długo potrafią przekonać, by ludzie, zamiast palić miasta, szli do wyborów, mamy jeszcze czas, by pracować nad ideą i zakresem resetu. Jedno wydaje się pewne. To nie potrwa wiecznie”. ©



★★★★★

**DARIUSZ
KARŁOWICZ**
„TEBY –
SMOLEŃSK –
WARSZAWA”
TEOLOGIA
POLITYCZNA,
WARSZAWA 2020



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wiedźmin ucieka

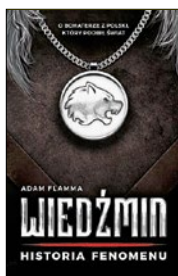
Książka „Wiedźmin. Historia fenomenu” to dzieło miłości fanowskiej i głębokiej, do czego przynajmniej się otwarcie autor Adam Flamma. Są tego zalety i wady. Zaletami jest iście fanowska obsesja, by zebrać wiadomości o wszystkim, co z bohaterem prozy Sapkowskiego związane. Zobaczycie więc wiele ciekawych ilustracji, znajdziecie mnóstwo intrygujących wiadomości (choćby o rosyjskiej rock operze wiedźmińskiej czy o wiedźmińskich wystawach oraz Gercie na deskach teatru), zajrzycie za kulisę powstawania popularnych gier itd.

Minusem jest to, że zbyt rzadko zamienia Flamma kronikarza, zbieracza i słuchacza w reportera i krytyka. Gdy rozmawia (z redaktorami, rysownikami, filmowcami, fanami), zwykle nie dociska; kiedy cytuje, zwykle nie szuka drugiej opinii. I przede wszystkim zamiast napisać monografię zjawiska, przedstawia nam patchwork sklejoną z masy rozmaitych drobnych elementów. Pozostaje też uczucie niedosytu z powodu niewielkiej zawartości Sapkowskiego w książce o najważniejszej kreacji Sapkowskiego. Dobrze, że znalazło się miejsce na podkreślenie roli Macieja Parowskiego, niestrudzonego propagatora prozy Sapka i orędownika opowieści o wiedź-

minie. Niezła jest rozmowa z Tomaszem Bagińskim, dzięki któremu powstał serial Netflix. Żle się stało, że za rzadko przytacza Flamma konkretne wypowiedzi, zadowolając się ogólnikowymi formułkami: „media donosiły”, „krytycy uważali”. Jedne donosiły to, inne co innego, jedni pisali tak, a inni siak. Ogólniki nie przybliżają.

Nie mam wątpliwości, że dla tych, którzy po prostu chcieliby się dowiedzieć czegoś więcej, niż widzieli w notkach na okładkach książek czy w materiałach promocyjnych serialu lub gry, będzie to lektura ciekawa. Sam czytałem z uwagą, wzdychając czasem, że autor sygnalizuje coś ciekawego, po czym na tym poprzestaje, nie pogłębia wątku, nie docieka. Wiedźmin i sekret jego wyjątkowości wciąż więc pozostają nieopisane, choć na pozór materiału u Flamy wiele. Przyszłym badaczom korzystanie z książki utrudni karygodne zaniedbanie wy-

dawnictwa – nie ma w tej publikacji spisu treści, choć dostajemy gęszcz niewielkich rozdziałików. Nie ma też indeksu nazwisk i tytułów. Geralt z Rivii zasłużył przecież nie tylko na kredowy papier i twardą, luksusową oprawę, to naprawdę najważniejszy polski bohater ostatniego półwiecza i światowy fenomen. Nie mam wątpliwości, że jeszcze się doczeka bardziej przenikliwej analizy. © ©



★★★★★

ADAM FLAMMA
„WIEDZMIN.
HISTORIA
FENOMENU”
WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE
2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Drugi (pierwszy to „Fikcje”) z najważniejszych zbiorów opowiadań argentyńskiego geniusza literatury. Wznowienie w nowej edycji, wzbogacone o kilkadziesiąt stron przypisów i obszerne posłowie Piotra Pazińskiego.



JORGE LUIS
BORGES
„ALEF”
PIW

Historia łowów dwóch agentów FBI na genialnego oszusta, który przez 15 lat naciągał inwestorów, banki, deweloperów, specjalizując się w „pomocy” tym, którzy wpadli w tarapaty, i szukając wyjścia, skłonni byli do każdego ryzyka.



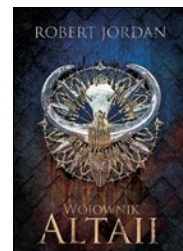
DAVID HOWARD
„DORWAĆ PHILA”
ZNAK

Wstrząsająca relacja autorki zatrudnionej na kilka tygodni w magazynie internetowego giganta. Odkryła tam nowoczesny, świetnie zorganizowany obóz pracy, ponurą twarz wyzysku turbokapitalizmu XXI w.



HEIKE GEISLER
„PRACA
SEZONOWA.
MIESIĄC
W AMAZONIE”
CZARNE

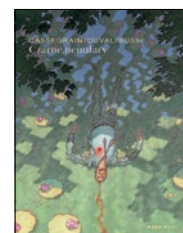
Wakacyjna propozycja dla miłośników klasycznej fantasty. Zgrabna powieść napisana na początku kariery autora epopei „Koło Czasu”, dwukrotnie zakupiona, lecz nigdy nie wydana. Dlaczego – wyjaśnia ciekawy wstęp. © ©



ROBERT JORDAN
„WOJOWNIK
ALTAII”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:

„CZARNE NENUFARY” Zachwycająca adaptacja powieści francuskiego pisarza Michela Bussiego, która stała się sensacją wydawniczą w roku 2013, a w Polsce przełożona została w roku 2015. Akcja rozgrywa się w Giverny, słynnym dzięki malarstwu Moneta. Sprawę morderstwa bogatego obywatela, kobieciarza i kolekcjonera sztuki próbuje rozwikłać młody inspektor, któremu w głowie zawraca piękna miejsco-



CASSEGRAIN,
DUVAL, BUSSI
„CZARNE
NENUFARY”
MARGINESY 2020

wa nauczycielka. Niezwykle połączenie opowieści o miłości (także tej toksycznej) i kryminału, wraz z ciekawą lekcją na temat malarstwa (także malarskich obsesji). Jedna z najciekawszych komiksowych premier roku. © ©

poleca Piotr Gociek

Debiut płytowy elektroniczno-gitarowego duetu Bluszcz to rok 2017, kiedy to nakładem wytwórni Brennessel ukazał się „Junior”. Chillout w klimacie lat 80., dodatkowo podkreślony odpowiednią okładką. Sam Bluszcz określił swoją muzykę mianem „PRL synth-wav”. Przyjemny, wyluzowany krążek trafił do słuchaczy w środku wakacji. „Nasza muzyka na pewno zawiera pierwiastek beztrojski. Z kolei pod spodem jest jakiś problem, jakieś rzeczy, które nas zastanawiają, które w zestawieniu z tą warstwą wakacyjną tworzą kontrast. Ten kontrast chcemy osiągnąć też przez to, że to jest muzyka w jakimś sensie elektroniczna, ale lubię o niej myśleć, że jest organiczna. Że jest nastawiona na aspekt bardziej ludzki niż cyfrowy” – mówił w zapowiadającej debiutancki krążek rozmowie z portalem redbull.com



szych płyt Obywatela GC – wyjaśniał Jarek na antenie Polskiego Radia.

Bluszcz tworzą dwaj bracia. Jarek Zagrodny – gitarzysta, producent – oraz Romek Zagrodny (gitarą). Początkowo był to solowy projekt Jarka, ale brat szybko do niego dołączył. Jak jednak zaznaczał Romek w jednym z wywiadów: „[Jarek] jest głównym producentem, więc wydaje mi się, że on jest bardziej odpowiedzialny za projekt”. Panowie rzecz jasna grają razem od lat. Wspólny projekt muzyczny to trochę przedłużenie dzieciństwa. „Tzw. dorosłe życie to są obowiązki, rzeczy, z których się musisz wywiązywać, a jak tego nie robisz, to są tego konsekwencje. W muzyce i w naszych spotkaniach chodzi o to, że nic nie musisz, że możemy poczuć inny vibe” – mówił dla redbull.com Romek. ©©

Radosław Wojtas

Jarek Zagrodny, jedna druga wrocławskiego Bluszczu.

Rok później wyszedł następny album duetu – „W naszych domach”. W tym roku dostaniemy trzecią płytę. Pojawi się już po wakacjach, ale pierwszy singiel – „Mars Volta”, który niedawno zagościł w serwisach streamin-

gowych – zapowiada pewną zmianę klimatu, choć wciąż zostajemy w latach 80. – O ile nasza debiutancka płyta „Junior” była bardziej chillowa, o tyle nowy numer jest surowy i „ubrudzony” punkowymi riffami. Mnie kojarzy się z latami 80. i polskim lo-fi rockiem spod znaku pierw-



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Odejdź, wróć, zbuduj

Hania Rani(szewska) na drugim albumie snuje opowieść, której treść podpowiadają tytuły angielskich piosenek: otwierającej „Odejszcie” i zamykającej „Wróć do domu”.

Pewną wskazówką jest też opuszczenie przez autorkę żeńskiego duetu Tęskno, w którym spędziła dwa lata. Jak twierdzi Hania, album „Home” to: „Pytanie o szukanie przynależności, własnego kąta, ale też – szerzej – historia o szczęściu oraz tęsknocie”. Niewątpliwie w tej muzyce słychać tęskne nuty. Za czym? Za kim? Tak jak na debiucie „Esja” kompozycje opierają się na brzmieniu fortepianu i elektronicznych pasażach, ale tym razem w kilku nagraniach pojawiają się dodatkowi muzycy:

Ziemowit Klimek (kontrabas) i Wojciech Warmijak (perkusja) z jazzowego tria Immortal Onion. Oddzielną wartością jest głos Hani, który jest przede wszystkim kolejnym instrumentem, a nawet raczej kolejną barwą. Ta opowieść jest bowiem bardziej oparta na nastrojach niż słowach. Kompozycje nie są szczególnie skomplikowane, ale ich walorem jest magnetyzm. To płyta do słuchania w samotności, do indywidualnej podróży w głąb siebie.

Raniszewska, tworząc w ramach szeroko rozumianej współczesnej kameralistyki, kieruje płytę „Home” ku międzynarodowym odbiorcom. To dobry krok, bo uczucia wywoływane przez jej muzykę, mówiąc banalnie, nie znają granic. ©©



★★★★★
LUCJAN KASZYCKI
„DOKTOR MUREK”
GAD

Kaszycki napisał muzykę do serialu

na podstawie prozy Tadeusza Dołęgi-Mostowicza pod koniec lat 70. Ponieważ odegrała rolę drugoplanową, autor wybrał najciekawsze fragmenty i nagrał je w formie dwóch orkiestrowych suit. Po latach nagrania bronią się samodzielnie.



★★★★★
BANANAGUN
„THE TRUE STORY OF BANANAGUN”
FULL TIME HOBBY

Bananowy pistolet

to projekt studyjny Australijczyka Nicka Van Bakela. Efektem jest roześmiana, idealna na lato płyta zawierająca muzykę taneczną rodem z lat 70. Co więcej, te piosenki spójnie łączą afrobeat, brazylijską tropicálię, Beatlesów czy Bacharacha. ©©



★★★★★
HANIA RANI
„HOME”
MYSTIC

To jeden z nieoczekiwanych efektów pandemii – teatralny „Sezamie, otwórz się!”. Przez ostatnie cztery miesiące, wieczór w wieczór, teatry pokazywały w Internecie swoje liczne, tak pilnie dotąd strzeżone, skarby. Nieoczekiwane wglądy w zawartości sezamów obfitują, jak wiadomo, w poznawcze niebezpieczeństwa. Oto jedno z nich: „Henrietta Lacks”, jedna z nielicznych teatralnych wypowiedzi na temat medycyny. Spektakl wyreżyserowała Anna Smolar, scenariusz podpisał również cały czteroosobowy zespół aktorski, z którym „współpracę dramaturgiczną” podjął Piotr Gruszczyński. Firmujący sprawę Teatr Nowy chce dotykać punktów zapalnych, ścigać rzeczywistość, co tam ścigać – wyprzedzać ją! Pielęgnuje się w nim wizję teatru jako think tanku, miejsca, gdzie formułowane są diagnozy. To w teorii. Co z praktyczną realizacją?

PRAWO DO KOMÓREK

Tytułowa bohaterka to czarnoskóra mieszkanka Baltimore, od której w latach 50. XX w., zanim zmarła na raka macicy, pobrano (bez zgody) chore tkanki. Znałe w historii medycyny jako komórki HeLa, posłużyły do opracowania szczepionek na najpoważniejsze choroby współczesnego świata. Ta opowieść „napina bardzo wiele tematów i nie daje żadnych odpowiedzi” – powiadają twórcy, wysuwając kwestię „prawa do własności komórek” i „demokratyczności postępu medycyny”, niepokojąc widzów pytaniem: „Czy tęsknisz za pobranymi rutynowo komórkami?”. Zaniepokojony brakiem tęsknoty we wzmiankowanej kwestii, położyłem dzieci spać i obejrzałem spektakl. Składa się on z serii parodii telewizyjnych talk-show, przeplatanych monologami i wstawkami tanecznymi. Rzecz cała rozpoczyna się od

Medycyna to zło



Grzegorz Kondrasiuk

W teatrze pandemia zadziałała jak tester wskazujący na skutki nadużywania filozofii krytycznej



W spektaklu pokazano m.in. sceny z życia Henrietty Lacks, od której bez jej zgody pobierano chore tkanki

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wywiadu ze słynną owcą Dolly, pierwszym sklonowanym zwierzęciem. Rozmawia się tu także ze spersonifikowanym rakiem, niczym ze zblazowanym mordercą ludzkości. Wreszcie następują sceny pokazujące historię życia Henrietty Lacks, splatającą się z historią George’a Otto’na Geya – który zainicjował badania nad komórkami HeLa. Anna Smolar używa tu narracji wszystkowiedzącego narratora, a aktorzy beznamiętnie wypowiadają didaskalia i emocjonalne introspekcje. To konwencja jedynie pozorująca obiektywną relację i rekonstrukcję wydarzeń. Dość szybko okazuje się, że spektakl napędza prosty, dwubiegunowy schemat. Lekarz to rasistowski mizogin, biały, wykształcony, żądny sukcesu i światowej sławy, pozbawiony uczuć, pogardzający dawkami tkanek i obrońcami praw zwierząt laboratoryjnych (o wszystkim

tym dowiadujemy się z jego płomiennej filipiki). Natomiast Henrietta odzyskuje prawo głosu, decydowania o sobie i swoim organizmie. Jest cielesna, piękna i wrażliwa. Jej teatralna śmierć, w lekkim, ulotnym tańcu w rytm amerykańskiego szlagieru z epoki jest naprawdę poruszająca i chwyta za serce. A kiedy już umrze – staje się wielką oskarżycielką, odmawia operyjnemu systemowi pobrania próbki zaatakowanych przez raka komórek, przeklina medycynę, naukę i złego dr. Geya. Później jest już tylko gorzej. Następuje seria satyrycznych fantasmagorii. O postawieniu Henriecie pomnika debatują jacyś karykaturalni, radiomaryjni fanatycy, i koniecznie ma to być krzyż, bo – jak się okazuje – nasza bohaterka jest imigrantką, Polką i katoliczką. Dolly operuje lekarza, a ten błaga ją, by pobrała jego komórki. Potem wywiad z ko-

mórką HeLa jako celebrytką, a na koniec – Dolly przyjmuje zastrzyk usypiający. Kurtyna!

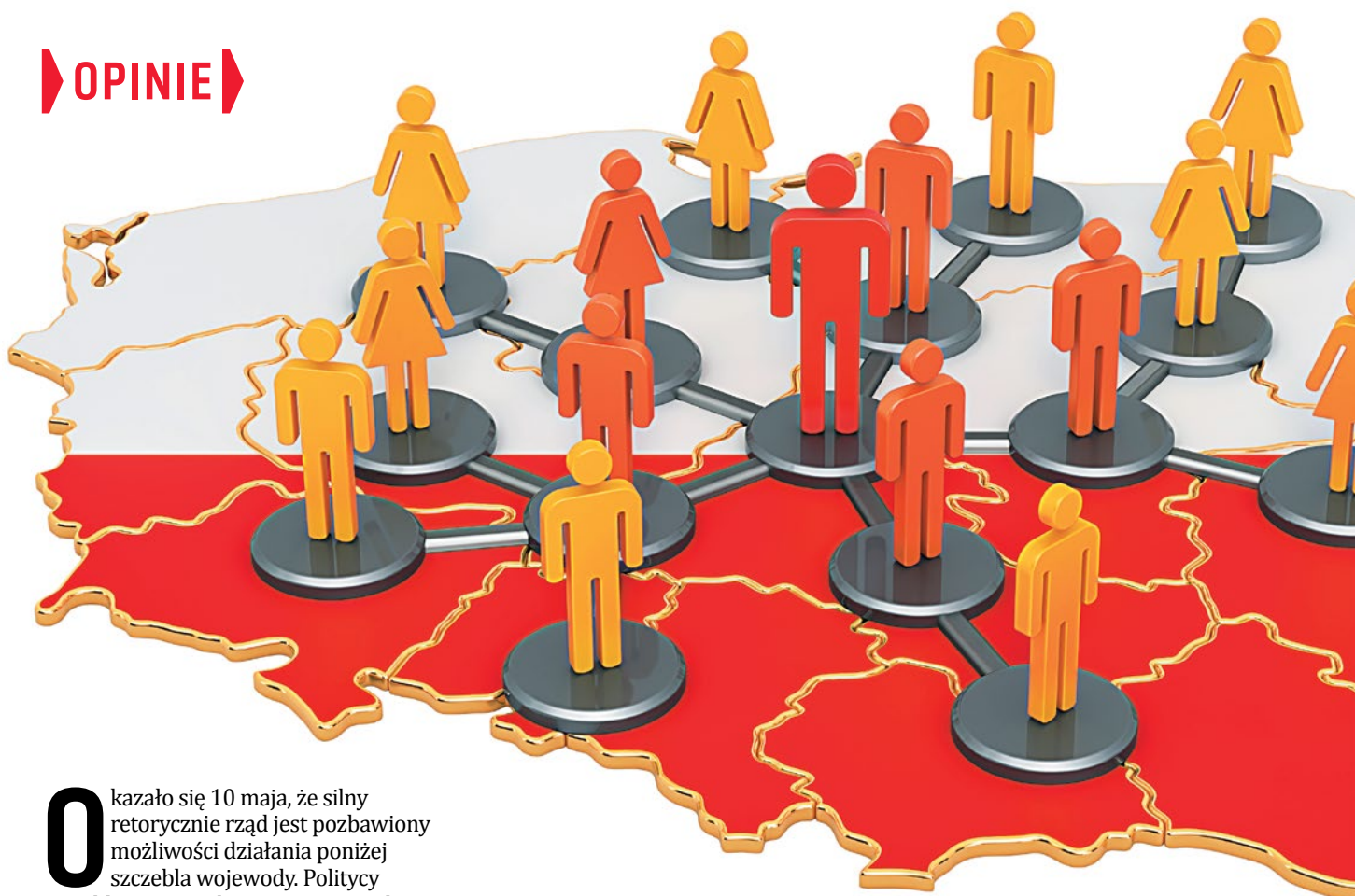
DEBATA NA MANOWCACH

Za sprawą spowodowanego przez COVID-19 nagłego zwrotu powiedzieliśmy: „Sprawdzam!” dziełom obiecującym przenikliwe diagnozy naszej współczesności. W teatrze wirus zadziałał jako tester wskazujący na skutki nadużywania filozofii krytycznej. Kiedy przyszłość jest traktowana jak fetysz i obowiązuje dogmat wyłącznie krytycznej oceny przeszłości jako „głępszej przyszłości”, tworzony w tym duchu teatr – zamiast deklarowanego prowokowania debat na istotne tematy – zajmuje się ich infantylizowaniem.

Nikt nie zamierza zaprzeczać ciemnym sprawkom z historii medycyny. Jednak proponowanie koktajlu, w którym bioetykę zmiksowano z amerykańskim rasizmem i feministycznymi rewizjami historii cywilizacji i medycyny, jest w tym momencie zabiegiem sprowadzającym debatę na manowce.

Całkiem niedawno okazało się, że najważniejsze problemy przyszłości są zupełnie w innym miejscu, niż Nowy Teatr sądził. Teraz musimy porozmawiać o czymś zupełnie innym. Nie o medycynie jako systemie sprawowania władzy, nie o jej złych intencjach, nawet nie o komercjalizacji badań i nierównościach społecznych – ale po prostu o skuteczności medycyny w walce z pandemią i o trudnym poszukiwaniu balansu pomiędzy wolnością jednostki a odpowiedzialnością społeczną. Scena, wymyślona jako miejsce do prezentowania przeciwstawnych racji i rozważania trudnych, zbyt trudnych wyborów, znakomicie się do tego nadaje. Jednostronny, mętnie zrobiony teatr – niekoniecznie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Okazało się 10 maja, że silny retorycznie rząd jest pozbawiony możliwości działania poniżej szczebla wojewody. Politycy szczebla samorządowego przyczynili się bowiem do tego, że wybory prezydenckie nie odbyły się w pierwotnym terminie, odmawiając przekazania spisu wyborców, prowadząc strajk włoski w sprawie powołania komisji wyborczych itd.

Program „500+” dobrze obrazuje paradoksy naszej struktury podziału państwa, w której sztandarowy program rządu był prowadzony przez administrację samorządową, za bardzo przyzwoite wynagrodzenie i przy niechęci ideologicznej wielu polityków szczebla miejskiego. Czy nie mogły tego zrobić ZUS albo urzędy skarbowe, czyli administracja podległa rządowi? Otóż nie, gdyż samorządy prowadzą ewidencję ludności, czyli posiadają podstawowe dane, w oparciu o które można przyznać świadczenie. Ile jest zatem prawdy w popularnych twierdzeniach o tym, że samorządy są niedofinansowane, a rząd obarcza je kolejnymi obowiązkami?

W 2020 r. wydatki na program „500+” wyniosły 41 mld zł, z czego samorządy za swoje usługi otrzymają ryczałtowe wynagrodzenie w wysokości ok. 340 mln zł (0,85 proc. wydatków). Tymczasem rzeczywiste koszty samorządów poniesione w celu wprowadzenia „500+” są niewielkie, gdyż ich zadania polegają w zasadzie na wydaniu raz do roku decyzji o przyznaniu świadczenia, co zazwyczaj wykonuje dotychczas zatrudniany urzędnik.

Co rządowe, a co samorządowe?



Paweł Szalamacha

Za rządów PiS, m.in. dzięki uszczelnieniu podatków, samorządy dostawały więcej pieniędzy. Tymczasem wadliwy podział kompetencji pozwala im na walkę z władzami centralnymi

Te rzeczywiste wydatki to zakup komputerów, papieru, zużycie prądu etc. Miliony zarobione „na czysto” poprawiają płynność samorządów i zwiększają ich zdolność kredytową.

Rządy PiS poprawiły pozycję finansową samorządów poprzez uszczelnienie poboru podatków oraz zwiększenie udziału w podatkach dochodowych.

Dobra koniunktura gospodarcza także zrobiła swoje. Z drugiej strony obniżono podatek CIT dla małych firm oraz podwyższono kwotę wolną dla części podatników PIT, co oznacza niższe dochody samorządów z tych podatków. Jednak łącznie dochody samorządów wzrosły o ok. 25 mld zł od 2015 r. Samorządy wychodziły więc mocno na plus,



co może się zmienić w wyniku epidemii COVID-19.

Oprócz udziału w podatkach samorządy otrzymują wsparcie z tytułu wielu programów sektorowych, np. budowy dróg lokalnych lub modernizacji lokalnych ciepłowni. Znacznie zwiększono finansowanie kultury w wielu instytucjach samorządowych, czego przykładem jest Teatr Polski w Warszawie. Rozszerzono pole działania samorządów co do polityki transportowej, np. dając możliwość podniesienia opłat za parkowanie.

Miasta powinny mieć więcej możliwości kształtowania tej sfery i podejmować decyzje w oparciu o gęstość zaludnienia, istniejącą infrastrukturę transportową, warunki geograficzne, poziom dochodów. Wówczas w bogatym, gęsto zaludnionym mieście

rajcowie mogliby się zdecydować na niedopuszczenie do rejestrowania aut starszych niż 15 lat. W małej miejscowości o luźnej zabudowie taka decyzja nie miałaby uzasadnienia. Takie rozstrzygnięcia powinny być podejmowane na poziomie lokalnym, nie ministerialnym, a z ciężarem decyzji powinni się zmierzać politycy powiatowi.

W ostatnich latach liberalni prezydenci kilku miast wchodzili na pole polityki rządowej, np. imigracyjnej, wielu z nich, zamiast dbać o wywóz śmieci lub dobry transport, prowadziło ofensywę ideologiczną. Oczywiście spór jest wpisany w istotę polityki, a miasta europejskie od wieków miały silną pozycję i zmagaly się z rządami zwierzchnimi, np. w Rzeszy z władzą cesarską, czy to same ze sobą, gdy renesansowe miasta włoskie toczyły wojny. Poziom sporu zależy od kultury politycznej w danym kraju, ale wadliwe skonstruowanie podziału na to, co rządowe, a co samorządowe, w naszym kraju przyczyniło się (nie była to jedyna przyczyna) do skasowania wyborów w maju, czyli „wyłączenia” podstawowej zasady demokracji.

KULAWY PODZIAŁ

Ilustracją wadliwej struktury jest kulawy podział zadań samorządu na

własne i zlecone do wykonywania przez rząd. Podczas wprowadzania powiatów w 1999 r. zlikwidowano urzędy rejonowe, czyli administrację rządową poniżej szczebla urzędu wojewódzkiego. Takiego błędu nie popełniła np. Francja, która w latach 80. znacznie ograniczyła kompetencje prefektów, czyli urzędników podległych MSW, budując samorządową egzekutywę odpowiedzialną przed radą departamentu. Nie zlikwidowano natomiast całkowicie prefektów, gdyż nadal pozostają zadania, których charakter przemawia za tym, aby były wykonywane przez rząd, np. akta stanu cywilnego czy ewidencja obywateli. Tymczasem u nas zlikwidowano administrację rzą-

W ostatnich latach liberalni prezydenci kilku miast, zamiast dbać o wywóz śmieci lub transport, prowadzili ofensywę ideologiczną

dową, zaś zadania są przekazywane jako zlecone do realizacji na mocy konkretnych ustaw.

Od lat samorządy twierdzą, że otrzymują za mało pieniędzy na wykonywanie zadań zleconych. Jednak z doświadczenia wiem, że od lat samorządy hamują wprowadzenie precyzyjnej parametryzacji zadań, nie są zainteresowane wyliczeniem kosztów wydania konkretnych decyzji, oszacowania czasu, ile powinna ona zabrać itd. Preferują uproszczone formy wynagradzania, np. określony procent budżetu zadania, tak jak jest to w przypadku programu „500+”, w którym w pierwszym roku samorządy dostały nawet 2 proc. wypłacanych kwot. Takie luźne zasady pozwalają im na prowadzenie gry z rządem, przesuwanie pracowników i przypisywanie części kosztów stałych na zadania rządowe oraz rytualne narzekanie.

Zatem jasny model zarządzania państwem powinien polegać na tym, że rząd realizuje swoje zadania za pomocą administracji rządowej i zlikwidowana jest kategoria zadań zleconych. Działania na rzecz takiego modelu nie ma, tymczasem samorządy przeniosły wojnę z rządem o pieniądze do sądów, pomimo że sprawa w ogóle nie nadaje się do rozstrzygania na tej drodze. Po prostu Sejm decyduje,

na co nas (jako zbiorowość) stać, i akceptuje konkretny poziom wykonywania zadań, ponieważ pieniędzy jest zwykle za mało wobec możliwości ich wydania. W przeciwnym razie uniwersytet mógłby podwoić wynagrodzenia i wytoczyć powództwo wobec Skarbu Państwa o zwrot tych kwot. Jednak część sądów nie czuje się związana prawem i regułami zdrowego rozsądku i zaczęła wydawać wyroki zgodne z oczekiwaniami miast: skoro twierdzą, że tyle wydały, to tyle się należy. W ten sposób rządy prawa przeradzają się w swoją karykaturę.

ODBUDOWA FUNKCJI KRYTYCZNYCH

Powtórzmy więc – wiosną 2020 r. dostarcza argumentów za odbudowaniem funkcji krytycznych przez rząd RP na poziomie lokalnym. Jesteśmy obywatelami Rzeczypospolitej, a nie konkretnej miejscowości, a zatem prowadzenie rejestrów obywateli (wyborców), wydawanie dowodów osobistych powinno być wykonywane przez administrację rządową, co odciążą samorządy. Projekt ten można zrealizować na poziomie urzędów wojewódzkich, a nowoczesne technologie informatyczne pozwolą na przeprowadzenie go w szybki, inteligentny, a przede wszystkim efektywny sposób, bez powoływania nowej administracji. Zachowując dyscyplinę projektową stosowaną standardowo przez dobre zarządzane firmy, można go skończyć w dwa lata, czyli przed następnymi wyborami parlamentarnymi.

Jednocześnie należy wzmocnić źródła dochodów samorządów, poprzez rzeczywiste władztwo nakładania podatków, czyli związane z tym dodatkowe dochody, ale i kontrowersje. Wówczas duże miasto będzie mogło np. zdecydować, że zbudowanie odkładanej od lat spalarni śmieci lub kolejnej linii metra wymaga czasowego dodatkowego opodatkowania mieszkańców, a jego prezydent wyjaśnić wyborcom celowość takiej decyzji w otwartej debacie. Przypuszczam jednak, że politycy samorządowi nie będą zainteresowani takim rozwiązaniem, nie ze względu na wydajność podatkową, ale ze względu na to, że są politykami właśnie. Znacznie łatwiej jest przecież żądać większego udziału w podatkach nakładanych przez parlament.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest członkiem Rady Instytutu Sobieskiego, w latach 2015–2016 był ministrem finansów.

Stop bzduram, czyli Michał i Małgosia



Łukasz Warzecha

Wyobraźmy sobie, że do groźnego przestępcy wpadają rano funkcjonariusze z grupy realizacyjnej. Wchodzą, wrzeszcząc: „Policja! Na ziemię!”. Zatrzymywana osoba posłusznie kładzie się na ziemi. Zaraz za nimi wchodzi specjalista od praw mniejszości. Kuca przy zatrzymanej osobie i rozpoczyna wywiad. – Czy identyfikuje się osoba jako mężczyzna, kobieta czy osoba niebinarna? Czy jest osobą osobą dwupłciową? A może osobą aseksualną?

Wywiad trwa dość długo, bo trzeba przepytąć ze wszystkich 56 płci. Niewykluczone, że ich liczba będzie się z czasem powiększać. To jednak nie koniec. Potem padają pytania o to, czy przypadkiem osoba nie identyfikuje się jako jakieś zwierzę albo przedmiot.

Ostatecznie zostaje ustalone, że – jakkolwiek w dokumentach zatrzymany figuruje jako mężczyzna – aktualnie, w porze zatrzymania, identyfikuje się jako osoba androgeniczna, następnie, począwszy od godz. 12, będzie się identyfikował jako krokodyl, od 16 do 18 będzie osobą pangenderową, a po 18 aż do rana następnego dnia będzie kobietą. Żeby nie pogwałcić praw człowieka (i zwierząt, bo mamy przelotnie i krokodyla) oraz by nie narazić się na zarzuty prześladowania czy stosowania mowy nienawiści, zostaje sporządzony dokładny harmonogram przetrzymywania osoby, z miejscem w zoo włącznie. Noc osoba spędzi oczywiście w celi przeznaczonej dla kobiet.

Absurd? Niby tak. Jak jednak w takim razie odczytywać histerię lewicowych środowisk, związaną z niedawnym zatrzymaniem w mieszkaniu na Ursynowie w Warszawie Michała Sz.? Michał Sz. został zidentyfikowany jako jeden z napastników, którzy pod koniec czerwca zaatakowali w centrum stolicy furgonetkę Fundacji Pro – Prawo do

Życia. Identyfikacja nie była specjalnie trudna, bo nie tylko widać go było na nagraniu z kamery zamontowanej w aucie, lecz także pochwalił się na facebookowej stronie swojego „kolektywu” Stop Bzduram zabraną z samochodu tablicą rejestracyjną. Na zdjęciu Michał Sz. stoi obok koleżanki, a podpis głosi: „Hej, Fundacja Pro. Mamy wasze tablice. Znalazłyśmy je nagle w swoich dłoniach. [...] Przyjdziecie osobiście po odbiór?”.

„ZATRZYMANIE OBYWATELSKIE”

Samochód fundacji od jakiegoś czasu jeździ po Warszawie oklejony bannerami sprzeciwiającymi się szerzeniu propagandy środowisk LGBT. Z głośników, umieszczonych na pojeździe, emitowane są stosowne komunikaty. Pojazd był już kilkakrotnie blokowany i atakowany. Lewicowe media przedstawiały to za każdym razem jako „zatrzymania obywatelskie”, co było wielkim nadużyciem. Polskie prawo w ogóle nie zna instytucji „zatrzymania obywatelskiego”. Istnieje natomiast instytucja „obywatelskiego ujęcia”. Definiuje ją art. 243 Kodeksu postępowania karnego, który mówi:

§ 1. Każdy ma prawo ująć osobę na gorącym uczynku przestępstwa lub w pościgu podjętym bezpośrednio po popełnieniu przestępstwa, jeżeli zachodzi obawa ukrycia się tej osoby lub nie można ustalić jej tożsamości.

§ 2. Osobę ujętą należy niezwłocznie oddać w ręce Policji.

Do tego artykułu k.p.k. odsyła również art. 45 par. 2 Kodeksu postępowania w sprawach o wykroczenia, można zatem również ująć na gorącym uczynku sprawcę wykroczenia. Tyle że musi zachodzić podstawowa przesłanka, która w przypadku incydentów z udziałem furgonetki fundacji antyaborcyjnej nie zachodziła: sprawca może chcieć się ukryć lub uciec. Tymczasem mieliśmy do czynienia z oznakowanym wyraźnie pojazdem, z widocznymi tablicami rejestracyjnymi, który nigdzie nie uciekał. Przeciwnie – powoli poruszał się po stałych trasach.

Inne pytanie brzmi, czy w ogóle miało tu miejsce jakieś wykroczenie lub przestępstwo. To już jednak ewentualnie sprawa dla sądu. Każdy, kto uważa, że prawo zostaje naruszone, może złożyć odpowiednie doniesienie do prokuratury lub powiadomić policję. Nic natomiast nie uzasadnia obywatelskiego ujęcia, a tym bardziej zwykłej chuligańskiej napaści.

Mimo to takie postępowanie spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem lewicowych mediów. Najciekawsza jednak była lektura lewicowych forów czy profili na Facebooku. Tam bowiem pojawiały się prawdziwa motywacja i sposób myślenia tych środowisk. Rozumowanie było takie: nie podoba nam się to, co robi fundacja (oczywiście ujmowane to było znacznie mniej parlamentarnie, w sposób charakterystyczny dla lewackiej ekstremy, która z jakiegoś powodu lubuje się w kloaczynym języku), ale państwo nie podziela naszych odczuć i nie chce zakazać im działalności – dlatego musimy wziąć sprawę w swoje ręce. Dosłownie.

Jakiś czas temu pisałem o metodzie postępowania Antify, która uznaje przemoc za metodę nie tylko dopuszczalną, lecz także pożądaną, uważając, że to jedyny sposób walki z „systemem”, bo ten przecież sam przeciwko sobie walczył nie będzie. Dlatego – powiada Antifa – porządek prawny

nie ma tu nic do rzeczy. Mamy tutaj bardzo podobne myślenie: skoro prawo nie staje po naszej stronie, to po prostu zaczniemy walić w mordę. Trudno powiedzieć, czy nawołujący w ten sposób do anarchizacji sfery publicznej lewacy zdają sobie sprawę, że ten sam sposób rozumowania można by obrócić przeciwko nim. Na przykład uznając, że Parady Równości pogwałcają publiczną moralność, lecz skoro państwo ich nie zakazuje, to trzeba je po prostu fizycznie zaatakować.

NIEBINARNA „AKTYWISTKA”

Wróćmy jednak do – jak to ujmowały lewicowe portale – brutalnego zatrzymania „aktywistki”. Tak, to nie pomyłka: chociaż pan Michał jest mężczyzną nie tylko w świetle polskiego prawa, lecz także pod każdym względem z wyglądu (co łatwo stwierdzić, znajdując w sieci jego zdjęcia), to podobno „czuje się” kobietą. I tak też posłusznie piszą o nim wszystkie lewicowe media.

Podczas zatrzymania „aktywistki” towarzysząca mu osoba nagrywała film. Tenże został później zrelacjonowany m.in. przez Gazetę.pl. Relacja robi szczególnie pocieszne wrażenie, ponieważ bez słowa

wyjaśnienia portal cytuje słowa funkcjonariusza, który traktuje Michała Sz. jako mężczyznę, po czym w swojej narracji przechodzi gładko na rodzaj żeński.

Z kolei Mateusz Witczak z „Polityki”, w krótkim tekście na portalu tygodnika opisuje sytuację utrwaloną na nagraniu z zatrzymania. Czytamy: „Wpierw policjant spokojnie tłumaczy, że realizuje postanowienie prokuratorskie. – Co pan narozrabiał, tego nie wiemy – tłumaczy. Ale zabrać na przesłuchanie muszą. W następnej scenie funkcjonariusz trzyma Szutowicz za kark, aktywistka ma skute nadgarstki”.

Tu warto zauważyć, jak gładko relacja przechodzi od jednej do drugiej sceny. Witczaka najwyraźniej nie zainteresowało, co takiego wydarzyło się w niepokazanym na nagraniu czasie, że stosunek funkcjonariusza do doprowadzanego wyraźnie się zmienił. Lecz skoro w dalszej części nagrania słychać, jak jedna z osób zwraca się do policjanta z pytaniem: „Czy naprawdę jesteś takim ch...m?” (na co ten odpowiada „Tak, jestem ch...m”), możemy spekulować, że towarzystwo nie było do policjantów zbyt przyjaźnie nastawione i ci postanowili działać tak, jak postępuje

się z regularną bandyterką. Dalej opisuje Witczak: „Pyta, czy może założyć skarpetki. – Chłopaku, nie wykonujesz moich poleceń. Będziesz dalej dyskutował czy nie? Przygwaźdża ją do ziemi. Cały czas zwraca się do niej w formie męskiej, choć Szutowicz jest osobą niebinarną i identyfikuje się jako kobieta. – Ja przyszedłem cię zatrzymać, kulturalnie chciałem z tobą wyjść. Przez chwilę trwa nerwowa dyskusja o to, czy zatrzymana może założyć buty i skarpety. – Liczę do pięciu i po prostu wychodzimy”.

No i wszystko jasne: pan Michał jest „osobą niebinarną”. Tymczasem wstrętny policjant traktował osobę cały czas jak mężczyznę.

Michał Sz. wyszedł kilkanaście dni temu z aresztu, dokąd trafił po zatrzymaniu. Miejmy nadzieję, że następnym razem policja bardziej się przyłoży i, dokonując zatrzymania, przeprowadzi z osobą wywiad, taki jak opisałem na początku tekstu. Panu Michałowi radziłbym natomiast bardziej wziąć sobie do serca nazwę kolektywu, w którym sam działa: Stop Bzdurom. Lepiej bym tego nie ujął

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Kup

ubezpieczenie

OC

już od **379 zł**
rocznie!

w rewelacyjnej cenie!

Sprawdź

22 444 44 44

www.link4.pl lub zapytaj Agenta

LINK 4



REKLAMA

Cena zależna od wielu zmiennych. Składka 379,59 zł: na dzień 16.07.20 r., kierowca 56 lat, prawo jazdy 34 lata, pow. lubelski, historia ubezpieczenia pow. 4 lat, brak szkód. FIAT Seicento 0.9 Kat. Young. Sprawdź swoją cenę. Szczegółowe informacje oraz wyłączenia odpowiedzialności znajdziesz w OWU na www.link4.pl

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Bohater biografii przeszedł do historii – i literatury – głównie dzięki swemu ostatniemu wierszowi.

MAŁGORZATA CZERWIŃSKA-BUCZEK: „Czerwona zaraza” napisał 29 sierpnia. Świadkiem powstawania utworu był Zbigniew Ryłski ps. Brzoza, przyjaciel Józefa Szczepańskiego „Ziutka”. W rozmowie ze mną pan Zbigniew opowiedział o okolicznościach temu towarzyszących. Ostatnie dni sierpnia. Powstanie na Starówce dogorywa. Batalion „Parasol” poniósł ogromne straty. 25 sierpnia zginął dowódca I Kompanii batalionu „Parasol” Stanisław Leopold ps. Rafał, dwa dni później na kwatery oddziału spadły bomby, zasypując gruzami walącą się zabudowę wielu żołnierzy. Coraz trudniej było o nadzieję, a przecież ciągle liczone na wsparcie, które wydawało się tak oczywiste. Za Wisłą stały oddziały Armii Czerwonej, słychać było huk ich artylerii, lecz pomoc nie nadeszła. Właśnie wtedy w ruinach pałacu Krasińskich – na pierwszym piętrze – „parasolowcy” usłyszeli „Czerwoną zarazę” czytaną przez autora. Odzwierciedlała ich emocje: gniew i bezsilność.

Z jakiej rodziny pochodził?

Jego tata wywodził się z chłopstwa. Był najstarszym z siedmiorga rodzeństwa. Wychował się w bardzo trudnych warunkach. Uporem i ciężką pracą wiele osiągnął, zdał maturę i skończył studia. Po śmierci rodziców przejął prawną opiekę nad dwoma najmłodszymi braćmi. Pomimo ogromnego awansu społecznego nigdy nie wyparł się korzeni. Czuł się związany z rodzinną wsią, a przez jej mieszkańców traktowany był jak bliska osoba, darzono go zaufaniem i szacunkiem. Nigdy nikomu nie odmówił pomocy. Matka, Matylda z Ottomańskich, pochodziła z rodziny inteligenckiej, miała pięcioro rodzeństwa. Jej bez troskie dzieciństwo upłynęło w dobrobycie.

Ziutek był pierwszym dzieckiem Matyldy i Józefa Szczepańskich i według opinii lekarzy nie powinien mieć rodzeństwa. Matka następnego syna urodziła dopiero 18 lat później – po długim i trudnym leczeniu. Ojciec chciał wychować pierworodnego po wojskowemu, a matka rozpieszczała go, spełniając wszystkie jego kaprysy. Już wtedy między nią a synem zrodziła się bardzo silna więź, która nigdy nie została zerwana.

Ziutek miał również bardzo kochających dziadków, ciotki i wujków. Czuł atmosferę miłości rodzinnej, życzliwości i dostatku, choć zawsze miał wyznaczone granice,



„Ziutek” z narzeczoną „Myszką” w 1943 r. FOT. ARCHIWUM RODZINY „ZIUTKA”

Z Małgorzatą Czerwińską-Buczek, pisarką, autorką biografii Józefa Szczepańskiego „Ziutka” rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Ziutek spod „Parasola”

których przekroczyć nie mógł. Rodzice dbali o wychowanie w duchu miłości do ojczyzny, poczuciu honoru i przyzwoitości. W szkole powszechnej wstąpił do harcerstwa. Wielkim przeżyciem dla kilkunastoletniego chłopca było przyrzeczenie harcerskie i wypowiadane słowa „Roty”.

Istotną rolę w jego biografii odegrał Amor.

Ziutek był bezkonfliktowy, zawsze pogodny, bardzo szybko zjednywał sobie ludzi. Dla kolegów doskonały kumpel do fi-gli, zawsze gotowy do pomocy w potrzebie, dla dziewcząt obiekt westchnień. Przystojny z bujną blond czupryną, błyszczącymi

oczyma, szarmancki i do tego poeta. Niejedna gimnazjalistka straciła dlań głowę. Która z kilku miłości Ziutka była najważniejsza? Trudno powiedzieć...

Zamieszczone w książce erotyki i epistolografia poety sugerują odpowiedź.

Pierwszą jego miłością była Halina Kolbińska, którą nazywał Halupciem. Poznali się 19 lutego 1939 r. na balu karnawałowym w Żeńskim Gimnazjum im. Marii Skłodowskiej-Curie, gdzie uczęszczała. Na imprezę zaproszono uczniów z Gimnazjum im. Władysława IV, wśród nich Ziutka. Z jego strony była to miłość od pierwszego



**MAŁGORZATA
CZERWIŃSKA-
BUCZEK
„ZIUTEK.
CHŁOPIEC OD
»PARASOLA«”
BELLONA 2020**

wejrzenia. Wybranka początkowo droczyła się z nim, a może nie była pewna swoich uczuć. On bardzo zabiegał o względy i szybko udało mu się zdobyć jej serce. Odnalezione po latach listy i wiersze pisane do Haliny dowodzą jego młodzieńczych myśli i emocji.

Wojna ich rozłączyła i zniszczyła tę miłość. Początkowo pisali do siebie, tęsknili, lecz po kilkunastu miesiącach kontakty się urwały. W 1939 r. mieli po 17 lat, pragnęli bliskości, rozmów w cztery oczy, spacerów... Takie są prawa młodości. Znając dalsze losy Haliny, nabieram pewności, że to była jej jedyna prawdziwa miłość. Co prawda wyszła za mąż, ale jej związek się rozpadł. Zachował się list Haliny do przyszłego męża, informujący o spaleniu listów i wierszy pisanych do niej przez Ziutka. A jednak ich nie zniszczyła, chociaż nigdy z nikim nie podzieliła się tymi wspomnieniami. Niektóre z jego wierszy przepisała, używając figur przypominających znaki stenograficzne, trudno je rozszyfrować. Najprawdopodobniej chciała, żeby nikt inny poza nią nie był w stanie ich odczytać.

Po kolejnej bogdance pozostał jedynie przydomek?

W „Mysze” zakochał się po rozstaniu z Haliną. Zachowało się sporo ich wspólnych zdjęć. Zaręczyli się, ale do ślubu nie doszło. Znałem jego nazwisko, ale nie umieściłem go w książce, nie poświęcałem tej miłości zbyt wiele miejsca... Nigdy nie chciała opowiadać o ich związku, większość pamiątek po nim zniszczyła, po jej śmierci rodzina zacydowała, że uszanuje wolę zmarłej i nie udostępni pozostawionych dokumentów.

Jak „Ziutek” trafił do konspiracji?

Wprowadził go tam wiosną 1943 r. kolega, Antoni Sakowski ps. Mietek. Był w oddziale do Zadań Specjalnych Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej AK „Agat” (od stycznia 1944 r. „Pegaz”, a od maja 1944 r. batalion „Parasol”). 1 października 1943 r. „Ziutek” – zdrobnienie imienia przybrał za pseudonim – rozpoczął kurs Szkoły Podchorążych Piechoty Szarych Szeregów „Agricola”, ukończony 3 kwietnia 1944 r.

Otarł się o bodaj najślawniejszy zamach AK.

1 lutego 1944 r. po wykonaniu wyroku na Franzu Kutscherze bardzo ciężko ranni

Bronisław Pietraszkiewicz „Lot” i Marian Senger „Cichy” wymagali natychmiastowej operacji. Obaj trafili do Szpitala Przemienienia Pańskiego na Pradze. Niedługo potem pojawili się tam granatowi policjanci, którzy zawiadomili Komisariat Policji Kryminalnej o przebywających w placówce rannych. Komisariat przekazał informację gestapo. Zapadła decyzja o natychmiastowej ewakuacji „Lota” i „Cichego”. Ziutek był w składzie zespołu, który przetransportował ich do Szpitalu Wolskiego. Niestety niebawem zmarli.

Bardziej wydatny był jego wkład w akcję Koppego...

Przed próbą likwidacji w Krakowie tego wyższego dowódcy SS dostarczono tam pociągami broń. Nadana jako przesyłka bagażową. „Ziutek” miał odebrać paczki z dworca i przewieźć do celu. Nie udało mu się na czas załatwić transportu, co oznaczało, że broń trafiłaby do przechowalni. W dworcowej restauracji zobaczył niemieckiego żołnierza, który przed dworcem zostawił samochód i wszedł coś zjeść. „Ziutek” doskonale znał język niemiecki, wdał się w pogawędkę, wzbudził zaufanie i zaproponował dobry zarobek za przewiezienie urządzeń elektrycznych. Tłumaczył się, że jego pojazd się zepsuł, a urządzenia muszą być na czas dostarczone do niemieckiej firmy. I Niemiec dowiózł paczki pod wskazany adres. W czasie samej akcji „Ziutek” ostrzeliwał samochód wiozący Wilhelma Koppego i osłaniał ogniem z karabinu wycofujących się kolegów.

Kiedy narodzili się jego powstańcze evergreeny.

„Pałacyk Michla” napisał wieczorem 4 sierpnia 1944 r. w czasie walk o młyn i pałacyk Michlera przy ul. Wolskiej, nieopodal Młynarskiej. To był ostatni w miarę spokojny wieczór. Młodzi żołnierze zorganizowali wieczornicę. „Ziutek” usiadł do fortepianu i zaczął grać ludową melodię „Hymn Podhala”, do której ułożył słowa. Utwór stał się hymnem Batalionu „Parasol”.

Pieśń bojowa Batalionu „Parasol”, „Chłopcy silni jak stal”, powstała na Starówce, najprawdopodobniej w drugiej połowie sierpnia. Padła już Wola, niktą nie nadchodziła pomoc, ale „Ziutek” ciągle był pełen wiary i nadziei w zwycięstwo.

Zrekonstruowała pani bojowy szlak „Ziutka” w powstańczej Warszawie...

1 sierpnia, punkt koncentracji Wola, Dom Starców. 3 sierpnia razem z kilkoma kolegami skierowany do szpitala, pośpiesznie opuszczonego przez Niemców, powstańcy wynoszą z niego broń, leki i środki opatrunkowe. Od 3 do 5 sierpnia bierze udział w walkach o młyn i pałac Michlera. 6 sierpnia zaczynają się walki o cmentarz; kalwiński i luterański. 9 sierpnia Batalion „Parasol” wycofuje się na Starówkę, gdzie uczestniczy w obronie sądów, pałacu Mostowskich, szpitala Jana Bożego, Banku Polskiego... Bardem jednostki rejestrującym przebieg walk jest „Ziutek”.

W czasie ewakuacji kanałami zostaje na Starówce oddział ok. 40 żołnierzy. Mają nie dopuścić Niemców do pl. Krasińskich – gdzie znajduje się właz – aż do czasu ewakuacji wszystkich powstańców. Kiedy ginie dowódca grupy, zastępuje go właśnie „Ziutek”. Kilka godzin później został ciężko ranny w nogę i brzuch. Pomimo rozkazu, że kanałami nie przenosi się rannych, koledzy decydują o przetransportowaniu go do Śródmieścia.

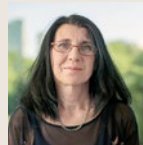
Najpierw umieszczony zostaje w szpitalu przy ul. Czackiego, potem przeniesiony na Wilczą i Marszałkowską, gdzie zmarł 10 września 1944 r. Pochowano go w mogile prowizorycznej.

Ekshumowany 5 grudnia 1945 r., spoczął w kwaterze „Parasola” na Powązkach.

Od „Czerwonej zarazy” rozpoczęliśmy i na niej zakończmy. Jakie był jej losy w Polsce Ludowej?

Koleżanki Ziutka z oddziału przekazały matce wiersze powstańcze jej syna. Był pośród nich rękopis „Czerwonej zarazy”. Dla ówczesnej władzy utwór ten stał się śmiertelnym wrogiem. Matylda Szczepańska w obawie o swą rodzinę zakopała manuskrypt obok posesji w Otwocku, gdzie po wojnie przez jakiś czas mieszkała. Do dziś nie został odnaleziony. „Czerwona zaraza” w PRL przekazywano sobie z ust do ust i powielano w tajnych drukarniach. Przez długie lata w rodzinie Szczepańskich nie mówiło się o „Ziutku”, żeby represje nie spadły na młodszych synów, ale w domu zawsze wisił jego portret z wierszem „Dziś idę walczyć, Mamo”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Małgorzata Czerwińska-Buczek – pisarka, m.in. „Pod okupacją i w powstaniu”, „Nasza powstańcza młodość”, „Życie zapisane w zeszytach”, „Ziutek. Chłopiec od »Parasola«”.

Świat kwiatów i wierzb



Gejsze odpoczywające na letnim tarasie restauracji w Kioto, koniec XIX w. FOT. NAGASAKI UNIVERSITY LIBRARY



Łukasz Czarnecki

Gejsze to tajemnicze artystki będące mistrzyniami tradycyjnych japońskich sztuk, takich jak taniec, gra na starodawnych instrumentach czy ikebana (układanie kwiatów). Większość ludzi żyjących poza Japonią ma o nich z gruntu fałszywe wyobrażenie, uważając je za luksusowe kurtyzany

Pierwszymi skojarzeniami, które nasuwają się mieszkańcom zachodniego świata na dźwięk słowa „Japonia”, są samurajowie i gejsze. O ile jednak europejskie i amerykańskie wyobrażenia na temat japońskich wojowników nie odstają zbyt od rzeczywistości, o tyle w przypadku gejsz sytuacja ma się zgoła odwrotnie. „Świat kwiatów i wierzb”, jak poetycko określają Japończycy rzeczywistość, w której

obracają się owe kobiety, jest dla przedstawicieli naszego kręgu kulturowego wielką białą plamą. Najczęstszą bodajże pomyłką jest branie gejsz za luksusowe prostytutki. Tymczasem prawda przedstawia się zupełnie inaczej i choć przed wiekami pierwsze praktykantki tego zawodu prawdopodobnie rzeczywiście wywodziły się z kręgów handlarek płatną miłości, to drogi obydwu profesji rozeszły się już dawno temu. Dziś

zamieszkiwane przez gejsze specjalne dzielnice zwane hanamachi (dosłownie „miasto kwiatów”) są jednymi z ostatnich bastionów nieskażonej tradycyjnej japońskiej kultury. Udajmy się zatem w podróż do „świata kwiatów i wierzb”, by poznać historię powstania zawodu gejszy i podejrzeć wykonujące go kobiety przy pracy.

„CHWYTAJ DZIEŃ” W YOSHIWARZE

Kultura japońska ma w sobie coś niesamowicie urzekającego. Niezależnie od tego, czy mówimy o ceremonii herbacianej, skalnych ogrodach świątyni buddyzmu zen czy drzeworytnictwie ukiyo-e. Wiele wchodzących w jej skład elementów budzi podziw swoją starożytnością, tyle tylko że... rzadko który z nich naprawdę jest starożytny. Zen przybyło do Japonii w wieku XII, podobnie zresztą jak herbata, twórcy słynnych drzeworytów żyli jeszcze później, bo w epoce Edo

(1600–1868), a najwybitniejsze dzieła tego nurtu powstały na przełomie XVIII i XIX stulecia. Podobnie ma się rzecz z gejszami – pierwsza znana nam przedstawicielka tego zawodu – niejaka Kiku – pojawia się w dokumentach administracyjnych dopiero w roku 1751.

Powstanie zawodu gejszy jest ściśle związane z rozbuchaną, żywiołową i hedonistyczną kulturą mieszczańską epoki Edo. Zjednoczenie Japonii zakończone przejściem władzy przez szogunów z rodu Tokugawa zaprowadziło pokój we wstrząsanym dotychczas przez wojny domowe kraju. Nowy rząd, chcąc zabezpieczyć się przed powrotem chaosu, wprowadził bardzo surowe prawa, dzielące Japończyków na kategorie zajmujące różne miejsca na drabinie społecznej. Na samym szczycie jako kasta rządząca znaleźli się samurajowie, poniżej byli produkujący żywność chłopcy (których los mimo takiego uhonorowania był opłakany), później rzemieślnicy, poniżej których plasowali się kupcy. Na samym dole drabiny, a właściwie już pod nią, znajdowali się aktorzy, prostytutki, żebracy, wykonawcy nieczystych zawodów (np. garbarze, rzeźnicy) i wszelkiej maści wyrzutki. Prawodawstwo regulowało właściwie wszystkie elementy życia mieszkańców cesarstwa – szogunat ingerował w to, jak kto miał się ubierać, a nawet ile stosunków seksualnych mógł odbyć w trakcie jednej wizyty w zamtuzie!

Mimo szykanowania przez ustawodawców warstwa kupiecka epoki Edo bardzo szybko zaczęła się bogacić. Olbrzymie fortuny wyrastały, ale i upadały błyskawicznie, bo rząd miał w zwyczaju zniemacka konfiskować majątek kupcom, którzy w jego odczuciu wyrosli ponad swój stan. Skoro zatem nikt z rekinów biznesu nie był pewny dnia ani godziny swojego upadku, rozpowszechniła się wśród nich filozofia życia będącego skrajnie hedonistyczną realizacją hasła „chwytaj dzień”. Bogacze tego okresu zamiast oszczędzać grosz do grosza, leką ręką wydawali fortuny na rozrywki. W ich ślady szli przedstawiciele mieszczańskiej klasy średniej, z czasem zaś, ku zgorszeniu szogunatu, także i samurajowie. W ten sposób zrodziła się skupiona na poszukiwaniu przyjemności kultura, która w przeciwieństwie do kultury samurajskiej jest mało znana na Zachodzie. Centrami jej rozwoju były dzielnice rozrywki, takie jak Yoshiwara w Edo (Tokio), z ich licznymi herbaciarniami,

teatrami kabuki i zamtuzami. Majętni Japończycy udawali się do tych dystryktów głównie w poszukiwaniu płatnego seksu. Zaspokojenie mógł tam znaleźć niezależnie od swoich preferencji każdy, kto miał wystarczająco wypchany mieszek.

NARODZINY PROFESJI

W dzielnicach rozrywki bawiono się ile sił, nie szczędząc pieniędzy, co niejednego imprezowicza doprowadziło do ruiny. Wielu z takich bankrutów skończyło bardzo źle, ale znaleźli się wśród nich i tacy, którzy przehuławszy wszystko, bynajmniej nie mieli ochoty zmieniać swojego trybu życia i zostawali tzw. taikomochi (profesjonalnymi animatorami przyjęć), którzy umilali swoim klientom bankiety, przygrywając im uszy pochlebstwami i opowiadając pieprzone anegdoty. Mężczyźni ci byli de facto... pierwszymi gejszami!

Z gejszą w dzisiejszym rozumieniu tego słowa, czyli artystką umilającą przyjęcie tańcem, grą na instrumentach i dowcipną konwersacją, stykamy się po raz pierwszy, jak już się rzekło, w roku 1751. Wtedy to właśnie niejaka Kiku, prawdopodobnie była prostytutka, która osiągnęła taką biegłość w występach artystycznych, że mogła przestać kupczyć swoim ciałem, zarejestrowała swoją profesję w urzędzie w Edo.

Nowy zawód okazał się strzałem w dziesiątkę. Klienci dzielnic rozrywki byli już znużeni ich dotychczasową ofertą. Wcześniej potrafili wydawać fortuny, by spędzać noce z luksusowymi kurtyzanami zwanymi tayū i oiran, ale powiew świeżości powitano z otwartymi ramionami. Powód do smutku mieli tylko właściciele luksusowych prostytutek, gdyż pojawienie się gejsz okazało się gwoździem do trumny dla karier ich podopiecznych. W dekadę po tym, jak Kiku zarejestrowała się jako gejsza z Yoshiwary, zniknęły ostatnie oiran.

Gejsze różniły się znacząco od kurtyzan. Tym, co sprzedawały, był ich talent. Rząd patrzył im uważnie na ręce, motywowany ku temu skargami właścicieli zamtuzów, bojących się wypadnięcia z interesu. Oficjalnie gejsze nie oddawały się swoim klientom, czego zewnętrzną oznaką był sposób, w jaki wiązały swoje obi (pas do kimona). Podczas gdy nierządniczki zawiązywały sobie jego węzeł z przodu tak, aby zainteresowany ich usługami mężczyzna mógł go szybko

rozwiązać i wziąć się do roboty, tak następnie Kiku zawiązywały swój pas na plecach. Inne prawo stanowiło, że w drodze na miejsce występu artystkom towarzyszyć musi mężczyzna, a im samym nie wolno występować po północy. Aby dopilnować przestrzegania dobrych obyczajów, w roku 1779 w Edo powstał specjalny urząd zajmujący się gejszami, tzw. kenban. Urzędy tego typu funkcjonują w poszczególnych miastach do dziś, pilnując zachowania standardów i dbając o interesy gejsz.

Oczywiście prawo jak zwykle szło sobie jedną drogą, podczas gdy życie podążało zgoła odmienną ścieżką. Gejszom zdarzało się wdawać w romanse z mężczyznami, dla których występowały, a prawie każda posiadała swojego danna, czyli patrona, zamożnego człowieka łożącego pieniądze na jej utrzymanie. Sponsor taki nie miał co prawda wyłączności na swoją podopieczną, ale przysługiwało mu pierwszeństwo w dostępie zarówno do jej talentów, jak i wdzięków i bardzo często korzystał z tego prawa, czyniąc z gejszy kochankę.

Niebył ciekawie wyglądała kwestia rekrutacji do zawodu nowych dziewcząt. Część z duchowych spadkobierczyń Kiku była dziewczętami urodzonymi przez gejsze i już od małości wychowywały się one w murach okiya, czyli zamieszkanego wyłącznie przez kobiety „domu gejsz”. Jednak gdyby ograniczano się tylko do przyrostu naturalnego w hana-machi, szybko zabrakłoby rąk do pracy, więc stojące na czele okiya tzw. matki uzupełniały szeregi swoich podopiecznych, kupując małe dziewczynki od ich ubogich rodziców. Postępowały dokładnie tak samo jak właściciele domów publicznych. Dziewczęta, które trafiły pod skrzydła gejsz, mogły mimo wszystko mówić o szczęściu; gdyby ich kupcem był alfons z zamtuzu, prawdopodobnie zmarłyby na chorobę weneryczną tuż po dwudziestce, przeżywszy krótkie życie pełne cierpienia i upokorzeń. Zostanie gejszą dawało lepsze perspektywy na przyszłość.

GINĄCY ZAWÓD

Zwyczaj uzupełniania szeregów gejsz przez kupowanie dzieci przetrwał aż do połowy XX w. Dopiero w roku 1957 japoński rząd wprowadził w życie prawo delegalizujące prostytucję, a wraz z nią owo zjawisko. Dzisiaj gejszami zostają już tylko ochotniczeki, zaczynające



Coraz mniej Japonek chce zostać gejszami. Powodem jest m.in. perspektywa bardzo długiego i żmudnego treningu. FOT. ADOBE STOCK

■ szkolenie w wieku ok. 15–16 lat, podczas gdy w dawnych czasach trening kandydatek rozpoczynał się, gdy osiągnęły wiek sześciu lat. Ze smutkiem dodać należy, że chętnych, by dołączyć do „świata kwiatów i wierzb”, Japonek jest coraz mniej – pod koniec XX stulecia najślawniejsze urzędujące w Kioto okiia były nawet zmuszone umieścić w prasie ogłoszenia rekrutacyjne!

Powodów „kryzysu powołań” jest kilka. Na pewno na potencjalne kandydatki zniechęcająco działa perspektywa bardzo długiego i żmudnego treningu. Trudny jest zwłaszcza pierwszy etap, kiedy dziewczyna terminuje w okiia jako tzw. shikomi, która oprócz nauki tańca pracuje de facto jako służąca od wszystkiego. Dopiero po jakimś czasie, odbywszy tę niewdzięczną, acz konieczną praktykę, kandydatka zostaje maiko – to jest młodą gejszą, która dopiero poznaje tajniki zawodu. Dzień w dzień będzie się uczyć tańca, śpiewu, zasad ikebany i ceremonii herbacianej. Nauka ta odbywa się zarówno w salach okiia, gdzie dziewczęta podnoszą swoje kwalifikacje artystyczne, jak i w trakcie przyjęć, na które maiko uczęszczają wraz ze swoimi „starszymi siostrami”. Dopiero po kilku latach praktyki czeka je awans na pełnoprawną gejszę zwaną geiko.

GEJSZE PRZY PRACY

Skoro zapoznaliśmy się już z historią zawodu gejszy, najwyższa pora, by uchylić rąbka tajemnicy i zobaczyć, czym

właściwie na co dzień zajmują się wykonujące tę profesję kobiety.

Zadaniem gejsz jest animowanie wieczornych przyjęć odbywających się w tzw. ochaya, czyli herbaciarniach. Imprezy te noszą nazwę ozashiki i nie należą bynajmniej do pospolitych zjawisk. Biesiady tego rodzaju są bardzo kosztowne i na ich urządzenie stać tylko bogatych klientów. Wyśrubowanym cenom trudno się jednak dziwić, gdy uświadomimy sobie, że pieniądze uzyskane przez gejsze w ramach zapłaty za udział w takim bankiecie muszą wystarczyć nie tylko na utrzymanie jej samej, lecz także zasilić konto jej okiia, by zredukować dług, który artystka zaciągnęła w trakcie szkolenia względem swoich nauczycieli. Bycie gejszą jest niezwykle kosztowne, gdyż nawet najbardziej podstawowe kimono, używane przez kobietę praktykującą ów zawód, kosztuje więcej niż przeciętna roczna japońska pensja!

Ozashiki trwają z reguły od dwóch do trzech godzin. W ich trakcie goście oraz obsługujące ich gejsze wypijają często znaczne ilości alkoholu. Z zasady w ochaya nie podaje się jedzenia, ale uczestnicy bankietu mogą zamówić posiłek, który zostanie przywieziony z jednej z okolicznych restauracji. Jednak nawet jeśli tak zrobią, to gejsze nie skosztują ani kęsa, obyczaj zabrania im bowiem jedzenia w miejscu pracy.

Po przywitaniu się z biesiadnikami i wychyleniu z nimi toastu artystki zaczynają prezentować swój program. Z reguły

jedna z nich (na przyjęciach pojawiają się minimum w duecie) gra na shamisenie (rodzaj japońskiej lutni), podczas gdy pozostałe tańczą z gracją w takt muzyki tradycyjne japońskie tańce. W trakcie jednego ozashiki odbyć może się kilka takich krótkich występów.

Z upływającym czasem i kolejnymi opróżnionymi czarkami sake klimat spotkania robi się coraz bardziej nieformalny. Wówczas zaczynają się animowane przez gejsze gry towarzyskie. Jeśli jednak oczekujecie opisu niezwykle wyrafinowanych zmagających intelektualnych, poczucie się zawiedzeni – zabawy te są bardzo proste, część z nich przypomina choćby nasze swojskie papier – kamień – nożyce. Gejsze prowadzą też lekką konwersację ze swoimi gośćmi, prawią im komplementy i opowiadają żarty. W takiej rozmowie nigdy nie używa się imion ani nazwisk klientów (choć są one doskonale znane zabawiającym ich artystkom, które jeśli mają obsłużyć ważne osoby, to potrafią przed przyjęciem zrobić porządną kwerendę w sieci i prasie), zamiast tego gejsze określają ich wymyślonymi przez siebie przydomkami. Wesoła paplanina trwa w najlepsze nawet wtedy, gdy klient udaje się do toalety! Gejsza rusza tam za nim i czeka, aż mężczyzna wyjdzie ze swojej kabiny, konwersując z nim przez drzwi.

Gejsze często znikają jeszcze przed końcem danego ozashiki, by zdążyć na kolejną imprezę. Zabierają ze sobą w torebkach koperty wypełnione sutymi napiwkami. Rachunek za samo przyjęcie zostaje przesłany organizatorowi imprezy za jakiś czas (niekiedy nawet miesiąc później). Jest to wyraz zaufania, oparty na przekonaniu, że ozashiki urządzić może jedynie mężczyzna o nienagannej klasie i szerokim geście, który nie będzie się wzdragał na myśl o zapłaceniu astronomicznej sumy.

Innym zajęciem, któremu poświęcają się gejsze, jest udział w obchodach japońskich wydarzeń kulturalnych, w trakcie których prezentują swoje umiejętności taneczne. Największe miasta Japonii mają w tym zakresie swoje własne tradycje, w związku z czym w trakcie roku odbywa się cała masa festynów dających gejszom pole do popisu. Przygotowanie do takiego występu wymaga oczywiście wiele czasu i jest de facto zajęciem pro publico bono, gdyż artystki z hanamachi nie dostają zań żadnych pieniędzy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Według badania „Family Power”, zrealizowanego przez firmę IQS, rodzice dzieci w wieku 6-13 lat mają świadomość, że powinni edukować swoje pociechy w dziedzinie finansów. Pekao postanowiło pomóc rodzicom przekuć teorię w praktykę i wdrożyć PeoPay KIDS, czyli pionierskie rozwiązanie, które uczy dziecko zarządzać pieniędzmi. Teraz bank rusza z jego promocją.

Podstawą pakietu jest prosta w obsłudze aplikacja dla najmłodszych z wirtualnym trenerem, który wyjaśnia różne pojęcia z zakresu finansów oraz tłumaczy jak skutecznie oszczędzać i gospodarować środkami. Najmłodszy mają możliwość tworzenia skarbonek w ramach konta oszczędnościowego Mój Skarb, by odkładać w nich pieniądze na wybrane przez siebie cele. Mogą też zrealizować przelew z bezpłatnego Konta Przekorzystego lub doładować telefon – w tym przypadku prosba o autoryzację transakcji jest zawsze wysyłana rodzicowi. Mama lub tata, z Panelu Rodzica umieszczonego w swojej bankowości internetowej Pekao24 i aplikacji PeoPay, mogą dyskretnie nadzorować finanse swojej pociechy oraz zasilić jej konto. W ramach PeoPay KIDS dziecko może też bezpłatnie korzystać z własnej karty płatniczej, dzięki której dokona płatności w sklepach oraz wypłaci gotówkę – limit takich transakcji również ustala rodzic.

Bank Pekao wystartuje z 30-sekundowym telewizyjnym spotem, który przedstawia korzystającą z aplikacji bohaterkę reklamy. W wirtualnej skarbonce dziewczynka uzbierała na rower i wybrała się z tatą po jego zakup. W sklepie jednak wpada jej w oko atrakcyjniejszy, ale i droższy rower. Ponieważ nie ma wystarczających środków, staje przed poważnym dziecięcym dylematem, skąd wziąć resztę brakujących pieniędzy, aby zrealizować swoje marzenie. Dodatkowo, spot prezentuje promocyjną ofertę banku, dzięki której można zyskać 2 proc. w skali roku przez 4 miesiące na koncie oszczędnościowym rodzica i na skarbonkach dziecka oraz 250 zł na start.

– W reklamie pokazaliśmy, że w aplikacji PeoPay KIDS dziecko może zarządzać środkami między poszcze-

Bank Pekao w nowej kampanii zachęca rodziców do edukacji finansowej dzieci

Bank Pekao ruszył z promocją pakietu PeoPay KIDS – nowoczesnego rozwiązania finansowego, ułatwiającego wprowadzenie dziecka w świat finansów. W nowej, szeroko zasięgowej kampanii bank przekonuje rodziców, że warto od małego uczyć pociechy świadomego gospodarowania pieniędzmi i oszczędzania.

gólnymi skarbonkami. Podkreślił przy tym samym, jak w kwestii finansów dzieci ważna jest nauka dokonywania samodzielnych wyborów i brania za nie odpowiedzialności. To kontynuacja kampanii „Bierz życie za rogi”, gdzie przedstawialiśmy nietuzinkowe osiągnięcia bohaterów. Tu postawiliśmy na nieco inną formę, czyli fabularny scenariusz z reżyserską ręką bohaterką, która realizuje oszczędno-

ściowe cele oraz sprawnie posługuje się kartą – mówi Jorge Sánchez Kłosiński, Dyrektor Biura Marketingu w Banku Pekao S.A.

Reklama będzie także wyświetlana w kinach w całym kraju przed filmami familijnymi oraz w kinach letnich w wakacyjnych miejscowościach. W sierpniu Pekao zamieni w telewizji dłuższy spot na dwie 15-sekundowe reklamy. Kampania obejmie również

8-sekundowy telewizyjny spot sponsorski, działania w internecie i mediach społecznościowych.

– Wierzymy, że dobre nawyki związane z gospodarowaniem pieniędzmi zdobyte w młodości pozwolą dzieciom dobrze przygotować się do dorosłości. W Polsce brakuje rozwiązań bankowych dla maluchów w wieku szkolnym. Można więc powiedzieć, że wyznaczamy kierunek komunikacji tego typu produktów. Promując PeoPay KIDS postawiliśmy na żywy i jasny przekaz, odnoszący się de facto nie do samych dzieci, a właśnie do rodziców, którzy mają wpływ na rozwój swoich pociech. Mamy nadzieję, że dziecko, które obejrzy nasze spoty, również wyciągnie z nich wartościową lekcję – zaznacza Jorge Sánchez Kłosiński.

Aby ułatwić rodzicom rozmawianie z dziećmi o pieniądzu i oszczędzaniu, Bank Pekao szykuje specjalny mechanizm – bota w Facebook Messengerze. Już od sierpnia rodzic będzie mógł wcielić się w wirtualnego trenera i podłożyć swój głos, by dubbingować bohaterów z brygady PeoPay KIDS (żubra, lisa, złotówkę). Znajomy głos pozwoli bardziej przykuć uwagę malucha i przekazać mu cenne finansowe rady. Bank planuje też organizację konkursu na Facebooku z atrakcyjnymi nagrodami.





PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Oczami bolszewika

Nie ma nic ciekawszego niż spojrzeć na znane wydarzenie historyczne oczami drugiej strony. Oczami nieprzyjaciela. W przypadku wojny 1920 r. autentycznych i wiarygodnych relacji bolszewickich żołnierzy zachowało się jednak niestety niewiele. Większość wydanych w Związku Sowieckim wspomnień z tej kampanii została bowiem odpowiednio

Gindin był lekarzem polowym Armii Czerwonej i fanatycznym komunistą

„podrasowana” na bieżące potrzeby komunistycznej propagandy.

Dlatego tym cenniejsze są – opublikowane w najnowszej „Karcie” – listy do żony pisane z frontu przez Łazara Gindina. Gindin był lekarzem polowym Armii Czerwonej i fanatycznym komunistą. Oto próbka tego interesującego źródła historycznego: 10 czerwca: „Opanował mnie hazard wojenny, bo teraz rozstrzyga się los rewolucji. Będziemy iść całą noc, nieustannie ryzykując, że wpadniemy w łapy panów,

a to najgorsze, co nam się może zdarzyć. Ale jakoś wybrniemy z tego położenia i mimo wszystko pobijemy w końcu panów”.

17 czerwca: „Ale była rozróżba wczoraj wieczorem i przez całą noc. Polak zaszedł nas od tyłu i zaczął walić do nas. Cofamy się. Znowu wielu rannych. Dziś będziemy ponownie atakować. Gorący dzień. Słońce pali nieznośnie. Zmęczyłem się”.

23 czerwca: „A serce tak cierpi, tak mi boleśnie, boleśnie. Rozumiesz? W warunkach wrogości i nienawiści klasowej, i śmierci, tak tęskno do ulubionej pieczyoty, tak potrzebna jest bliskość drogiej istoty. Olunieczko! Dziecinko! Miła, kochasz mnie?”.

13 lipca: „Front – to surowa, ale dobra szkoła. Tu charaktery się hartują, choć bywa też, że łamią”.

Łazarz Gindin 21 sierpnia został wzięty do niewoli pod Warszawą przez polskie oddziały. W 1921 r. uciekł z obozu jenieckiego w Tucholi i, dzięki pomocy sowieckiej ambasady, przedostał się do „raju” robotników i chłopów.

Poza tym w nowej „Karcie” wiele ciekawych tekstów o wojnie 1920 r., sierpniu 1980 r. oraz o Polakach służących w Wehrmachcie. Do tego nieznane wcześniej zdjęcia gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego z pierwszych dni powstania warszawskiego. ©



★★★★★
„KARTA”
103/2020



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wyrok na miasto

Wybuch powstania warszawskiego był samowolą dowództwa AK podjętą wbrew rozkazom z Londynu. Miejscowi dowódcy w jednym zgadzali się z przełożonymi: zdawano sobie sprawę, że sowiecka ofensywa oznacza nową okupację, a hitlerowców zastąpią komuniści. Ale gdy sztab AK chciał wywołać

normalnie pracowało i należało ich dopiero odnaleźć. Wielu bojowników nie dotarło więc w terminie na wyznaczone miejsca koncentracji.

Najważniejszym problemem był jednak brak uzbrojenia. Wiosną okupanci odnaleźli wiele tajnych magazynów, poważnie uszczuplając konspiracyjne zasoby, a na początku lipca część zapasów odesłano na wschód. Planowano wówczas wyłączenie stolicy z akcji zbrojnej, a po zmianie decyzji nie starczyło czasu na ściągnięcie uzbrojenia z powrotem. W efekcie w chwili wybuchu walk w Warszawie zaledwie 10 proc. powstańców dysponowało bronią palną. Najczęściej była to broń krótka nieprzydatna do atakowania umocnionych pozycji. Na domiar złego, z powodu zbyt krótkiego odstępu czasu między decyzją o wybuchu powstania a rozpoczęciem walk, wielu oddziałom nie zdążyło dostarczyć broni.

Najważniejszym problemem był brak uzbrojenia

powstanie, to naczelny wódz zalecał przejście do „nowej konspiracji, nielicznej i starannie dobranej”.

Niestety, w Warszawie przeważały opinie o konieczności podjęcia walki. Decydująca odprawa odbyła się po południu 31 lipca 1944 r. W mieszkaniu przy ulicy Pańskiej 16 zebrał się sztab AK i podjęto decyzję o rozpoczęciu powstania następnego dnia. Odpowiedni rozkaz został podpisany o godz. 19 i łączniczki ruszyły w miasto. Godzinę „W” wyznaczono na godz. 17 następnego dnia, wykluczając w ten sposób możliwość powiadomienia wszystkich podległych oddziałów. Łączniczki miały bowiem zaledwie godzinę na przekazanie rozkazów (godzina policyjna zaczynała się o 20) i akcja ruszyła właściwie dopiero rano. Ale nawet wówczas przebiegała z dużymi problemami, wielu członków podziemia przecież

Niepokojąco przedstawiały się też zapasy amunicji. Przy dobrym gospodarowaniu (zgodnie z zasadą „jeden strzał, jeden Niemiec”) mogło jej wystarczyć na cztery–pięć dni... Pułkownik Antoni Chruściel „Monter”, komendant warszawskiego okręgu AK, wydał więc polecenie, by jego podwładni uzbrajali się w siekiery, kilofy i łomy! Tak wyposażeni mieli zdobywać broń w walce z doskonale uzbrojonym wrogiem. Nawet w początkowej fazie bitwy o Stalingrad rekrutom Armii Czerwonej przydzielano jeden karabin na dwóch... ©

W Polsce mamy suszę.

Ulewy i burze nie poprawiają sytuacji



Mimo ulewnych deszczy w Polsce wciąż mamy suszę. Krótkotrwałe i intensywne opady powodują lokalne podtopienia. Występowanie tych pozornie wykluczających się zjawisk jednocześnie jest efektem zmian klimatycznych. Każdy może jednak podjąć działania realnie poprawiające sytuację

ULEWNE DESZCZE, PODTOPIENIA I SUSZA – TAK JEST W POLSCE

Ostatnio w Polsce walczyliśmy z tzw. powodziami błyskawicznymi. Pojawiły się one po ulewnych deszczach i bardzo szybko doprowadzały do podtopień. Podczas nawałnic lub kilku następujących po sobie burz z intensywnymi opadami spada tak dużo wody, że ziemia nie jest w stanie jej przyjąć. Obserwowaliśmy to m.in. przed ostatnim weekendem czerwca w okolicach Przeworska na Podkarpaciu.

– Informacje o podtopieniach wielu osobom mogą wydawać się zaskakujące. Przecież chwilę wcześniej media ostrzegały o zagrożeniu suszą. Niestety w wielu miejscach Polski jest ono aktualne. Intensywne i krótkotrwałe opady wsiąkają do ziemi w minimalnym stopniu, spływając w szybkim tempie do niżej położonych miejsc. To prowadzi z kolei do występowania rzek z ich koryt – mówi Anna Sawicka, ekspert ds. rozwoju strategii ekologicznej Banku Ochrony Środowiska.

Powtarzające się od kilku lat beśnie zimy dodatkowo wpływają na obniżenie poziomu wód podziemnych. Odbudowę zasobów wodnych mogą zapewnić tylko mniej intensywne, ale długotrwałe opady.

TO EFEKTY ZMIAN KLIMATYCZNYCH, JESZCZE MOŻEMY POPRAWIĆ SYTUACJĘ

Przyczyną występowania ekstremalnych zjawisk pogodowych są zmiany klimatyczne. W dużej mierze odpowiada za nie efekt cieplarniany. Przemysł, transport i intensywna hodowla zwierząt sprawiają, że do atmosfery trafiają duże ilości m.in. dwutlenku węgla. To prowadzi do wzrostu temperatury na Ziemi i zaburzenia równowagi opadowej. Kłopot stanowi także postępujący rozwój obszarów miejskich.

– Coraz większe tereny zajmują ulice, place i chodniki. Zastępują one łąki i lasy – wszelkie powierzchnie nieutwardzone, biologicznie czynne, które dotychczas wchłaniały wody opadowe. Dlatego tak ważna jest dbałość o oazy zieleni w naszym otoczeniu, m.in. miejskie parki. Działać może każdy, np. tworząc łąkę kwietną. Jest to proste i tanie, a korzyści duże. Tego rodzaju roślinność nie

tylko cieszy oczy pięknymi kolorami, ale przede wszystkim wiąże wilgoć w glebie. Jeśli wysiejemy rośliny miododajne, pomożemy także pszczołom – podkreśla Anna Sawicka.

Warto zadbać też o magazynowanie deszczówki. Można gromadzić ją w zbiorniku retencyjnym, a w dowolnej chwili wykorzystać do prac gospodarczych lub podlewania ogrodu. Jeżeli zbudujemy odpowiednią instalację, deszczówkę wykorzystamy nawet w domu – do takich czynności jak spłukiwanie toalety lub pranie.

PIENIĄDZE W ZASIĘGU RĘKI

Rządowy program „Moja Woda” oferuje wsparcie na inwestycje związane z wykorzystaniem zatrzymanej wody, w tym budowę zbiornika retencyjnego. Przedsięwzięcie może zostać dofinansowane w wysokości nawet 80 proc. jego wartości, w kwocie nie wyższej niż 5 tys. zł. Od 1 lipca wnioski są przyjmowane w Wojewódzkich Funduszach Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Warto również zapoznać się z produktami oferowanymi przez bank specjalizujący się w inwestycjach proekologicznych. Samorządy z kolei mogą wziąć udział w konkursie „Miasto z klimatem”. Dzięki inicjatywie Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej oraz Ministerstwa Klimatu można sfinansować m.in. likwidację powierzchni nieprzepuszczalnych w miastach.

Pod tym bardzo głośnym listem (nasze tłumaczenie listu publikujemy poniżej) podpisało się ponad 150 znanych lewicowych nazwisk, wśród nich takie sławy, jak Noam Chomsky, Francis Fukuyama, Salman Rushdie, Anne Applebaum czy J.K. Rowling. List, który 7 lipca ukazał się na stronie internetowej „Harper’s Magazine”, stał się punktem odniesienia w debacie przetaczającej się właśnie przez czołowe zachodnie media lewicowe.

„Wolna wymiana informacji i idei, krwibieg liberalnego społeczeństwa, każdego dnia jest coraz bardziej ograniczana. Spodziewaliśmy się tego ze strony radykalnej prawicy, ale cenzura rozlewa się również po naszej stronie: nietolerowanie innych opinii, moda na zapędzanie przeciwników w kozi róg, ostracyzm, a także tendencja do tego, by ze ślepą moralną wyższością rozwiązywać skomplikowane problemy” – diagnozują we wstępie autorzy listu. Wprawdzie w samym – bardzo krótkim – tekście hasło to nie pada, jednak oczywiste jest, że jest to sprzeciw wobec tzw. cancel culture, czyli wyrzucaniu poza nawias wszystkich tych, którzy nie wpisują się z głoszonymi przez siebie opiniami w mainstream.

– Wygląda na to, że to nieprawdopodobne szaleństwo, prezentowane przez skrajnie lewicowe tłumy, w końcu dotarło do świadomości liberalnych intelektualistów. To oczywiście dobrze, ale problem w tym, że wielu z podpisanych pod tym listem nie tylko nabierało wcześniej wody w usta, lecz także własnoręcznie pomagało cenzurować opinie ludzi, z którymi się nie zgadzali – mówi „Do Rzeczy” Eric Metaxas, znany amerykański konserwatywny publicysta, prowadzący bardzo popularne programy w radiu i telewizji. – Oczywiście

Rewolucja kasa własne dzieci



Piotr Włoczyk

Czołowi zachodni intelektualiści lewicowi apelują do własnego środowiska o więcej tolerancji dla ludzi o odmiennych poglądach. Ostatnie wydarzenia pokazują, że lewicowa cenzura uderza również w tych, którzy do tej pory nie widzieli w niej niczego złego



List ws. Sprawiedliwości i Otwartej Debaty

(Ukazał się 7 lipca 2020 r. na stronie internetowej „Harper’s Magazine”)

Nasze instytucje kultury stoją wobec wyzwania. Potężne protesty na rzecz sprawiedliwości rasowej i społecznej prowadzą do żądań reformy policji, do której już dawno powinno dojść. Dochodzą do tego wezwania do zaprowadzenia większej równości oraz otwartości w naszym społeczeństwie – nie tylko w szkolnictwie wyższym, dziennikarstwie, filantropii i w sztuce. Efektem tego niezbędnego rozrachunku jest jednak nowy katalog postaw moralnych i politycznych recept, które osłabiają ramy naszego dialogu

społecznego, a także osłabiają tolerowanie różnic na rzecz ideologicznego konformizmu. O ile wspieramy te pierwsze zmiany, o tyle wyrażamy nasz sprzeciw wobec tych drugich. Nieliberalne siły nabierają wiatru w żagle na całym świecie i mają dziś potężnego sojusznika w osobie Donalda Trumpa, który jest prawdziwym zagrożeniem dla demokracji. Jednak nie można pozwolić na to, by opór zamienił się w swojego rodzaju dogmat czy przymus, co prawicowi demagogowie już wykorzystują. Zbudowanie w pełni demokratycznego społeczeń-

stwa jest możliwe tylko wtedy, jeżeli będziemy potępiali nietolerancyjny klimat, który widać już wszędzie.

Wolna wymiana informacji i idei, krwibieg liberalnego społeczeństwa, każdego dnia jest coraz bardziej ograniczana. Spodziewaliśmy się tego ze strony radykalnej prawicy, ale cenzura rozlewa się również po naszej stronie: nietolerowanie innych opinii, moda na zapędzanie przeciwników w kozi róg, ostracyzm, a także tendencja do tego, by ze ślepą moralną wyższością rozwiązywać skomplikowane problemy. Doceniamy

Bezpośrednim powodem powstania listu, który 7 lipca ukazał się na stronie internetowej „Harper’s Magazine”, była lawina lewicowego hejtu, która w ostatnich tygodniach spadła na J.K. Rowling (na zdjęciu), autorkę serii o „Harrym Potterze”

FOT. GARY MITCHELL/ZUMA PRESS/FORUM

zazwyczaj ucisza się i poddaje ostracyzmowi ludzi wyznających biblijne poglądy na seksualność i małżeństwo, a także uważających nienarodzone dzieci za ludzi takich samych jak my. Mam nadzieję, że cały ten dramat z cenzurą, do którego doprowadziła u nas lewica, pozwoli teraz tym ludziom dostrzec, że sami odpowiadają za stworzenie tego klimatu – mówi Metaxas.

LEWICOWA „TRANSFOBIA”

Nie ulega wątpliwości, że bezpośrednim powodem powstania tego listu była lawina lewicowego hejtu, która w ostatnich tygodniach spadła na J.K. Rowling, autorkę serii o „Harrym Potterze”. Co ciekawe, Rowling wcześniej wielokrotnie dała się poznać jako promotorka progresywnej wizji stosunków społecznych. Powodem hejtu były opinie, które Rowling wygłosiła na temat osób transseksualnych, kwestionując podstawowe założenie teorii gender, według której można swobodnie wybierać sobie płeć. Autorka „Harry’ego Pottera” należy bowiem do tej frakcji feminizmu, która uważa, że płci nie można sobie wybrać. Rowling momentalnie stała się dla środowiska LGBT wrogiem numer jeden. Znani aktorzy, pisarze i politycy prześcigali się w wytykaniu autorce „Harry’ego Pottera” „transfobii”. Ta w serii wpisów na Twitterze dała do zrozumienia, że z debatą publiczną stało się coś bardzo złego.

W ten sposób Rowling na własnej skórze przekonała się o tym, przed czym od wielu lat przestrzegali pravicowi zachodni intelektualiści – kończenie niewygodnych dyskusji epitetami w stylu „faszysta”, „homofob” zabija debatę i w końcu uderzy w tych, którym dziś jest to na rękę. Po naszej stronie Atlantyku głośno protestował przeciw temu choćby sir Roger Scruton,

zmarły w styczniu tego roku konserwatywny intelektualista, który wielokrotnie padał ofiarą lewicowej cenzury w Wielkiej Brytanii – jego książki wyrzucano z uniwersyteckich bibliotek, a on sam w ostatnich latach życia musiał się cały czas zmagać z przypisaną mu łatką „faszysty”.

Autorzy listu dla bezpieczeństwa podkreślili, że kibicują ostatnim protestom w USA, czekają na pełne upodmiotowienie „uciskanych” mniejszości i nie zgadzają się z polityką Donalda Trumpa. To wszystko nie uchroniło ich jednak przed ostrą krytyką własnego środowiska, ponieważ – mimo dużego stopnia ogólności – list jest bardzo jednoznaczny w swojej wymowie:

„Ta niezdrowa atmosfera w końcu odbije się na tym, jak poradzimy sobie z najważniejszymi wyzwaniem naszych czasów. [...] Najlepszym sposobem na pokonanie złych idei jest przeświechtanie ich, argumentowanie, a nie uciskanie ich czy ignorowanie. Nie zgadzamy się na fałszywy wybór pomiędzy sprawiedliwością a wolnością. Te wartości nie są w stanie istnieć bez siebie nawzajem”.

Chociaż w liście nie podano wprost konkretnych przykładów cenzury, to dla wszystkich zainteresowanych jasne jest, kogo mają na myśli autorzy. „Redaktorzy są wyrzucani z pracy za publikowanie kontrowersyjnych artykułów, książki są wycofywane za rzekomą nieautentyczność, dziennikarzom zabrania się pisać na pewne tematy, profesorowie są obejmowani dochodzeniami za cytowanie dzieł literackich na swoich zajęciach, badacze są wyrzucani za rozpowszechnianie recenzowanej pracy naukowej, a szefowie instytucji są zwalniani za popełnienie zwyczajnych błędów”. Skupmy się na dwóch spośród wymienionych

wartość żywej, momentami nawet ostrej walki z mową nienawiści i dezinformacją, ale obecnie zbyt często słychać wezwania do szybkiego i zdecydowanego ukarania tych, którzy w opinii pewnych osób przekraczają dopuszczalne granice debaty. Jeszcze bardziej niepokojące jest to, że liderzy opinii publicznej, w duchu zarządzania kryzysowego, wymierzają pochopne i bardzo surowe kary, zamiast wprowadzić przemyślane reformy. Redaktorzy są wyrzucani z pracy za publikowanie kontrowersyjnych artykułów, książki są wycofywane za rzekomą nieautentyczność, dziennikarzom zabrania się pisać na pewne tematy, profesorowie są obejmowani dochodzeniami za cytowanie dzieł literackich na swoich zajęciach, badacze są wyrzucani za rozpowszechnianie recenzowanej

pracy naukowej, a szefowie instytucji są zwalniani za popełnienie zwyczajnych błędów. Jakkolwiek by brzmiały argumenty wiążące się z każdą z tych spraw, efektem jest to, że coraz bardziej postępuje zawężanie granic tego, co można powiedzieć bez strachu przed karą. Już ponosimy tego cenę w postaci widocznej niechęci do ponoszenia ryzyka wśród pisarzy, artystów i dziennikarzy. Wszyscy oni boją się utraty źródła utrzymania, jeżeli wyłamią się z konsensusu lub nie będą wykazywali wystarczającej gorliwości w utrzymywaniu konsensusu.

Ta niezdrowa atmosfera w końcu odbije się na tym, jak poradzimy sobie z najważniejszymi wyzwaniami naszych czasów. Ograniczanie debaty, czy to przez represyjny rząd, czy nietolerancyjne społeczeństwo, niechybnie uderza

w tych, którzy nie dysponują władzą, i odbiera ludziom możliwość uczestniczenia w demokracji. Najlepszym sposobem na pokonanie złych idei jest przeświechtanie ich, argumentowanie, a nie uciskanie ich czy ignorowanie. Nie zgadzamy się na fałszywy wybór pomiędzy sprawiedliwością a wolnością. Te wartości nie są w stanie istnieć bez siebie nawzajem. Jako pisarze i publicyści potrzebujemy kultury, która pozostawia nam miejsce na eksperymentowanie, ryzykowanie, a nawet popełnianie błędów. Musimy zachować możliwość spierania się w dobrej wierze bez strachu przed poważnymi konsekwencjami zawodowymi. Jeżeli my sami nie będziemy bronili fundamentu naszej pracy zawodowej, to nie powinniśmy się ludzi, że społeczeństwo lub państwo obroni go za nas.

tu przypadków cenzury: redaktora wyrzuconego z pracy za wypuszczenie niebezpiecznego tekstu i profesor objętą dochodzeniem za użycie zakazanego słowa.

Pierwsza sprawa dotyczy Jamesa Benneta, redaktora działu opinii „The New York Times”. Bennet musiał się w zeszłym miesiącu zwolnić z pracy po tym, gdy w słynnym nowojorskim dzienniku ukazał się tekst autorstwa republikańskiego senatora z Arkansas Toma Cottona pt. „Wyslijcie wojsko”. Cotton napisał w nim, że w związku z narastającą falą zamieszek po zabójstwie George’a Floyda, paleniem budynków, atakami na policję i postronnych ludzi Donald Trump powinien wysłać na ulice armię, by pokazać „buntownikom” „potęgę państwa”.

Początkowo redakcja „NYT” broniła decyzji o publikacji tekstu, argumentując, że nie był to przecież materiał od redakcji, tylko tekst na stronach opinii, a dział ten z założenia ma pokazywać różne poglądy. W związku jednak z narastającą presją ze strony innych lewicowych mediów (protestowało także wielu dziennikarzy „NYT”, odmawiając przyścia do pracy), polityków Partii Demokratycznej i lewicowych aktywistów redakcja poddała się i wydała oświadczenie, w którym napisała, że tekst „nie spełniał standardów”, które stawia „NYT”. Przyparty do muru Bennet powiedział z kolei, że... nie czytał tekstu, który ukazał się w jego dziale.

PROBLEM BIAŁEJ PROFESOR

Drugi z przywołanych przez autorów listu przypadek dotyczy prof. Laurie Sheck, wykładowczyni literatury amerykańskiej na New School w Nowym Jorku.

Ostra reakcja na list ze strony środowisk lewicowych sprawiła, że niektórzy podpisani nie wytrzymali presji i zażądali wycofania swojego podpisu

Sheck, nominowana do Nagrody Pulitzera poetka, cytowała w zeszłym roku na swoich zajęciach fragment książki Jamesa Baldwin, afroamerykańskiego pisarza. Problem w tym, że padło tam słowo „czarnuch”, a Sheck jest biała... Zaniepokojona biała studentka zaalarmowała władze uczelni. Jak twierdziła w donosie, jeden z profesorów wyraźnie powiedział jej, że biali ludzie nigdy, pod żadnym pozorem i w żadnym kontekście nie mogą używać słowa „czarnuch”. Uczelnia wszczęła dochodzenie. Sheck broniła się przed komisją, mówiąc m.in., że „można chyba wymagać od studentów, że są w stanie dyskutować na temat bolesnego i agresywnego języka”. Na koniec spotkania z władzami uczelni dostała do ręki uniwersyteckie wytyczne na temat dyskryminacji i została poinformowana, że ma się z nimi zapoznać. Ostatecznie jednak, gdy sprawa zrobiła się głośna, władze uczelni umorzyły sprawę i nie wyciągnęły wobec swojej wykładowczyni żadnych konsekwencji.

Ostra reakcja na list ze strony środowisk lewicowych sprawiła, że niektórzy podpisani nie wytrzymali presji i zażądali wycofania swojego podpisu. „Myślałam, że wspieram list przeciwko zawstydzaniu w Internecie, napisany w dobrej wierze” – napisała na Twitterze Jennifer

Finney Boylan, amerykański aktywista transpłciowy, który z przerażeniem zauważył, że obok jego własnego podpisu widnieje podpis J.K. Rowling. Boylan nie tylko wycofał swoje poparcie, lecz także przeprosił za podpisanie się pod listem.

Nie brakowało też kuriozalnych ataków, jak choćby ten pióra Laury Bradley z witryny The Daily Beast, która nazwała osoby wspierające przesłanie listu „wybranymi białymi głupcami”. Odpowiedział jej podpisany pod listem czarnoskóry pisarz Thomas Chatterton Williams, który przypomniał tylko, że wraz z nim apel wsparło kilkadziesiąt osób o innym kolorze skóry niż biały. Szybko też powstał kontrlist, podpisany przez dużo więcej przedstawicieli amerykańskiej lewicy – choć mniej znanych – którzy oskarżyli autorów oryginalnego listu o odwracanie kota ogonem i sabotaż ruchu Black Lives Matter oraz środowiska LGBT. Drugi list stwierdzał, że ten pierwszy jest jedynie obroną „wolności intelektualnej cis [w żargonie LGBT oznacza to osoby nietransseksualne] białych intelektualistów, która nigdy nie była zagrożona”.

Jednak zdaniem Erica Metaxasa bardzo trudno będzie lewicy odwrócić proces, który sama zapoczątkowała. – To widać wszędzie. Hollywoodzkie elity, media, które nie tak dawno były neutralne, i oczywiście giganci internetowi tacy, jak Google, Amazon czy Facebook. To oni są głównymi winowajcami tego, że sprawę z cenzurą zaszły tak daleko. Tak długo, jak oni sami nie zrozumieją fatalnej roli, którą odegrali w doprowadzeniu do obecnej sytuacji, nie będziemy mieli na Zachodzie prawdziwej wolności – kwituje Metaxas.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

LIST PODPISALI: ELLIOT ACKERMAN, SALADIN AMBAR, MARTIN AMIS, ANNE APPLEBAUM, MARIE ARANA, MARGARET ATWOOD, JOHN BANVILLE, MIA BAY, LOUIS BEGLEY, ROGER BERKOWITZ, PAUL BERMAN, SHERI BERMAN, REGINALD DWAYNE BETTS, NEIL BLAIR, DAVID W. BLIGHT, JENNIFER FINNEY BOYLAN, DAVID BROMWICH, DAVID BROOKS, IAN BURUMA, LEA CARPENTER, NOAM CHOMSKY, NICHOLAS A. CHRISTAKIS, ROGER COHEN, FRANCES D. COOK, DRUCILLA CORNELL, KAMEL DAQUD, MEGHAN DAUM, GERALD EARLY, JEFFREY EUGENIDES, DEXTER FILKINS, FEDERICO FINCHELSTEIN, CAITLIN FLANAGAN, RICHARD T. FORD, KMELE FOSTER, DAVID FRUM, FRANCIS FUKUYAMA, ATUL GAWANDE, TODD GITLIN, KIM GHATTAS, MALCOLM GLADWELL, MICHELLE GOLDBERG, REBECCA GOLDSTEIN, ANTHONY GRAFTON, DAVID GREENBERG, LINDA GREENHOUSE, RINNE B. GROFF, SARAH HAIDER, JONATHAN HAIDT,

ROYA HAKAKIAN, SHADI HAMID, JEET HEER, KATIE HERZOG, SUSANNAH HESCHEL, ADAM HOCHSCHILD, ARLIE RUSSELL HOCHSCHILD, EVA HOFFMAN, COLEMAN HUGHES, HUSSEIN IBISH, MICHAEL IGNATIEFF, ZAID JILANI, BILL T. JONES, WENDY KAMINER, MATTHEW KARP, GARRY KASPAROV, DANIEL KEHLMANN, RANDALL KENNEDY, KHALED KHALIFA, PARAG KHANNA, LAURA KIPNIS, FRANCES KISSLING, ENRIQUE KRAUZE, ANTHONY KRONMAN, JOY LADIN, NICHOLAS LEMANN, MARK LILLA, SUSIE LINFIELD, DAMON LINKER, DAHLIA LITHWICK, STEVEN LUKES, JOHN R. MACARTHUR, SUSAN MADRAK, PHOEBE MALTZ BOVY, GREIL MARCUS, WYNTON MARSALIS, KATI MARTON, DEBRA MASHEK, DEIRDRE MCCLOSKEY, JOHN MCWHORTER, UDAY MEHTA, ANDREW MORAVCSIK, YASCHA MOUNK, SAMUEL MOYN, MEERA NANDA, CARY NELSON, OLIVIA NUZZI, MARK OPPENHEIMER, DAEL ORLANDERSMITH, GEORGE PACKER, NELL IRVIN PAINTER,

GREG PARDLO, ORLANDO PATTERSON, STEVEN PINKER, LETTY COTTIN POGREBIN, KATHA POLLITT, CLAIRE BOND POTTER, TAUFIQ RAHIM, ZIA HAIDER RAHMAN, JENNIFER RATNER-ROSENHAGEN, JONATHAN RAUCH, NEIL ROBERTS, MELVIN ROGERS, KAT ROSENFELD, LORETTA J. ROSS, J.K. ROWLING, SALMAN RUSHDIE, KARIM SADJADPOUR, DARYL MICHAEL SCOTT, DIANA SENECHAL, JENNIFER SENIOR, JUDITH SHULEVITZ, JESSE SINGAL, ANNE-MARIE SLAUGHTER, ANDREW SOLOMON, DEBORAH SOLOMON, ALLISON STANGER, PAUL STARR, WENDELL STEAVENSON, GLORIA STEINEM, NADINE STROSSEN, RONALD S. SULLIVAN JR., KIAN TAJBAKSHI, ZEPHYR TEACHOUT, CYNTHIA TUCKER, ADANER USMANI, CHLOE VALDARY, HELEN VENDLER, JUDY B. WALZER, MICHAEL WALZER, ERIC K. WASHINGTON, CAROLINE WEBER, RANDI WEINGARTEN, BARI WEISS, SEAN WILENTZ, GARRY WILLS, THOMAS CHATTERTON WILLIAMS, ROBERT F. WORTH, MOLLY WORTHEN, MATTHEW YGLESIAS, EMILY YOFFE, CATHY YOUNG, FAREED ZAKARIA



PREMIER Z PLAGIATEM

Słowacki premier Igor Matovič w 1998 r. został magistrem, gdy ukończył wydział zarządzania Uniwersytetu Komeńskiego w Bratysławie. Napisał wówczas pracę o systemie podatkowym i jego wpływie na przedsiębiorczość. A właściwie – jak ujawniły słowackie media – napisał tylko wstęp i zakończenie, a resztę skopiował od innych ludzi, nie podając źródeł cytatów. Matovič stwierdził, że jeśli rzeczywiście tak zrobił (bo nie pamięta), to „jest złodziejem w tej sprawie”. Rezygnować z urzędu nie zmierza.

FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

PROGRAM MILION PLUS

Amerikanin zawstydził PiS. Chodzi o celebrytę, piosenkarza i w ogóle bardzo bogatego Kanye Westa z USA. Uznał, że wystartuje w nadchodzących wyborach prezydenckich, i wystąpił na swoim pierwszym wiecu w Charlestonie. Opowiadał tam różne rzeczy, często ze sobą niezwiązane. I zaproponował program socjalny. Brzmi on: „Każdy, kto ma dziecko, mógłby dostać milion dolarów lub coś podobnego”. Na tym samym wiecu West stwierdził, że aborcja powinna być legalna.

LECZONY ZA KRYTYKĘ MONARCHII

45-letni Tiwakorn Vithiton z Tajlandii zamieścił na Facebooku swoje zdjęcie w koszulce, na której napis głosił: „Straciłem całą wiarę w instytucję monarchii”. W tym kraju za obrazę majestatu można trafić do więzienia nawet na 15 lat. Pan Vithiton został wysłany na leczenie psychiatryczne – jak alarmują działacze obrony praw człowieka, wysłano go tam przymusowo.

Widocznie władze Tajlandii i jej aparat bezpieczeństwa wychodzą z jedynie słusznego założenia, że krytykować monarchię może tylko ktoś niespełna rozumu.

ZAKAZANY SŁONECZNIK

Burmistrz hiszpańskiej gminy Deleitosa ostrzegł mieszkańców przed niektórymi zachowaniami, które mogą być groźne w kontekście koronawirusa. Wezwał ich, by m.in. w miejscach publicznych nie łuskali nasion słonecznika.

WHISKY Z PAPIERU

Pewna znana marka alkoholu uznała, że upokorzenie związane z tym, że ludzie muszą już dziś pić niealkoholowe napoje przez słomki zrobione z papieru, które rozpluwają się w ustach w niesmaczną papkę, jest niewystarczające. Ogłosiła więc kolejne proekologiczne rozwiązanie. Jest już podobno gotowa do „przełomowego” wdrożenia opakowań papierowych w miejsce szklanych butelek. Nie podajemy nazwy tej marki z dwóch powodów: żeby nie być posądzonym o reklamę oraz za to właśnie, co zamierza nam ta firma zrobić. ©©

Lukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Bratnia pomoc nad jeziorem ropy



JACEK PRZYBYLSKI

Syrta w Libii. Strategiczne miasto, w którym w 2011 r. zginął były przywódca tego kraju Muammar al-Kaddafi. Okrutny dyktator został zabity dzięki „bratniej pomocy” Zachodu, mimo że ostrzegał Obamę i Sarkozy’ego przed powodzią imigrantów. W teorii cel był szczytny: uwolnienie Libijczyków od tyrana miało pozwolić wykiełkować demokracji. Aż łza się w oku kręci.

„Niespodziewanie” duże zasoby czarnego złota sprawiły, że kraj pogrążył się w krwawych walkach, na czym skorzystały Państwo Islamskie i mafie przetrzucające migrantów. Sam Barack

Obama zlekceważenie następstw zbrojnej interwencji uznał za największy błąd swojej kadencji. Od kilku lat na terenie Libii trwa zaś wojna domowa, będąca de facto regionalną wojną zastępczą.

W połowie lipca wspierane władze w Tobruku dały Egiptowi zielone światło na „bratnią pomoc” w Libii. Kair szybko zdecydował o wsparciu „siostrowej Libii”. Zrobiło się więc groźnie. Po drugiej stronie stoją bowiem rebelianci Libijskiej Armii Narodowej (GNA) oraz najemnicy przerzuceni do Libii przez Turcję. W optymistycznym dla mieszkańców scenariuszu Libia

nadal będzie podzielona na dwa konkurujące ze sobą ośrodki władzy. W pesymistycznym zamiast „tajemniczych ataków” (tureckiego) lotnictwa na bazy wojsk „rządowych” region czeka otwarty konflikt zbrojny między dwoma sojusznikami USA (Egiptem i Turcją). Jakby tego było mało, Libią interesują się też Rosjanie i inne kraje arabskie. Sytuacja w tym kraju wywołuje także konflikty między Turcją a Francją, Włochami i Grecją. Wszyscy chcą pomóc Libijczykom w eksploatacji ropy.

Nam zostaje dziękować Bogu, że czarnego złota mamy mało, bo nie opędzilibyśmy się od przyjaciół. ©©



Monaster świętego Stalina

W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! Amen! Czemuż prezydent Rosji Władimir Władimirowicz Putin stoi w jarmulce pod

Ścianą Płaczu w Jerozolimie? Nad czym szlocha? Nad rajem utraconym? Czy pragnie zagnać prawosławny naród rosyjski do budowy trzeciej świątyni Salomona, gdzie zapanuje Antychryst? Któż tam stoi, drodzy ojcowie, bracia i siostry?! Czy to Putin spogląda ku nam przez okno Overtona, czy może jego sobowtór?!

W o. Sergiju niezwykle jest wszystko, poczynawszy od imienia i nazwiska.

Na świat przyszedł w obwodzie gorkowskim w 1955 r. jako Nikołaj Romanow, imiennik ostatniego cara Imperium Rosyjskiego. Odsłużył armię, ukończył szkołę milicyjną w Omsku i w 1975 r. wstąpił w szeregi stróżów prawa w podmoskiewskim mieście Puszkino. Mundur nosił krótko. W nieustalonym roku, zapewne przed 1984, potrafił samochodem pieszego. Gdy ten zmarł, sierżant



Gabriel Michalik

Spodobało się Bogu posłać sługę swojego Sergija, by wznosił przepyszną świątynię tam, gdzie krew carskiej rodziny wsiąkła w uralską ziemię, by wprost z ołtarza rzucał gromy kazań w stugębne monstrum spisku masonsko-żydowskiego i by czcił solennie imię ostatniego z wielkich wodzów prawosławia, Józefa Stalina. Spodobało się to i miejscowemu biskupowi. Lecz do czasu

Romanow musiał sobie poszukać nowego zajęcia. Zaczepił się jako sprzedawca w sklepie spożywczym w Moskwie i sklep ten złupił. W toku śledztwa w sprawie kradzieży zeznał, że sklep to głupstwo, oto bowiem wraz z dwoma kompanami zamordował człowieka, przypadkowego obywatela bawiącego w Moskwie w delegacji. Denata, opowiadała, spotkali na dworcu kolejowym, skusiła ich czarna teczka dyplomata, zaproponowali podwózkę samochodem.

Zatrzymali auto nad rzeką i łomem zatłukli pasażera na śmierć. Ciało przywalili płytami betonowymi, walającymi się na brzegu. Śledztwo potwierdziło okoliczności podane przez przyszłego mnicha. Wyrok, 13 lat więzienia, zapadł w roku 1985.

Jako były milicjant Nikołaj Romanow trafił na Ural do łagru dla mundurowych i pracowników aparatu władzy. Nazywało się oficjalnie Kolonia Poprawcza numer 13, nieoficjalnie – Czerwona Kacz-

Gdy o. Sergij stwierdził, że pandemię koronawirusa wyreżyserował Rząd Światowy, metropolita jekaterynburski Cyryl go upomniał. FOT. AP/EAST NEWS



wi zagwarantować późniejszą karierę. W Czerwonej Kaczce siedzieli bowiem wówczas ci, którzy nadadzą kształt gangstersko-kapitalistycznej Rosji. To z ich pieniędzy ojciec Sergij wybuduje sanktuarium, pustelnię i domy dla ubogich.

W połowie lat 90. Kaczka postanowiła raz na zawsze pozbyć się koloru komunizmu i oblec w cerkiewny porfir. Wówczas w łagrze stanęła cerkiew pod wezwaniem Świętego Mikołaja Cudotwórcy, zbudowana siłami więźniów ochotników. Apologeta o. Sergija twierdzi, że cerkiew powstała z jego inicjatywy; krytycy – że ledwie pokręcił się po budowie. Sergij powiada, że gdy w 1997 r. do Czerwonej Kaczki zjechał patriarcha Aleksy II, by konsekrować świątynię, pobłogosławił więźnia Romanowa i zachęcił go do wstąpienia do stanu duchownego; krytycy na to, że hierarcha nawet słowa nie zamienił z osadzonym.

Gdy kara Mikołaja Romanowa dobiegła końca, przyszli mnich pozostał na Uralu. Całe dnie spędzał w cerkwiach. Tam miał na niego zwrócić uwagę ówczesny biskup jekaterynburski Wincenty.

Wkrótce Mikołaj Romanow zostaje studentem Moskiewskiego Seminarium Duchownego i budowniczym Sanktuarium Świętych Carskich Męczenników na uroczysku Ganina Jama koło Sriednieuralska, w pobliżu miejsca, gdzie w 1918 r. bolszewicy wrzucili do nieczynnego szybu kopalni zwłoki zamordowanych członków rodziny Romanowów. W 2001 r. przyjmuje z rąk biskupa Wincentego święcenia mnisze i imię zakonne Sergij, duchowym współkonsekratorem (in pectore i per procura, bo z Moskwy) miał być sam Aleksiej II. Tu znowu są dwie sprzeczne wersje zdarzeń: według krytyków Sergij ukrył przed biskupem Wincentem, że karany był za zbrodnie zabójstwa, a Aleksiej II aż do śmierci nie wiedział w ogóle o istnieniu uralskiego zakonika. Według Sergija przeciwnie – właśnie jego nawrócenie, mimo tak ciężkiego grzechu, było zarówno dla ówczesnego biskupa jekaterynburskiego, jak i dla patriarchy dowodem działania łaski Bożej.

Dziś obecny biskup jekaterynburski Cyryl przekonuje, że święcenia mnisze Sergija nieważne były od samego początku, bo kanony nie pozwalają wyświęcać morderców. Trudno jednak, nawet zwążywszy wielki głód kapłanów w post-sowieckiej Rosji, uwierzyć, że w latach 90. przyjmowano kandydatów do stanu

duchownego zupełnie bez sprawdzenia ich przeszłości. Trudno pozbyć się myśli, że nie bez znaczenia były wielkie pieniądze, które Sergij mógł zdobyć na sakralne inwestycje za sprawą swoich więziennych kontaktów.

Na początku XXI w. Ganiną Jamę raz po raz odwiedzają hierarchowie. Sanktuarium rośnie w niebywałym tempie – staje tu siedem cerkwi, zgodnie z liczbą zamordowanych na Uralu członków rodu Romanowów. Rokrocznie pod Jekaterynburg peregrynują setki tysięcy prawosławnych z całego świata. Wierni kochają o. Sergija.

Wkrótce biskup powierza mu budowę kolejnego sanktuarium, kilkanaście kilometrów od Ganinej Jamy, po drugiej stronie Sriednieuralska. Patronką będzie Matka Boża Wspomagająca Chlebem. Tam przenoszą się za Sergijem wierni – na stałe zamieszka w kompleksie przeszło 500 osób. I tu przybywają setki tysięcy pielgrzymów. Mnich organizuje liturgie ekspiacyjne za zabójstwo cara, wypędza biesy, uzdrowia, krzewi kult caroboznictwa – koncepcji, według której Mikołaj II był figurą Chrystusa, odkupicielem grzechów Rosji. W kazaniach Sergija zbawcza misja cara raz po raz łączy się z ziemską misją Stalina, „wielkiego wodza, który obronił Rosję przed spiskiem masońsko-żydowskim”. Z teologiczno-historiozoficznej układanki należy usunąć tylko jeden element – Lenina, a z moskiewskiego placu Czerwonego mauzoleum wodza rewolucji, „tę świątynię Szatana”. Sergij gra swoimi świeckim imieniem i nazwiskiem. Pytają, czy jest carskim krewnym. „Z ciała czy z ducha...?” Nie zaprzecza.

W lesie za Sriednieuralskiem powstaje żeński monastyr, kolejne cerkwie (budowę największej na świecie przerwał ojcu Sergijowi wydarzenia z wiosny 2020 r.), a wokół – szkoły, bursa dla sierot, hospicjum, domy dla pielgrzymów, przytulisko dla bezdomnych, ośrodki readaptacji dla byłych więźniów, odwykówka dla narkomanów.

W 2014 r. do Sergija przybywa gwiazda sezonu, Natalia Pokłonska, prokurator z Krymu, osławiona w czasie aneksji półwyspu, znana z działalności i urody, bohaterka m.in. japońskich komiksów. Mnich wręcza kobiecie skrzynkę ziemi z okolic klasztoru, Pokłonska zmiesza ją z ziemią na trawniku pod prokuraturą w Sym-

ka. „Kaczka”, bo tak potocznie określa się donosy, a tu trafiało się zazwyczaj wskutek donosów; „czerwona”, bo władzę w tym łagrze pełniła wyłącznie administracja, nie dzieląc się nią z kryminalną arystokracją. Ta zresztą była w łagrze w mniejszości, w odróżnieniu od byłych milicjantów, skorumpowanych urzędników i oficerów, którzy zanadto dorobili się na wojnie afgańskiej.

W tym punkcie opis dziejów życia przyszłego kapłana rozchodzi się na dwie ścieżki. Sam Sergij będzie mówił, że w czasie długich nocy w celi usłyszał głos Boga; że przemyślał swoje życie i wiedział już, że musi je przemienić, a nadto że poczuł brzemień imienia i nazwiska cara-męczennika. Przeciwnicy Sergija widzą (rzekome) nawrócenie tak: przebiegły i cyniczny Romanow epatował współwięźniów religijnością, by zapanować nad ich sercami; wykorzystał dobrze kojarzące się w dobie pierestrojki nazwisko i robił wszystkim wokół wodę z mózgu, jak Dymitr Samozwaniec w swoim czasie, co miało Romanowo-

feropolu i postawi tam kaplicę ku czci Mikołaja II. Gdy umieszczone w kaplicy popiersie monarchy zacznie wydzie-
lać cudowne oleje, fundatorkę kaplicy
jedni uznają za wariatkę, inni za świętą,
a o. Sergij w kręgu moskiewskich szy-
derców z wszystkiego, co święte i patrio-
tyczne, uzyska przydomek „kierownika
duchowego deputowanej Pokłonskiej”.

– Cemu Putin na spotkania ze świato-
wymi politykami odziewa szaty z masoń-
ską symboliką? Czyż ruskiej odzieży u nas
brakuje? [...] A papież? Cemu papież, choć
uważa się za większego niż Chrystus, całuje
ręce Rotszyldom, Baruchom i Rockefelle-
rom... [...] Walka duchowa toczy się w sercu
każdego człowieka. Ale zwycięży Chrystus!

* * *

Żyłby sobie o. Sergij w opinii
świętego do późnej starości lub
przynajmniej do końca świata, którego
oczekują mieszkańcy zbudowanych
przez niego eremów w tajdze (to
szczególnie tajemnicza inwestycja
zakonnika), czcił na ołtarzu Stalina
i cara, wypędzał biesy, gromił Putina za
udział w żydowskim spisku (co władze
traktowały z przymrużeniem oka jako
„konstruktywną krytykę” w opozycji do
„wrogiego krytykanctwa” ludzi pokroju
Aleksieja Nawalnego) i zbierał miliardy
rubli na coraz to nowe dzieła, gdyby
nie epidemia koronawirusa i to, że na
przełomie marca i kwietnia, po dłuższej
zwłoce, patriarcha Cyryl postanowił
na czas zarazy zamknąć cerkwie przed
wiernymi. Wówczas to o. Sergij do spisku
masońskiego dopisał patriarchę i swojego
biskupa oraz obu im wypowiedział
posłuszeństwo. I zaczęły się schody.

– Epidemii koronawirusa wyreżyse-
rował Rząd Światowy. Wiecie, dlaczego
Szwecja i Austria nie wprowadziły izolacji?
W tych krajach znajduje się kapitał
żydowsko-masoński. Szczepionka, mó-
wią...! Nie wiercie! W pierwszej chwili po
zaszczepieniu nastąpi poprawa. Ale potem
przyjdą męki i śmierć... Nie tylko fizyczna,
ale także śmierć duchowa. Już teraz pod
pozorem testów na COVID-19 trwa zaraża-
nie dowódców naszej armii, floty, Gwardii
Narodowej, Federalnej Służby Bezpieczeń-
stwa i prokuratury. Lecz dla dowódców
będzie czysta szczepionka cipowa, bez
zabójczej substancji. Za to podwładnym
nakażą się szczepić śmiercią! Unicestwią
naród! Wszak Bill Gates publicznie już
mówił, że trzeba zmniejszyć liczbę ludności
Ziemi o 90 procent!

Niemrawo, bo niemrawo, ale z rosna-
cym zniecierpliwieniem, poczynawszy od
kwietnia, metropolita jekaterynburski
Cyryl już upominał o. Sergija. W braku
rekacji wydał mu zakaz wypowiedzi
publicznych (zignorowany), nakazał
czasowe opuszczenie klasztoru i we-
zwał przed sąd biskupi. Ojciec Sergij sąd
zwymyślał, biskupa nazwał heretykiem,
zapowiedział, że „z domu Matki Bożej
nigdzie się nie ruszy”, po czym obrócił się
na pięcie i wrócił do Sriednieurska.

Kolejne wezwania przed sąd biskupi
ignorował. W końcu na przełomie czerw-
ca i lipca sąd in absentia wydał go ze
stanu duchownego. Wyrok jest niepra-
womocny do czasu zatwierdzenia przez
patriarchę Wszechrusi. Ewentualne
przesłuchanie Sergija przez Cyryla (mo-
skiewskiego) wyznawcy tego pierwszego
widzą na podobieństwo ostatecznej
walki dobra ze złem.

Do monasteru przybyły setki zwo-
lenników mnicha, Kozacy, gangsterzy
z Krymu, czyli dawne towarzystwo
Natalii Pokłonskiej, wychowankowie Ser-
gija – tłumy ludzi gotowych oddać życie
za ukochanego duszpasterza. Autokary
dzień w dzień przywożą pielgrzymki
wiernych. W serwisie YouTube kolejni
duchowni solidaryzują się z uralskim
mnichem. Poglądy o. Sergija, zarówno te
odnoszące się do cara, Stalina, jak i do
koronawirusa i spisku żydowskiego,
kłopotliwe dla części hierarchów, nie są
jednak dla współczesnej Cerkwi rosyj-
skiej czymś egzotycznym.

Biskup jekaterynburski niby to za-
powiedział rozwiązanie siłowe, mnicha
miała wypędzić z klasztoru policja. Niby
toczy się równoległe do postępowania
kanonicznego także śledztwo świeckie
w sprawie „nawoływania do ekstre-
mizmu”, ale specnaz nie śpieszy się z wizytą
w Sriednieursku. Trwa pat. Na razie
jedynym zwycięzcą konfliktu jest wła-
ściciel przydrożnego baru Trzy Świnki,
oddalonego od klasztoru kompleksu
o kilkaset metrów, w wonnym dymie
„szaszłyków uralskich wprost z węgla
drzewnego” dziennikarze urządzili sobie
sztab.

Piszą: sekta, fałszywy prorok, prze-
moc, pranie mózgu, schizma i herezja.
Alicsi spośród wielu tysięcy ludzi, którzy
w różnych okresach życia mieli – często
wieloletnie – przytulisko w kompleksach
sakralnych o. Sergija, znalazło się ledwie
kilku gotowych opowiedzieć o atakach
furii duchownego, o nieludzkim reżimie

i o tym, że mnich pożerał z deputowaną
Pokłonską sushi, czarną ikrę, a nawet
ser pleśniowy w specjalnej „carskiej
stołówce”, a owieczki swoje pasł ziemnia-
kami bez okraszy i że choć trumnę w celi
trzyma, to sypia na tapczanie, a z trumny
sobie zrobił biblioteczkę. Tyczące się
mnicha reportaże ilustruje się wciąż
tym samym zdjęciem o. Sergija na tle
portretów Stalina i Rasputina, w naiw-
nej nadziei, że ci dwaj może się komuś
nieprzyjemnie skojarzą.

Przeciw głosom „ofiar sekty” nagrano
w Sriednieursku wypowiedzi tłumy.
Rozmodlone, dobre twarze, skrom-
nych, łagodnych ludzi, którzy proszą, by
pozwolono ich duszpasterzowi zostać
z nimi.

– Jak bez niego poradzą sobie chorzy
na raka? Co z sierotami, dla których
ojczulek Sergij jest i tatą, i mamą? Kto
potrafi utrzymać w ryzach trzeźwieją-
cych narkomanów, kto da im wiarę, siłę
i nadzieję?! A co w końcu będzie z nami,
zwykłymi prawosławnymi, co będzie
z naszymi rodzinami? Przecież wszyscy,
jak tu stoimy, chrzest przyjęliśmy z rąk
tego kapłana!

* * *

Za dużo, za dużo tu wszystkiego!
Potęga, która zza firmamentu snuje losy
rosyjskich celebrytów, zechciała w zakre-
sie przesytu dorównać autorom post-
modernistycznych powieści: w jedną nić
związała Mikołaja II, Rasputina, Putina,
Stalina, Świętych Starców Optyńskich,
deputowaną Pokłonską, gangsterów
z Krymu, hospicjum, sierociniec,
COVID-19, Billa Gatesa, liczbę Bestii,
eugenikę, dobro, zło, kłamstwo, Dro-
gę i Życie. Czy z historii o. Sergija
może płynąć jakiś lepszy morał niż ten,
że w epoce postprawdy i postpolityki
lepiej w nic nie wierzyć?

* * *

W zacisznym podwórzu pomiędzy
dwoma moskiewskimi blokami, kilka
minut spacerem od ambasady RP, stoi
kamienna donica z żałośnie przetrze-
bionymi pomarańczowymi bratkami. Do
murku obok donicy przyklejono skoczem
kartkę: „Kto stąd kwiaty wykopuje, ten
degenerat i faszysta”.

Co było do udowodnienia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Cytaty oznaczone kursywą zaczerpnąłem
z nagrań kazań o. Sergija publikowanych
w serwisie YouTube oraz z prasy rosyjskiej.

Trend, który koniecznie trzeba odwrócić

Kilka dni temu w hiszpańskich mediach pojawiła się informacja, że tamtejsza firma Ferrovial, za pośrednictwem spółki Budimex, wygrała przetarg na przebudowę Dworca Warszawa Zachodnia o wartości 1,94 mld zł, czyli ok. 433 mln euro. Z ruchem ponad 1,3 tys. pociągów dziennie jest to druga najważniejsza stacja w naszym kraju. Projekt obejmuje



Krzysztof Budka, ekspert Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

rozbiórkę obecnej stacji i budowę nowego budynku z dużym holem wejściowym na północy, dwięcioma platformami naziemnymi i podziemnym korytarzem umożliwiającym dostęp do torów i jednocześnie służącym jako galeria handlowa. Prace dotyczyć będą także budowy paneli fotowoltaicznych w konstrukcji metalowej dachu, będącego jednocześnie chodnikiem dla pieszych. Projekt obejmie też przebudowę 30 km torów i budowę różnych odgałęzień połączeń, a także instalację systemów kontroli ruchu i układanie sieci trakcyjnych. Inwestycja ma zostać ukończona w 2023 r.

Półzartem możemy więc stwierdzić, że najwyraźniej jesteśmy bardzo hojnym pań-

stwem, skoro non stop fundujemy kontrakty i „dajemy” zarabiać zagranicznym firmom. A zupełnie serio dodać, że szkoda, iż po raz kolejny pieniądze z tak ogromnej inwestycji nie trafiają w większości do polskich firm, tylko w dużej mierze zasilają obcą gospodarkę. Cóż, nie pierwszy to raz, więc teoretycznie powinniśmy być przyzwyczajeni. Ale nie jesteśmy.

Tak naprawdę to nie o Dworzec Warszawa Zachodnia tu chodzi, ale o patologię, którą od lat jest system zamówień publicznych. Rynek wart dziś rocznie ponad 200 mld zł przez lata był swoistym klubem dla wybranych, wśród których próżno było szukać nie tylko dużych, lecz także jakichkolwiek graczy z Polski. Ustawa Prawo zamówień publicznych z 2004 r. była nowelizowana ponad 60 razy, więc dziś wygląda jak szwajcarski ser. W dodatku ma wiele rozwiązań, które wewnętrznie się wykluczają.

Na szczęście ten prawny stan rzeczy dobiega końca. Rzutem na taśmę w poprzedniej kadencji parlamentu udało się przegłosować całkowicie nową ustawę dotyczącą zamówień publicznych, która wejdzie w życie 1 stycznia 2021 r. Ma ona sprawić, że ta kolosalna kwota, o której wspominałem (ponad 200 mld zł rocznie), będzie wydatkowana efektywniej, przyczyni się do znacznej poprawy jakości usług publicznych dostarczanych przez państwo i przede wszystkim da poważny impuls prorozwojowy firmom, również tym średnim i małym, w których dominuje polski kapitał.

Takie są przynajmniej zapewnienia tych, którzy nad nowym Prawem zamówień publicznych pracowali, czyli m.in. wicepremier Jadwigi Emilewicz i prezesa Urzędu Zamówień Publicznych Huberta Nowaka. – Jednym ze strategicznych celów tej ustawy było powiązanie systemu zaku-

powego z celami politycznymi i gospodarczymi państwa. Jeżeli w strategii długookresowej państwa mówimy, że stawiamy np. na innowacje, to ustawa ma umożliwić pokazanie zamawiającym, że warto wydatkować środki na takie właśnie cele lub w zgodzie z takimi celami. Schodząc nieco niżej, mogę dodać, że interesariusze dostaną prostsze procedury i odrestaurowany konkurs, wszystko po to, by zwiększyć innowacyjność i konkurencyjność – mówił nam jakiś czas temu prezes Nowak.

Oczywiście uchwalenie przepisów to jedno, drugie to ich umiejętne stosowanie, aby nie okazało się za jakiś czas, że wiele rozwiązań prawnych, które miały być pożyteczne, nijak ma się do rzeczywistości. Na podsumowania przyjdzie jednak pora. Teraz, szczególnie w dobie wyjścia z gospodarczej zapaści związanej z koronawirusem, nowe Prawo zamówień publicznych powinno być jednym z najistotniejszych elementów wsparcia polskich firm. Czy tak się stanie, czy nowa ustawa rzeczywiście przyniesie polskiej gospodarce korzyści, przekonamy się za jakiś czas.

Na razie Hiszpanie cieszą się z inwestycji w Polsce wartęj prawie 2 mld zł (i trudno im się dziwić), a nam zostaje liczyć na to, że ustawa, która wejdzie w życie z nowym rokiem, rzeczywiście odwróci trend „obdarowywania” zagranicznych podmiotów tak wysokimi kontraktami i „pozwoli” w dużo większym stopniu na tego typu kontraktach zarabiać Polakom i polskim firmom.

**Autor jest ekspertem
Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl**

**Rada Gospodarcza
STREFA WOLNEGO SŁOWA**



Jakub Wozinski

Na całym świecie rządy czasowo redukują stawki podatku VAT i upraszczają przepisy z nim związane. Wprowadzone właśnie w Polsce nowe zasady opodatkowania są jednak na tle rozwiązań przyjętych w innych krajach dość zachowawcze

Zmiany w VAT na ratunek

Zmiany w VAT wynikają głównie z tego, że okres uchwalania kolejnych tarcz antykrzysowych właśnie dobiega końca. Stymulowanie gospodarki za pomocą kolejnych programów pomocowych nie może przecież trwać wiecznie, gdyż tylko w Polsce w zaledwie kilkanaście tygodni przeznaczono na ten cel łącznie ponad 300 mld zł. Jeśli gospodarka ma powrócić na ścieżkę wzrostu, to trzeba jej pilnie pomóc, redukując obciążenia fiskalne dla przedsiębiorców lub też zakres biurokracji.

ŁODOWIEC VAT WRESZCIE TOPNIEJE

Przez wiele lat stawki podatku VAT w Europie wydawały się zamrożone wręcz na wieczność. Na wiele nie pozwalając resztą przepisy unijne, zgodnie z którymi podstawowa stawka VAT już od lat nie może być niższa niż 15 proc. Teraz jednak wszystko zmienia się w dość błyskawicznym tempie, gdyż kolejne kraje ogłaszają, że w ramach pomocy dla szczególnie dotkniętych kryzysem branż wprowadzają długo niewidziane niższe stawki na wiele artykułów. Jako jedno z pierwszych państw uczyniły tak Niemcy, które do końca 2020 r. obniżają VAT dla branży gastronomicznej do 5 proc. Jednocześnie nad Renem podstawowa stawka ma być według przyjętych planów obniżona z 19 do 16 proc. Zgodę na te nadzwyczajne kroki wyraziły już nawet organy unijne.

Podobne kroki podejmuje Austria, w której parlament przyjął zmiany obniżające stawki VAT do 5 proc. na m.in. książki, gazety, bilety teatralne i kinowe, usługi noclegowe oraz napoje i potrawy w branży gastronomicznej. Na niższy podatek na wiele usług już w kwietniu zdecydowała się Norwegia. Żyjące z turystyki Grecja i Cypr obniżają zaś VAT dla branży gastronomicznej odpowiednio do 11 i 5 proc. Tego rodzaju zmiany dotyczą resztą całego świata. Przykładowo w Malezji branża hotelarska będzie mogła korzystać z zerowej stawki aż do końca roku.

W Polsce władze są na razie zdecydowanie bardziej zachowawcze. Obowiązująca od 1 lipca tzw. nowa matryca podatku VAT nie przewiduje co do zasady redukcji stawek VAT. Konsultowana od dłuższego czasu zmiana sposobu naliczania podatku od towarów i usług ogranicza się przede wszystkim

FOT. ADOBE STOCK

do korekty wybranych dotychczasowych przepisów, które odpowiadały za wiele niejasności. Zdaniem Jakuba Bińkowskiego ze Związku Przedsiębiorców i Pracodawców nowa matryca VAT to krok w dobrym kierunku: „Podstawowa zaleta to obejmowanie jedną określoną stawką całej kategorii towarów. W poprzedniej matrycy mieliśmy do czynienia z sytuacją, w której np. do każdej przyprawy były przyporządkowane indywidualne stawki. W tej chwili mamy większą segmentację i jest to rozwiązanie dużo prostsze. Z pewnością jest też wiele obszarów, w której ta matryca będzie wymagała dalszej pracy”.

Warto odnotować, że od teraz katalog produktów objętych obniżoną stawką podatku VAT ulega zmniejszeniu z 250 do 100 pozycji, co powinno znacznie ułatwić jego naliczanie. Ministerstwo Finansów postarało się także o usunięcie wielu funkcjonujących do tej pory wyjątków od ogólnych reguł. Dzięki temu wszystkim zainteresowanym ma być oszczędzony czas na zastanawianie się, którą dokładnie stawkę mają zastosować przy sprzedaży towarów lub usług.

Od samego początku pojawiają się jednak także liczne kontrowersje. Jedną z nich dotyczy tego, w jaki sposób naliczać VAT na wypieki. Zgodnie z nowymi przepisami na ciastko zabrane na wynos obowiązuje stawka 5 proc., lecz gdy zdecydujemy się spożyć je w lokalu VAT ma wynosić już 8 proc. Pomijając to, że tego rodzaju zapis prawny wprowadzi nie małe zamieszanie i zachęci do omijania przepisów, wiele do życzenia pozostawia już sam mechanizm zniechęcający do korzystania z konsumpcji w lokalach. Ucierpieć w ten sposób może część branży, która w ostatnich miesiącach znalazła się w wyjątkowo trudnej sytuacji.

NA RATUNEK RESTAURATOROM

Mając na uwadze to, że gastronomia przeżywa wciąż trudne chwile, Związek Przedsiębiorców i Pracodawców prowadzi od niedawna akcję na rzecz wprowadzenia jednolitej stawki 8 proc. VAT dla całej branży. Jakub Bińkowski zauważa, że: „Obecnie jesteśmy w momencie, w którym restauracje mogą już funkcjonować, ale wciąż mamy do czynienia z obniżonym popytem. Docierają do nas sygnały o znacznie obniżonych obrotach. To, o co apelujemy, to tak naprawdę ujednolicenie zasad opodatkowania VAT na

usługi gastronomiczne, a nie jakaś szczególna dodatkowa ulga. W tym momencie co do zasady usługi gastronomiczne są opodatkowane stawką 8 proc., lecz są od tej zasady wyjątki. Chcemy, by te wyjątki zostały uchylone”.

Nowa matryca VAT, niestety, nie doprowadziła do najbardziej korzystnego dla restauratorów maksymalnego ujednolicenia stawek. Wręcz przeciwnie, w wypadku niektórych artykułów stawka VAT wręcz wzrosła. Potrawy przygotowane z owoców morza (m.in. ośmiornic, homarów, ostryg, kawioru) staną się nawet droższe, gdyż obejmować je będzie wyższa stawka 23 proc. Twórcom nowych przepisów przyświecała zapewne idea, aby ciężar zmian udźwignęli konieserzy wykwinnych dań, lecz w praktyce szkody poniesie cała branża.

Ujednolicenie zasad naliczania podatku VAT byłoby niezwykle pożądane nie tylko w kontekście trwającego właśnie kryzysu, lecz także jako trwały mechanizm ułatwiający życie polskim przedsiębiorcom. „W innych krajach oferuje się pomoc o charakterze czasowym. To, co my proponujemy, to zmiana systemowa, która spełni dwie funkcje, tzn. zapewni pomoc w krótkim okresie (czyli w tej chwili) oraz w dłuższej perspektywie, gdyż doprowadzi do ujednolicenia opodatkowania i uproszczenia rozliczeń” – dodaje Jakub Bińkowski.

NIEWIELE NA TLE INNYCH

Czy jednak wprowadzone w matrycy VAT zmiany są wystarczające wobec wyzwań, przed którymi w kontekście koronawirusa stoi polska gospodarka? Ministerstwo Finansów przekonuje, że dzięki nim w kieszeniach Polaków zostanie dodatkowo 1 mld zł, czyli suma stosunkowo niewielka i niemająca większego wpływu na całą gospodarkę. W Niemczech zmiany w naliczaniu podatku od dóbr i usług mają kosztować 20 mld euro, co oznacza, że w kieszeni statystycznego Niemca zostanie w ten sposób nawet kilkadziesiąt razy więcej pieniędzy. Zasadne jest więc stwierdzenie, że zmiany w podatku VAT stanowią co najwyżej kosmetykę.

Daleko posunięta ostrożność rządu może być częściowo tłumaczona tym, że wedle większości prognoz polska gospodarka nie ucierpi w ramach trwającego kryzysu w tak dużym stopniu jak gospodarki krajów, które już dziś

zdecydowały się na bardzo stanowcze ruchy. Jedno z najbardziej poszkodowanych państw, Wielka Brytania, obniża swoją podstawową stawkę do 15 proc., gdyż spodziewa się w 2020 r. spadku PKB o nawet 10 proc. Rząd traci jednak szansę na wprowadzenie zmian, które mogłyby poprawić jego notowania. Obecna sytuację można by wykorzystać chociażby do tego, aby obniżyć wprowadzone w 2011 r. przez rząd Donalda Tuska „tymczasowe” stawki VAT na poziomie 23 proc. i 8 proc. Ich ciągłe obowiązywanie stanowi bowiem symbol nie tylko niesłowności poprzedniej ekipy rządzącej, lecz także braku woli do obniżki podatków obecnej władzy.

Wprowadzone od 1 lipca zmiany w podatku VAT były wcześniej zapowiedziane od wielu miesięcy jako rewolucyjne, lecz tak jak w większości przypadków zmian w systemie podatkowym dokonywanych przez „dobrą zmianę” sprowadzają się one do wielu korekt, które sumarycznie nie przynoszą odczuwalnej zmiany. Nowa matryca VAT z pewnością nie zostanie zapamiętana jako przełom.

Stosunkowo duże nadzieje można za to wiązać z zaproponowanym rozwiązaniem o nazwie „wiążąca informacja stawkowa” (WIS). Do tej pory przedstawiciele administracji państwowej bardzo często przedstawiali całkowicie sprzeczne interpretacje dotyczące stawki podatku na wybrane towary, co sprawiało, że sprzedawcy byli w wyjątkowo niekomfortowej sytuacji. Wydawana oficjalnie informacja na temat stawki dla konkretnego towaru ma temu problemowi zaradzić, choć na pochwały przyjdzie jeszcze czas, gdy całe rozwiązanie zostanie przetestowane w praktyce.

Zmiany w podatku VAT przynoszą ze sobą długo niewidziane uproszczenia i redukcję wybranych stawek, dlatego należy oceniać je jednoznacznie pozytywnie. Rząd może być jednak wkrótce zmuszony do tego, żeby zdecydować się na dużo bardziej stanowcze kroki. Branża gastronomiczna, apelująca o pomoc, to zaledwie jeden z sektorów gospodarki, które mocno ucierpiały w ostatnich miesiącach. Zupełnie niecodzienna przychylność Komisji Europejskiej dla czasowej redukcji stawki podatku od towarów i usług z pewnością nie potrwa zbyt długo, dlatego warto wykorzystać nadarzącą się okazję.



ElectroMobility Poland przed premierą opublikowała zdjęcie zakrytych dwóch nadwozi prototypowego samochodu elektrycznego FOT. MATERIAŁY PRASOWE (2)

Elektryczna premiera



Łukasz Zboralski

Po latach snucia planów zostanie zaprezentowany prototyp „polskiego elektrycznego samochodu”. Wciąż aktualne pozostaje pytanie: Co dalej?

W 2016 r. premier Mateusz Morawiecki zszokował kraj ambitną zapowiedzią, że w ciągu dekady na polskich drogach pojawi się milion samochodów elektrycznych. Eksperti motoryzacyjni od razu wskazywali, że oznaczałoby to roczne przeskakiwanie przyrostów samochodów elektrycznych na drogach takich liderów elektromobilności jak

Norwegia – i to licząc wszystkie samochody elektryczne pojawiające się na drogach. A polski rząd publikując Plan Rozwoju Elektromobilności, sugerował dodatkowo, że milion aut elektrycznych będzie miało związek z produkcją „polskiego samochodu” i wypuszczeniem go na rynek. Takie zadanie postaviono przed spółką ElectroMobility Poland. – Chcemy być częścią światowego przemysłu pojazdów elektrycznych i stymulować powstanie nowego rynku w Polsce. Chcemy wyprzedzać światowe trendy – mówił ówczesny minister energii Krzysztof Tchórzewski.

Spółka utworzona przez koncerny energetyczne (PGE, Tauron, Enea i Energa wyłożyły po 17,5 mln zł i objęły po 25 proc. udziałów w firmie) miała już w ubiegłym roku przedstawić prototyp „polskiego samochodu elektrycznego”, a w tym roku móc ruszać z produkcją. Jednak jedynym, co się wydarzyło, było... ogłoszenie kon-

kursu na zaprojektowanie bryły samochodu. Na konkurs, który rozstrzygnięto w 2017 r. wpływały także prace amatorskie, co powodowało coraz większe wątpliwości w powodzenie rządowego planu.

SUV I HATCHBACK Z GOTOWYCH CZĘŚCI

Okazało się jednak, że – mimo konkursu na projekty – ElectroMobility Poland pracowała dalej nad prototypem i ogłosiła, że pokaże go publicznie 28 lipca podczas konferencji on-line o godz. 14 (m.in. na stronie electromobilitypoland.pl).

– Dużo czasu upłynęło od zapowiedzi do efektu, ale cieszy mnie, że w ogóle udało się to zrobić – mówi „Do Rzeczy” dziennikarz motoryzacyjny Włodzimierz Zientarski. – Myślę, że to trudny temat, bo samochody elektryczne wciąż nie wygrały ze spalinowymi i przyszłość rynku dla elektryków nie jest różowa. Po za tym nie wystarczy zrobić samochodu, trzeba

jeszcze uruchomić całą bazę ze stacjami ładowania, żeby to się rozwijało. Jest też kwestia ceny. Elektryczny pojazd średniej klasy kosztuje ok. 200 tys. zł, za taką cenę można mieć elegancką spalinową limuzynę – wylicza. I dodaje: – W Polsce było wiele inicjatyw motoryzacyjnych, ale ciążyła nad nami jakaś klątwa. Myślę, że głównie chodziło o brak konsekwencji. Oby udało się ją przełamać.

ElectroMobility dopiero ujawni markę i zaprezentuje auto, ale w sieci pokazała już szkice. Konkurs, który pochłoniął blisko 250 tys. zł, poszedł w odstawkę i zatrudniono do zaprojektowania nadwozia ludzi z włoskiego studia Torino Design. Ci projektanci z Mediolanu pracowali wcześniej z takimi markami, jak Ferrari, Fiat czy BMW. Konsultantem był Tadeusz Jelc, projektant samochodów, który przez wiele lat pracował dla marki Jaguar.

Za konstrukcję, rozwój i inżynierię produkcji odpowiada z kolei inny zagraniczny koncern. EMP pod-

informacji wynika, że EMP negocjuje zakup z dwoma koncernami. Wybór płyty podłogowej pociągnie za sobą dobór kolejnych elementów, pod które jest ona zaprojektowana, w tym i silnika elektrycznego.

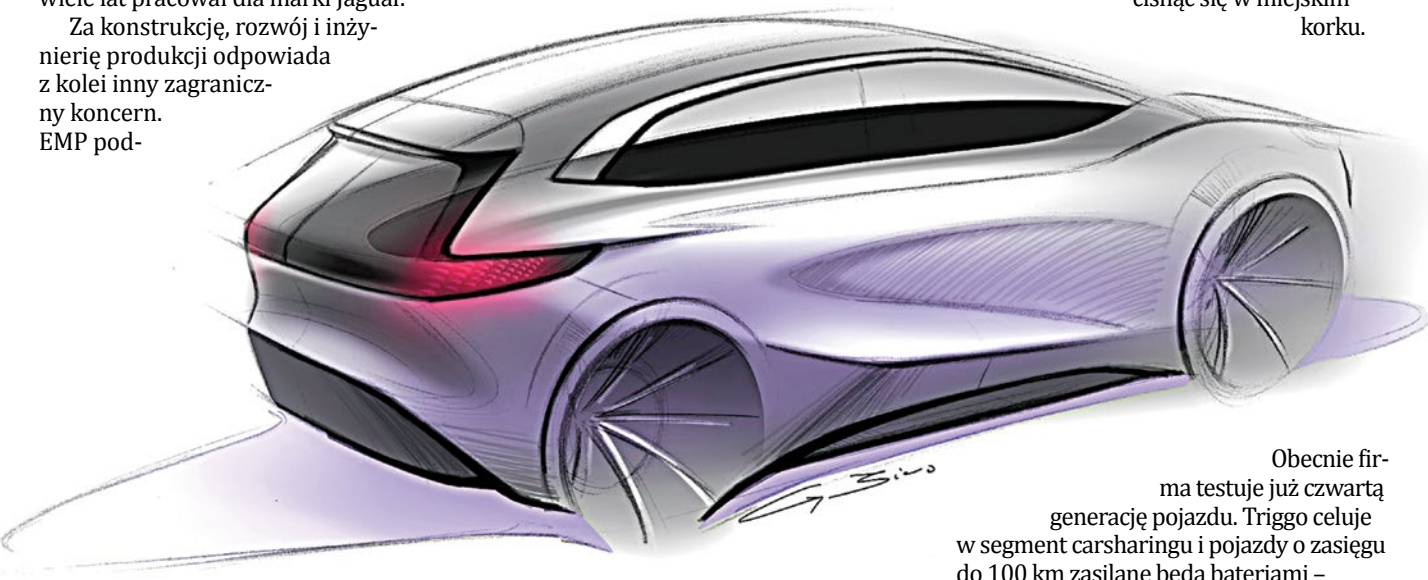
– W naszym projekcie polskie są pomysł, jego geneza, produkcja, podmiot koordynujący całość, ośrodek decyzyjny – mówi Piotr Zaremba, prezes EMP.

Wygląda na to, że „polski samochód elektryczny” to raczej pomysł na uruchomienie produkcji, w której wykorzystane zostaną niektóre polskie komponenty i rozwijany będzie łańcuch logistyczny pozwalający włączać w to polskich podwykonawców i dostawców.

Z zapowiedzi wynika, że firma celuje w taki segment, który ma uczynić samochód dostępnym dla szerokiego grona.

Takim minisamochodem mogą jeździć już 16-latkowie, którzy zdadzą egzamin na kategorię prawa jazdy B1. Firma zamierza oferować swoją wersję rodzinną auta – czteroosobową – za 39 tys. zł. Kiedy? Nie wiadomo. – Trudno mówić o konkretnych datach sprzedażowych, tak się buduje samochody, nie jest to łatwy temat – przyznaje Paweł Dytko, prezes iXAR. – Nie mamy jeszcze homologacji drogowej. Przystopował nas trochę koronawirus. Myślę, że o sprzedaży nie możemy myśleć szybciej niż za dwa albo trzy lata.

Na nieco inny pomysł wpadł Rafał Budweil z Łomianek, który skonstruował pojazd Triggo – hybrydę samochodu i motocykla. To dwuosobowy pojazd, który ma podwozie o zmiennej geometrii. Przy wolnej jeździe koła zmniejszają rozstaw, dzięki czemu Triggo może jak motocykl przecisnąć się w miejskim korku.



pisała na to umowę z niemiecką firmą EADG.

TRUDNA DROGA DO RYNKU

ElectroMobility Poland pokaże za jednym zamachem dwie wersje nadwozia – SUV oraz hatchback.

Dzieła spod ręki włoskich projektantów w środku też nie będą miały za wiele „polskości”. EMP zamierza zakupić już istniejącą płytę podłogową, na której zmontuje samochód. „Chcemy pozyskać dojrzałe rozwiązania technologiczne, które umożliwiłyby szybką adaptację do założonych dla projektu parametrów” – tak spółka tłumaczy „Do Rzeczy” takie podejście do konstrukcji. Z naszych nieoficjalnych

– Budujemy samochód, który ma być powszechny, dlatego też taka powszechna forma jego prezentacji – tłumaczył konferencję on-line Piotr Zaremba. Spółka rządowych koncernów do ubiegłego roku wydać miała na ten projekt już ponad 30 mln zł (wyliczenia Moto.pl).

Tymczasem droga do rynku jest bardzo trudna. Najlepiej widać to po prywatnych przedsięwzięciach w Polsce, które mają już gotowe swoje elektryczne pojazdy (pomińmy tu firmę Melex, która produkuje pojazdy elektryczne od 1971 r.).

Firma iXAR z Nysy ma prototyp „małego, elektrycznego samochodu miejskiego”. To czterokołowiec skonstruowany przy użyciu elementów z istniejących już samochodów (szyby, lampy, zawieszenie itd.).

Obecnie firma testuje już czwartą generację pojazdu. Triggo celuje w segment carsharingu i pojazdy o zasięgu do 100 km zasilane będą bateriami – z możliwością ich szybkiej wymiany przez serwis, zamiast ładowania przez użytkowników. Jednak pojazdy wciąż nie mają jeszcze homologacji drogowej. – Będziemy ją przechodzić w najbliższych miesiącach, będziemy ten pojazd homologować jako ciężki kwadrycykl do przewozu osób, czyli tak jak quad – mówi „Do Rzeczy” Adam Kutylowski, szef działu PR w Triggo SA. – Nasz pojazd nie trafi do sprzedaży detalicznej, będzie oferowany tylko firmom carsharingowym. Zakładamy ukończenie serii pilotażowej w 2021 r. i wówczas planujemy wejście na rynek – opowiada.

Zgodnie z zapowiedziami ElectroMobility Poland ma ruszyć z produkcją polskiego elektrycznego samochodu w 2023 r. Czy to się uda i czy będzie to dobre wejście na rynek?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Miliarderzy w czasach zarazy



Jacek Przybylski

Najbogatsi ludzie świata szukają schronienia przed pandemią koronawirusa oraz możliwymi zamieszkami wywołanymi wzrostem bezrobocia. Jedni wybierają luksusowe bunkry, inni piękne egzotyczne wyspy z prywatnymi plażami

W czasach pandemii zamożni klienci poszukują m.in. oddalonych od miast rezydencji na Balearach, które poza własnymi spa mają też choć niewielki bunkier. Powodzeniem cieszą się także małe zamki ogrodzone fosą, prywatne wyspy (do wynajęcia lub kupienia nie tylko w Azji czy na Karaibach, lecz także np. u wybrzeży Grecji), jak również domy na ogrodzonych osiedlach dla najbogatszych na Riwierze Francuskiej, takich jak np. Les Parcs de Saint-Tropez, w których testy na koronawirusa miały być profilaktycznie wykonywane już wówczas, gdy w całej Francji były one

jeszcze praktycznie niedostępne nawet dla personelu medycznego.

Dla tych, którzy mają już dość kłótni o obowiązek noszenia maseczek, a nie chcą ryzykować życia lub zdrowia z powodu COVID-19, najpiękniejsze kraje świata przygotowały własne oferty, które trudno odrzucić. Warunek: miliardy na koncie. Bezpieczny azyl na prywatnej wyspie i w luksusowej rezydencji pod palmami dostępny jest bowiem tylko dla najbogatszych klientów.

ZDROWIE ZA MILIONY

Piękny, biały, drobnutki piasek na plażach. Palmy dające cień tuż przy brzegu



Luksusowy dom na tropikalnej wyspie to dla wielu zamożnych menedżerów idealne miejsce na przeczekaanie pandemii. FOT. ADORÉ STOCK

błoga wizja od razu wywołuje uśmiech na twarzy. I dobrze wiedzą o tym szefowie rządów wyspiarskich państw.

– Ucieknijcie od pandemii do raj – zaapelował premier Fidzi Josaia „Frank” Bainimarama. Nie chodzi jednak o wszystkich chętnych, bo dla zwykłych zjadaczy chleba Fidzi nadal jest zamknięte, ale tylko o tych, którzy mogą wylegitymować się właściwym stanem konta. – Powiedzmy, że jesteś miliarderem, który chce latać własnym odrzutowcem, wynająć własną wyspę i zainwestować miliony dolarów w Fidzi – jeżeli podjąłeś wszystkie niezbędne medyczne środki ostrożności i poniosłeś związane z tym koszty, to możesz znaleźć nowy dom – zachęcał Bainimarama. Żeby dostać się na archipelag liczący ponad 330 większych wysp oraz pół tysiąca maleńkich, często niezamieszkałych wysepek, nie trzeba jednak mieć własnego odrzutowca.

Można wycarterowanym samolotem polecieć do stolicy i po okazaniu negatywnych wyników testu na koronawirusa przejąć się do hydroplanów, które dowożą do najbardziej wysuniętych zakątków tego rajskiego kraju. Władze Fidzi zezwalają na wstęp również tym, którzy do wybrzeży przycumują swój prywatny jacht, ale pod warunkiem że najpierw na jego pokładzie spędzą 14-dniową kwarantannę.

W ten sposób kraj, którego 40 proc. PKB pochodzi z turystyki, chce ożywić gospodarkę po trzech miesiącach ostrego lockdownu z godziną policyjną, jednocześnie nie ryzykując wybuchu pandemii na swoim terytorium. Ostatni przypadek zarażenia Fidzi odnotowało w połowie kwietnia, chętnych miliarderów wcale więc nie brakuje. Dziesiątki bogatych Amerykanów już skorzystało z oferty, wynajmując prywatne wyspy na całe trzy miesiące.

Według dziennika „Seychelles Nation” podobne jak Fidzi podejście przyjęły też władze Seszeli. Archipelag rajskich wysp, popularnych zwłaszcza wśród nowożeńców z całego świata, w trwającej do końca lipca początkowej fazie odmrażania gospodarki zezwolił na powrót tylko najbogatszych gości. Turyści chcący odpoczywać na wybranej wyspie muszą bowiem dostać się na nią na pokładzie prywatnego odrzutowca (nie trzeba go posiadać, można jedynie wynająć).

W grę wchodzi pobyt głównie w cztero- i pięciogwiazdkowych obiektach. Nawet najbogatszych obowiązuje jednak zakaz przemieszczania się między luksusowymi enklawami.

W drugiej fazie turystów ma być więcej: warunkiem jest jednak przeprowadzenie testu na koronawirusa co najmniej 48 godzin przed przylotem na Seszele. Według dziennikarzy „Seychelles Nation” wyspiarscy marketingowcy zachęcają do luksusowych wakacji mieszkańców takich państw, jak Szwajcaria, Norwegia czy Austria.

Na zamożnych i pracowitych klientów ze Stanów Zjednoczonych i Europy stawiają z kolei takie kraje jak Barbados czy Bermudy. Władze tych położonych na Karaibach terytoriów zależnych Wielkiej Brytanii oferują koronawirusowy azyl dla zamożnych przybyszów.

Na Bermudach program rusza 1 sierpnia. A osoby, które zdecydują się na wyspiarski żywot, mogą otrzymać pozwolenie na roczny pobyt, aby móc zdalnie studiować (np. robić magisterium lub pracować nad doktoratem) lub pracować zdalnie w którejś z zagranicznych firm, lub prowadzić własną firmę. Cena takiego pozwolenia ma wynosić zaledwie 263 dol., czyli nieco ponad 1000 zł.

– Świat się zmienia i chcemy, aby ludzie rozważyli długoterminowe wizyty na Bermudach – przekonywał w lipcu w wywiadzie dla Bloomberg’a David Burt, premier wyspiarskiego kraju, którego gospodarka w dużej mierze opiera się na wpływach z turystyki i który jeszcze przez wybuchem pandemii oferował zamożnym emerytom możliwość udziału w programie rocznej rezydencji z możliwością odnawiania go na kolejne lata.

Archipelag składa się z siedmiu większych i 130 małych wysp koralowych położonych na Morzu Sargassowym w zachodniej części Oceanu Atlantyckiego. Bogatych przybyszów ma przekonać do przeprowadzki przyjazny wiosenno-letni klimat – temperatura w dzień waha się od 20 stopni w najzimniejszym styczniu do około 30 stopni w najgorętszym sierpniu – a także opanowana sytuacja z pandemią koronawirusa. W całym kraju liczbę chorych można policzyć na palcach obu rąk, a władze wprowadziły jasne zasady dotyczące robienia zakupów etc.

Ci, którzy chcieliby do minimum ograniczyć liczbę sąsiadów, mogą na Karaibach wybierać między prywatnymi wyspami. Jedną z najbardziej znanych jest Necker Island, niewielka wyspa położona w sercu Brytyjskich Wysp Dziewiczych, będąca własnością Richarda Bransona. Cena jej wynajęcia na jedną noc wzrosła jednak od 1 kwietnia 2020 r. do 102,5 tys. dol. (czyli równowartość ponad 400 tys. zł). Do

oraz turkusowe wody. Malediwy, Fidzi lub Seszele pozwalają na własne oczy zobaczyć, jak wygląda raj na ziemi. Po wykonaniu zdalnie wszystkich obowiązków na niewielkich wysepkach można godzinami wygrzewać się w promieniach słońca lub podziwiać rafa koralowe, pływać z żółwiami i bawić się z wiecznie szukającymi nowych przygód delfinami. A gdy znudzi się już snorkeling oraz nurkowanie, zamienić akwalung na deskę i spróbować sił w surfing lub windsurfingu. Smakoszysze mogą zaś zająć się owocami morza, potrawami przyrządzonymi na mleku kokosowym oraz wieloma rodzajami mięs i ryb. W pandemicznych czasach taka



Popularnością wśród najbogatszych cieszą się prywatne wyspy. Za wynajem Necker Island trzeba zapłacić nawet równowartość 400 tys. zł za noc. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

tej kwoty należy też doliczyć 2,5 proc. napiwku dla obsługi.

Wynajmujący ma jednak w zamian dla siebie całą wyspę z 20 pokojami w luksusowym minikurorcie. Chętni muszą się uzbroić w cierpliwość. Do końca lutego 2022 r. nie ma żadnego wolnego terminu.

Sporo taniej jest na dużo mniejszej wyspie położonej niedaleko Belize. Luksusowy ośrodek dla czterech osób można wynająć już za 4,4 tys. dol. za noc, a w przypadku zaledwie dwojga gości cena spada do 3,7 tys. dol. za noc. Przy co najmniej siedmiodniowym pobycie w cenę wliczona jest 35-minutowa podróż śmigłowcem, a do tego pakiet all-inclusive obejmujący nie tylko jedzenie i napoje, lecz także snorkeling, jeden dzień nurkowania, masaże etc. Obsługa mieszka na oddzielnej wyspie i gdy wyrusza obsługiwać gości, ostrzega ich, włączając na niej czerwone światła.

TURYSTYCZNE BAŃKI

Pandemia koronawirusa zmieniła też stosunek władz Tajlandii do masowej turystyki. Jak informował portal The Phuket News, kraj ten nie chce już dłużej być celem dla backpackerów, którzy z powodzeniem spędzali w tym kraju egzotyczne wakacje za stosunkowo niewielkie pieniądze. Tajowie podczas pandemii wołali bogatych VIP-ów, więc swoje granice otworzyli w pierwszej kolejności dla gości czteroi pięciogwiazdkowych hoteli na wyspach Phuket, Phi Phi czy Ko Samui. Dla kraju korzystniej jest bowiem przyjąć mniejszą liczbę bogatych turystów niż otworzyć granice dla tłumu niskobudżetowych zwiedzających – budżet kraju na bogatych zyskuje bowiem więcej, a ryzyko nowych ognisk wirusa jest o wiele mniejsze.

Aby jeszcze bardziej wzmocnić sektor turystyczny, nie narażając jednak mieszkańców i hotelarzy na kontakt z groźnym wirusem, najbardziej popularne wśród

podróżnych kraje rozważają tworzenie turystycznych baniek.

Władze Fidżi pracują nad porozumieniem nazywanym Bula Bubble, a które dotyczy uproszczonego ruchu dla turystów między Fidżi, Australią a Nową Zelandią. Jeszcze przed wybuchem pandemii popularne były bowiem wycieczki łączące odpoczynek na Fidżi ze zwiedzaniem krainy hobbitów, kryjówek władców pierścieni, jaskiń, gejzerów oraz bajkowych zatoczek. Nowa Zelandia od lat traktowana jest przez zamożnych jako bezpieczna przystań – piękny kraj, któremu nie grozi atak atomowy czy nagły wybuch niepokojów społecznych. W czasach pandemii Nowa Zelandia stała się również krajem, który świetnie poradził sobie z nowym rodzajem zagrożenia. Wielu obcokrajowców chce więc tam wyjechać nie tylko na krótkie wakacje, lecz także aby przeczekać ryzyko związane z COVID-19.

Pierwszą „turystyczną bankę” w Europie utworzyły 15 maja trzy kraje w pobliżu Polski, a więc Litwa, Łotwa i Estonia, otwierając granice tylko dla swoich obywateli, utrzymując obowiązkową kwarantannę dla pozostałych obcokrajowców. Podobne „banki”, „korytarze” lub „mosty powietrzne” utworzyły też m.in. Austria z Niemcami, Chorwacja ze Słowenią, Dania z Norwegią, a także Francja z Grecją, Włochami i Hiszpanią oraz Chiny i Korea Południowa.

POD ZIEMIĄ NAJBEZPIECZNIEJ

Ci, którzy w czasach pandemii COVID-19 boją się jakichkolwiek kontaktów z obcymi lub drżą na myśl o wybuchu potencjalnych zamieszek, gdy brak pracy i pieniędzy sprawi, że ludzie zaczną plądrować sklepy i domy najbogatszych, mogą zamiast na rajska wyspę przeprowadzić się do ukrytych głęboko w ziemi betonowych bunkrów.

Według CNBC firma Rising S Company – która w swojej 18-letniej historii sprzedała na całym świecie 1,4 tys. bunkrów i schronów – od wybuchu pandemii odnotowała aż czterokrotny wzrost zamówień. Najczęściej wybierane modele kosztują ok. 150 tys. dol., czyli ok. 740 tys. zł, choć za najdroższy wariant (Aristocrat) – z dużym garażem, salą gier, kręgielnią, strzelnicą i basenem – trzeba zapłacić już 8,35 mln dol. (33 mln zł).

Większym zainteresowaniem swoimi produktami cieszy się też właściciel firmy Survival Condo. W tym wypadku bunkry kosztują od 500 tys. dol. do niemal 2,5 mln dol. (od równowartości 2 mln zł do niemal 10 mln zł). W zamian najbogatsi mogą jednak liczyć na to, że pod grubą warstwą betonu znajdą wszelkie wygody: od wewnętrznego basenu do siłowni ze ścianką wspinaczkową.

„Największy na świecie bunkier dla miliarderów” znajduje się na terenach wiejskich w Czechach, niedaleko Pragi, zaledwie siedem godzin jazdy samochodem z Warszawy. Luksusowy schron został zaprojektowany, aby dawać schronienie podczas trzeciej wojny światowej, ataku chemicznego lub katastrofy naturalnej. Miliarderzy mają tam do dyspozycji lądowisko dla śmigłowców, a pod ziemią m.in. spa, basen, centrum fitness oraz ekskluzywną restaurację. Zgromadzone w nim zapasy żywności mają pozwolić na przeżycie 10 lat bez konieczności wychodzenia na powierzchnię.

Na luksusowe podziemne życie liczyć mogą też mieszkańcy niemieckiego bunkra Vivos Europa One, utworzonego w pobliżu niemiecko-polskiej granicy na terenie dawnej sowieckiej twierdzy w Rothenstein. Do dyspozycji jest tu kilka teatrów, baseny, siłownia, a nawet szpital i areszt. I chociaż nie jest tu najtaniej, to przedstawiciele firmy mówią w mediach, że podczas pandemii zauważyli istotny wzrost zawieranych umów.

Część miliarderów ani myśli o tym, aby w czasach pandemii i wielkiego kryzysu gospodarczego trzymać się jednego miejsca. Szybko wzrósł więc popyt na gigantyczne luksusowe jachty. Na nich nawet najbogatszym łatwiej jest o empatię dla ludzkości pogrążonej w walce ze zdrańskim wirusem. „Mam nadzieję, że wszyscy są w bezpiecznym miejscu” – napisał miliarderski David Geffen, zamieszczając na Instagramie swoje zdjęcie na mierzającym niemal 140 m długości ekskluzywnym megajachcie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Ryzyko z Brukseli

Za przyjętą podczas politycznego maratonu w Brukseli umową o unijnym Funduszu Odbudowy, w której rezultacie do Polski ma napłynąć – jak zapewnia chwalcący się tym sukcesem szef rządu – aż około 750 mld zł, kryją się rozwiązania, które ze sporą dozą prawdopodobieństwa wymuszają dalszą integrację Unii Europejskiej.

I rzecz nie tylko w tym, że w umowie tej, jako warunek wypłaty świadczeń z Funduszu Odbudowy – warunek ewidentnie wykraczający poza traktaty Unii Europejskiej – zapisano obowiązek przestrzegania przez beneficjentów pomocy bliżej niesprecyzowanych zasad praworządności – nawet jeśli zapis ten w praktyce okaże się martwy, bo niemożliwy do zastosowania wobec któregośkolwiek z państw, w tym Polski, które się temu sprzeciwi. (Choć przecież takie – tylnymi drzwiami – wprowadzenie do unijnych dokumentów pozatraktatowych zapisów i tak już jest groźne).

Rzecz bowiem także w tym, że aby wypłacić państwu członkowskim UE te wszystkie przyobiecane setki miliardów euro – przyobiecane w ramach Funduszu Odbudowy – trzeba je najpierw skądś zdobyć: od kogoś wziąć lub pożyczyć. Do tej pory na budżet UE w lwiej części składają się państwa członkowskie, wpłacając do kasy Unii swą coroczną składkę (w dużo mniejszym stopniu zasila ją m.in. dochody z ceł od towarów sprowadzanych spoza UE i niewielki udział w VAT). Natomiast od tej pory

oprócz dotychczasowej składki (której wysokość w związku ze startem Funduszu Odbudowy dla wszystkich krajów, w tym Polski, wzrośnie) Unia Europejska wyemituje obligacje, które państwa członkowskie będą musiały wspólnie spłacać przez 30 lat. Mało tego, pojawił się także pomysł wprowadzenia unijnych opłat (czyli de facto podatków): cyfrowej, węglowej i od opakowań plastikowych oraz być może jeszcze innych, np. od transakcji finansowych. A jak – na łamach „Gościa Niedzielnego” – przytomnie zwraca uwagę prof. Tomasz Grosse z Instytutu Sobieskiego, tego typu prerogatywy – wspólny dług i nakładanie podatków – są zarezerwowane dla państw, a nie unii państw. I dowodzi: „Najpierw musiałyby istnieć państwo europejskie, a potem można emitować wspólny dług. Tak samo jest z podatkami”.

Niezależnie od tego, czy jest się za dalszą integracją Unii Europejskiej, a tym bardziej za jej najbardziej radykalnym wariantem – przekształceniem UE w Stany Zjednoczone Europy – czy przeciw, w pierwszej kolejności trzeba o tej – jak widać – nie aż tak mało prawdopodobnej ewentualności – przez jednych postrzeganej jako zagrożenie, a przez innych jako szansa – wiedzieć i debatować. Dlatego dobrze, że kwestia ta nam nie umyka, że trwa spór – i to nie tylko między rządem a opozycją, lecz także w obrębie obozu władzy – napięcie w tej sprawie gołym okiem przecież widać między Solidarną Polską a PiS. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kto wchodzi ostatni

Jak wiadomo, zgodnie z zasadami państwowej precedencji ostatni na miejscu pojawia się prezydent Rzeczypospolitej. Gdy on już jest, nikomu z oficjalnych gości nie wypada wchodzić po nim. No, chyba że to prezes PiS.

Scena z uroczystości wręczenia zaświadczenia o wyborze Andrzejowi Dudzie przez przewodniczącego PKW, gdy spóźniony wchodzi na salę Jarosław Kaczyński ze swoim otoczeniem, zakłócając przebieg wystąpienia głowy państwa, była w ubiegłym tygodniu

na wiecu przed pałacem prezydenckim jako pierwszy – każdy chciał być ostatni, czyli najważniejszy, a zakulisowy impas trwał dobrych kilkanaście minut. Trudno było to odczytywać inaczej niż jako dość aroganckie wskazywanie Andrzejowi Dudzie miejsca w szeregu przez prezesa PiS. Te sytuacje wywoływały zażenowanie nawet wśród polityków partii rządzącej.

W drugiej połowie pierwszej kadencji sytuacja się uspokoiła. Co zatem stało się teraz? Nawet jeśli przyjąć za dobrą monetę wyjaśnienia Ryszarda Terleckiego, że Jarosław Kaczyński utknął w korkach – a wymagałoby to bardzo dużej dozy dobrej woli – to i tak znaczyłoby to, że prezes PiS nie potraktował uroczystości z udziałem prezydenta wystarczająco poważnie. W przeciwnym razie wyszedłby odpowiednio wcześniej. To kwestia szacunku dla instytucji głowy państwa.

Tym razem jednak, przez całą kadencję, PiS bardziej będzie potrzebował Andrzeja Dudy niż Andrzeja Duda PiS. Przynajmniej teoretycznie. Czemu zatem takie ostentacyjne gesty prezesa Kaczyńskiego mają służyć? Czy może nie mają żadnego celu, może to czysta emocja? Nie wiadomo. Warto jednak uważnie przyglądać się reakcjom prezydenta, bo te mogą nam sporo powiedzieć o tym, jaka będzie jego druga kadencja. ©©

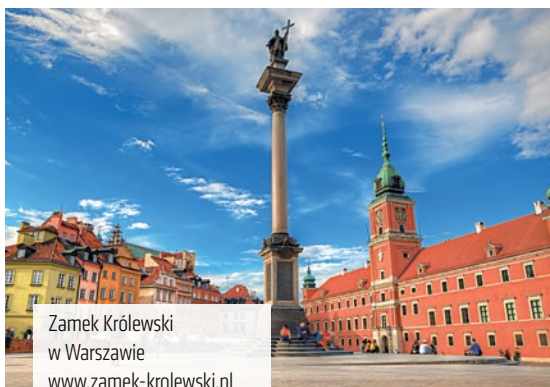
Tym razem, przez całą kadencję, PiS bardziej będzie potrzebował Andrzeja Dudy niż Andrzeja Duda PiS

żelaznym punktem informacji w wielu mediach. Można by powiedzieć – przyczynkarstwo. A jednak nie.

Ta scena bardzo przypominała sytuację, do których dochodziło wiele razy w czasie pierwszej kadencji pana prezydenta, zwłaszcza w jej pierwszych latach. Niektóre z nich opinia publiczna widziała – tak jak głośno uniknięcie podania prezydentowi ręki przez prezesa PiS – a o innych nie wiedziała, choćby o sytuacji, gdy żaden z dwóch polityków nie chciał pojawić się



Zamek w Malborku
www.zamek.malbork.pl



Zamek Królewski
w Warszawie
www.zamek-krolewski.pl



Zamek Królewski na Wawelu
wawel.krakow.pl

Tropem najpiękniejszych zamków



Radosław Wojtas

Objechanie wszystkich w Polsce zamków i ich ruin to zadanie na lata. Jeden dłuższy urlop i kilka baków paliwa wystarczą jednak, by zobaczyć przynajmniej kilkanaście z nich

W granicach Polski znajduje się ponad 400 zamków lub ich pozostałości. Ich stan jest różny. Jak alarmowano w „Raporcie o stanie zachowania zabytków nieruchomych w Polsce (ksiegi A i C)” przedstawionym pod koniec 2017 r. przez Narodowy Instytut Dziedzictwa i Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego: „15,40 proc. z nich (62 zabytki) w najbliższej przyszłości może utracić walory, dla których objęto je ochroną konserwatorską”.

Są i dobrze zachowane lub odbudowane perełki. I to właśnie na nich się skupiliśmy (choć w dwóch przypadkach polecamy okazałe ruiny), przygotowując naszą propozycję wycieczki po Polsce śladem najciekawszych zamków. Tak by nawet najmłodszy w rodzinie nie robił kwaśnej miny na widok może i niezwykłego historycznie, ale nieciekawego wizualnie celu długiej podróży.

Trzy zamki chcieliśmy zauważyć „poza konkursem” i mamy usprawiedliwienie

takiej decyzji, bo wszystkie widnieją na Liście światowego dziedzictwa UNESCO (choć tylko jeden jako samodzielny obiekt, pozostałe dwa jako część historycznego centrum Krakowa i Warszawy). Są to: krzyżacki zamek w Malborku, Zamek Królewski na Wawelu oraz Zamek Królewski w Warszawie. Te trzy piękne i ważne zamki wpisujemy w plan naszej podróży, ale jako warownie dla takiej listy najbardziej oczywiste muszą one ustąpić miejsca zamkom być może mniej znanym.

ZAMEK KRZYŻTOPÓR

Nasza trasa rozpoczyna się w Malborku, prowadzi przez Warszawę (po drodze można zrobić sobie przystanek w Sztumie na zwiedzanie kolejnego zamku krzyżackiego) i biegnie dalej na południe, ku miejscowości Ujazd, która przed laty należała do Krzysztofa Ossolińskiego herbu Topór (w poprzednim wydaniu „Do Rzeczy” swój felieton poświęcił mu Jacek Komuda). Ów szczęśliwie urodzony,

wykształcony i odczytany człowiek otrzymał od ojca z okazji ślubu dobra Iwaniska wraz z Ujazdem. Zapragnął zbudować siedzibę magnacką, która przyćmiłaby inne posiadłości, nie tylko w kraju. Od tego marzenia rozpoczyna się historia zamku. Prowadzona etapami budowa Krzysztopóra (początkowa nazwa jest zbitką imienia fundatora i nazwy jego herbu) ruszyła ok. 1621 r. Po jej zakończeniu Ossoliński mógł cieszyć się największą rezydencją pałacową w Europie (przynajmniej do czasu wzniesienia Wersalu). Była to palazzo in fortezza, rezydencja łącząca wygodę i zalety pałacu z funkcją obronną. Zamek o kubaturze 70 tys. m³ i powierzchni 1,3 ha otaczały mury o łącznej długości 600 m. Do budowy zespołu zużyto m.in. 11 tys. ton miejscowego piaskowca kwarcytowego, 200 tys. cegieł i 30 tys. dachówek.

Jako że jedyny syn fundatora zginął w bitwie, imponująca budowla przeszła w ręce dalszej rodziny. W trakcie potopu szwedzkiego została zdobytą podstępem, bez ani jednego wystrzału, co miało swoje plusy, bo zamek nie ucierpiał, jednak nie uchroniło go to przed grabieżą dzieł sztuki, księgozbiórów i wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. To, czego udało się uniknąć w roku 1655, spadło na zamek w roku 1770. Został wtedy spalony przez wojska moskiewskie w trakcie obrony przez zwolenników konfederacji barskiej, którym sprzyjał właściciel. Zespół zamkowy przechodził później z rąk do rąk, ale dawnej świetności nie odzyskał nigdy.

Dziś Krzyżtopór to ruiny, ale dające wyobrażenie o wspaniałości tego miejsca. Otwarte dla zwiedzających dopiero od 1991 r.

ZAMEK W ŁAŃCUCIE

Kierujemy się w stronę Rzeszowa, a dokładnie do położonego pod miastem Łańcuta. Znajdziemy tam jedną z najpiękniejszych rezydencji arystokra-



Zamek Krzyżtopór w Ujeździe
krzyztopor.org.pl



Zamek w Łańcut
www.zamek-lancut.pl

tycznych w Polsce. To również pallazzo in fortezza, piękna i wygodna rezydencja, ale z fortyfikacjami na tyle prze-myślanymi i potężnymi, że w 1655 r. Szwedzi nawet nie spróbowali szturmować i wycofali się po tym, gdy Łańcut odmówił kapitulacji. Obsada zamku skutecznie broniła się także w 1657 r. przed wojskami księcia Siedmiogrodu Jerzego II Rakoczego.

Początki zamku to druga połowa XVI w., kiedy to wzniesiono wieżę obronną. W latach 1629–1642 Stanisław Lubomirski dokonał rozbudowy, tworząc rezydencję z budynkiem mieszkalnym z wieżami w narożach, otoczonym fortyfikacjami bastionowymi. Umocnienia ustępowały miejsca alejom spacerowym i drzewom za sprawą Izabelli z Czartoryskich Lubomirskiej, która w drugiej połowie XVIII w. zaczęła przekształcać obiekt w zespół pałacowo-parkowy. Zmian dokonywano wówczas także wewnątrz budynku, zmieniając jego układ, doposażając zgodnie z ówczesną modą i wypełniając dziełami sztuki.

Łańcut słynie z bogatych, zaliczanych do najpiękniejszych w Polsce zamkowych wnętrz (niemal bez szwanku przetrwał drugą wojnę światową). Tamtejsze muzeum posiada dwie kolekcje pojazdów konnych: historyczną (liczącą 55 pojazdów, związaną z rezydencją po rodzinie Potockich) oraz muzealną, gromadzoną po drugiej wojnie światowej. W Łańcutie zgromadzono też ekspozycje sztuki cerkiewnej, które ratowano w trakcie wysiedleń ludności ukraińskiej w latach 1945 i 1947. Wśród zbiorów jest ponad tysiąc ikon. Najstarsze z nich pisano w XV w.

Zespół zamkowy w Łańcutie to także okazały park oraz storczykarnia.

ZAMEK W KRASICZYNIE

Zostajemy na Podkarpaciu. Godzinę jazdy od Łańcuta na południowy wschód,

nad Sanem, leży wioska Krasiczyn. Pod koniec XVI w. potomek przybyłej tu szlachty mazowieckiej, kasztelan przemyski Stanisław Krasicki, rozpoczął budowę murowanego zamku. Dzieło kontynuował wojewoda podolski Marcin Krasicki, który przebudowywał zamek, przekształcając go w wielkopańską rezydencję.

Charakterystyczne dla zamku są cztery narożne baszty o odmiennym wystroju i przeznaczeniu: Boska, Papieska, Królewska i Szlachecka. I tak np. wieża papieska, której ściany zdobiły podobizny następców św. Piotra, pomyślana była jako miejsce gościny kościelnych dostojników. Nigdy nie nocował w niej sam papież, ale wśród hierarchów spędzających tam noc był ponoć nuncjusz papieski Cosimo de Torres. W Krasiczynie gościli także królowie: Zygmunt III Waza, Władysław IV, Jan Kazimierz i August II.

Jednym z najcenniejszych elementów architektonicznych zamku jest kaplica w baszcie Boskiej. Wrażenie robią bogate zdobienia – rzeźbione portale, loggie, arkady. Najbardziej charakterystyczną cechą wyróżniającą zamek w Krasiczynie są dekoracje ściennie, tzw. sgraffita, które zajmowały pierwotnie ok. 7 tys. mkw. Zamek otoczony jest parkiem, w którym to Sapiehowie, jedni z właścicieli posiadłości, wprowadzili tradycję sadzenia dębu za każdym razem, gdy pojawił się potomek męski, oraz lipy, gdy w rodzinie przyszła na świat dziewczynka.

Zamek został, niestety, ograbiony przez Sowieców na początku drugiej wojny światowej, stał się też dla nich miejscem do nakręcenia antypolskiego, uzasadniającego inwazję na Polskę filmu „Wiatr ze wschodu”.

Część zamku zwiedzać można wyłącznie z przewodnikiem (codziennie w godzinach 9–16, wejście o pełnych godzinach). Trasa zwiedzania obejmuje: dziedziniec zamkowy, kryptę w baszcie Boskiej, gabinet myśliwski, kaplicę zam-

kową pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, sale ekspozycyjne.

ZAMEK DUNAJEC W NIEDZICY

Najdalej wysunięty na południe zamek na naszej mapie to Dunajec. O ile z Krasiczyna rzut kamieniem było w Bieszczady, o tyle wyjazd w okolice Niedzicy kusi połączeniem zwiedzania zamku z wyjściem w Pieniny. Dokładna nazwa miejscowości, w której znajduje się warownia, brzmi Niedzica-Zamek. Warownia znajduje się na prawym brzegu zajmującego 11 km kw. sztucznego zbiornika retencyjnego na Dunajcu, Jeziora Czorszyńskiego i próżno szukać w polskich górach bardziej malowniczo położonego i imponującego zamku. Nic dziwnego, że przyjeżdżały tu ekipy telewizyjne. W latach 50. XX w. zamek był planem zdjęciowym filmu „Zemsta”. W jego murach kręcono niektóre sceny serialu „Janosik” i „Wakacje z duchami”.

Dunajec został wzniesiony w pierwszej połowie XIV w. (wcześniej istniała tu drewniana strażnica) przez Kokosza Berzewiczego jako fortecja broniąca północnej granicy Węgier. Miał być przeciwwagą dla polskiego grodu warownego Wronin, później zamku w Czorsztynie (ruiny zamku znajdują się po drugiej stronie Dunajca nad skarpą jeziora). Gotycki zamek został przebudowany w XVI w. na renesansowy. Po pierwszej wojnie światowej Dunajec znalazł się w granicach Polski, ale aż do 1945 r. wciąż pozostawał w rękach węgierskich rodów. Po drugiej wojnie światowej zdewastowany zamek poddano konserwacji i przekazano Stowarzyszeniu Historyków Sztuki, które jest jego administratorem do dziś i prowadzi tam muzeum.

Jedna z zamkowych legend podaje, że w XVIII w. na zamku i w jego okolicy przebywali uciekający przed hiszpańskimi prześladowaniami Inkowie. Poukrywali tam kosztowności, a wskazówki do ich odnalezienia mieli zapisać za pomocą kipu (rodzaj zapisu informacji pismem węzełkowym).



Zamek w Krasiczynie
www.krasiczyn.com.pl



Zamek Dunajec w Niedzicy
zamekniedzica.pl



Skarbu z Niedzicy raczej nie przywieziemy, ale udane zdjęcia na pewno. Zwiedzając zamek z do dziś wyraźnym podziałem na zamek górny (wieża, kaplica, część mieszkalna, mały dziedziniec), średni (zabudowa mieszkalna) i dolny, można oglądać panoramę regionu z tarasów widokowych. Do zwiedzania udostępniono komnaty wyposażone w przedmioty z XVI–XIX w., a także izbę tortur (inna zamkowa legenda głosi, że pod zamkiem więziony był Janosik). Oprócz tego znajdują się tam wozownia (najstarsze pojazdy pochodzą z ok. 1900 r.) i drewniany spichlerz, w którym urządzono wystawę sztuki ludowej Spisza.

ZAMEK PIESKOWA SKAŁA

Po drodze do kolejnego zamku położonego w Ojcowskim Parku Narodowym czas na Kraków. Oprócz Zamku Królewskiego na Wawelu można rozważyć obejrzenie także zamku w Niepołomicach, to raptem 30 km na wschód od Rynku Głównego w Krakowie. Z kolei 40 minut jazdy na północny zachód od Krakowa, w Dolinie Prądnika znajduje się zamek Pieskowa Skała.

Pierwsza wzmianka o warowni pojawia się w dokumencie wydanym przez Władysława Łokietka w 1315 r., ale zamek na obecnym miejscu wzniesiono na polecenie Kazimierza Wielkiego w pierwszej połowie XIV w. Był on częścią strzegącego granicy Królestwa Polskiego systemu warowni Orlich Gniazd. Pieskowa Skała przechodziła przebudowy, z czego najpoważniejsza, w XVI w., zamieniła gotycki zamek królewski na renesansowy zamek bastionowy. Warowni nie szczędzili wrogowie, szczególnie dotkliwy był także pożar w roku 1850. Tak poważnie naruszył on najstarszą część rezydencji, usytuowany na niedostępnej Skale Dorotki kazimie-

rzowski zamek górny, że po trzech latach zupełnie się on zawalił.

Mimo to Pieskowa Skała to najlepiej zachowane z Orlich Gniazd. Również ten zamek był planem kilku seriali oraz filmów. Pojawił się m.in. w „Ogniem i mieczem” Jerzego Hoffmana. Dziś zwiedzać można otwarte dziedzińce, pierwsze i drugie piętro ekspozycji muzealnej oraz ogród włoski. Odwiedzając górą nad Ojcowskim Parkiem Narodowym zamek, warto zaplanować wycieczkę także po parku. Najstojniejsza polska skała – Maczuga Herkulesa czy, jeśli ktoś woli: Maczuga Kraka, Skała Twardowskiego czy Czarcia Skała – znajduje się kilkaset metrów na południe od zamku. W odległości kilku kilometrów zobaczyć można ruiny zamku w Ojcowie (także jedno z Orlich Gniazd). Nieco dalej położone jest wzgórze Okopy (z punktem widokowym), na którym archeolodzy znaleźli ślady grodziska pochodzącego z wczesnego średniowiecza.

ZAMEK OGRODZIELEC

Mimo że zamek Ogrodzieniec zachował się w dużo gorszym stanie niż Pieskowa Skała, to i tak jest jedną z najpopularniejszych warowni na szlaku Orlich Gniazd. Nic dziwnego. Nawet to, co zostało po zamku zbudowanym na najwyższym wzniesieniu Jury Krakowsko-Częstochowskiej, robi ogromne wrażenie.

Gotycki zamek rycerski wznosił tu Kazimierz Wielki w miejscu zniszczonego przez Tatarów w 1241 r. niewielkiego grodu zwanego Wilczą Szczęką. Rozbudowywany później w stylu renesansowym, był największym zamkiem Jury Krakowsko-Częstochowskiej. W ruinę zamienili go Szwedzi. Najpierw w 1655 r. poważnie uszkodzili mury zamkowe, a niszczycielskiego dzieła dokonali w roku 1702. Zabezpieczanie pozostałości Ogrodzienia rozpoczęło się dopiero w okresie między-

wojennym. Po drugiej wojnie światowej zapadła decyzja, by zachować go w formie trwałej ruiny, i w latach 1949–1951 oraz 1964–1973 przeprowadzono prace konserwatorskie, po których zamek udostępniono zwiedzającym.

Ogrodzieniec o murach wkomponowanych się w krajobraz Jury uznawany jest przez wielu za symbol Orlich Gniazd i najpiękniejszy z zamków tego systemu obronnego. Zamek ma oczywiście swoje legendy. Najpopularniejsza związana jest z ponurą i dwuznaczną postacią żyjącego tu w XVII w. kasztelana, Stanisława Warszyckiego. Miejscowi opisywali go jako „srogiego i nielitościwego zarówno dla służby, jak i dla swoich kolejnych żon. Jedną ponoć za niewierność żywcem zamurował i wysadził tę część zamku, inną chłostał publicznie”. Do tego miał być wyjątkowo chciwy. Do tego stopnia, że poukrywanych kosztowności strzeże do dziś, pojawiając się w okolicach zamku pod postacią obwiązanego brzęczącym łańcuchem czarnego psa.

Nie trzeba w takie opowieści wierzyć, by lubić ich posłuchać. Co sprzyja frekwencji, np. na organizowanych na Ogrodzience Wieczorach z Duchami, czyli wakacyjnych piątkowych nocnych zwiedzaniach.

Ogrodzieniec leży mniej więcej pośrodku Orlich Gniazd, ciągnących się od Krakowa do Olsztyna. My odbijamy w stronę Katowic.

ZAMEK W BĘDZINIE

Kolejny imponujący zamek, wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego, który przetrwał do naszych czasów, znajduje się w Będzinie. Według legendy miejscowości Będzin zawdzięcza Kazimierzowi Wielkiemu także swoją nazwę. Podczas lustracji grodu nad Przemszą król miał ponazywać miejscowości, mówiąc i pokazując: „Tam rosną dąbrowy [Dąbrowa Górnicza], tam sosnowy [Sosnowiec], tutaj będziem



Zamek Pieskowa Skała
pieskowaskala.eu



Zamek Ogrodzieniec
www.zamek-ogrodzieniec.pl



Zamek w Będzinie
muzeumzaglabia.pl

[Będzin] My, tam Pogoń [dziś dzielnica Sosnowca], a tam czeladź [Czeladź] nasza, a jeżli tu mało będzie [Małobądz, dzielnica Będzina] miejsca, to reszta stanie za górą [Zagórze, dzielnica Sosnowca]”. Inna równie mało prawdopodobna wersja opowieści głosi, że król powiedział jedynie: „Tu będziemy spoczywali”. Jak to trzeba uważać na słowa, będąc królem...

Gotycki zamek królewski wzniesiono w połowie XIV w. na wzgórzu nad Czarną Przemszą. To Orle Gniazdo, które strzec miało Koronę Polską przed atakami ze strony czeskiej i utraconego w 1348 r. Śląska, leżało tuż na granicy, która przebiegała u jego podnóża. Zamek gwarantować miał także bezpieczeństwo wodnych i lądowych dróg handlowych, m.in. traktu handlowego ze Śląska do Krakowa. Gościli tu cesarz Karol IV, a także polscy królowie, w tym zmierzający z odsieczą pod Wiedeń Jan III Sobieski (pod zamkiem przebiega turystyczny Szlak Husarii Polskiej).

Zamek był wielokrotnie niszczone i odbudowywany, w 1616 r. wielkie szkody wyrządził poważny pożar. Wygląd zamku zmienił się znacznie w wyniku przebudowy w neogotyckim stylu z 1834 r. Wtedy to m.in. dodano krenelacje na murach i wieżach, ceglane obramowania okien, przebudowano kasztel i obniżono wieżę. Ostatecznej odbudowy zamku podjęto się po drugiej wojnie światowej. Ukończono ją w 1956 r. i przekazano zamek na siedzibę Muzeum Zagłębia w Będzinie, które administruje tu do dziś. W zamku oglądać można wystawy stałe – o dziejach tego miejsca i prezentującą dawną broń – oraz wystawy czasowe. Po drugiej stronie rzeki znajduje się pałac Mieroszewskich, również w administracji miejscowego muzeum.

ZAMEK W GOŁUCHOWIE

Zamek w Gołuchowie, który wygląda jakby trafił pod Kalisz przeniesiony w ta-

jemniczych okolicznościach znad Loary, zawdzięcza swój francuski szyk Izabelli z Czartoryskich Działyńskiej.

W latach 1550–1560 powstała w Gołuchowie kilkukondygnacyjna murowana budowla o charakterze obronnym (na planie prostokąta, z basztami w każdym z narożników). W początkach XVII w. przekształcona została w okazałą rezydencję magnacką. Ale to przebudowa Izabelli z Czartoryskich Działyńskiej w XIX w. upodobniła zamek pod Kaliszem do królewskich warowni znad Loary. Dzieło przebudowy zamku powierzyła Izabella francuskim mistrzom. Ściągnęła do Polski m.in. architekta Maurycego Augusta Ouradou, rzeźbiarza Karola Biberona i malarza Ludwika Breugnot. Elementy wystroju, takie jak marmurowe kominki, obramowania okien i mozaiki, ściągano z Włoch, Francji i Hiszpanii. Używano też powstających na miejscu reprodukcji.

Efekt kilkunastu lat prac – charakterystyczne wysokie, kryte łupkiem dachy, smukłe kominy i wystrój rzeźbiarski typowy dla XVI-wiecznych budowli francuskiego renesansu – zapewne zadowolił księżną Izabellę, która utworzyła Ordynację Książąt Czartoryskich w Gołuchowie. W statucie instytucji wpisano ogólną dostępność zbiorów oraz ich niepodzielność. Podczas drugiej wojny światowej część kolekcji została przez Niemców zrabowana, a część zniszczona. Przetrwała tylko część.

Muzeum Narodowe w Poznaniu, które przejęło zamek w 1951 r., doposażyło go nowymi zbiorami, m.in. gobelinami, renesansowym malarstwem europejskim, rzadkimi meblami, kolekcją rzemiosła artystycznego. Z kolekcji Izabelli pozostała część dawnego zbioru waz antycznych, obrazy malarzy polskich i zachodnioeuropejskich oraz niektóre meble z dawnego wyposażenia zamku.

Zamek otoczony jest założonym w stylu angielskim w drugiej połowie XIX w. 158-hektarowym parkiem-arboretum, jednym z najstarszych i największych arboretów w Polsce.

ZAMEK KSIĄŻ

Trzeci co do wielkości zespół zamkowy w Polsce, owiany tajemnicami Książ, to jeden z najchętniej odwiedzanych zamków w naszym kraju. Malowniczo położony nad rzeką Pełcznicą na terenie Książańskiego Parku Krajobrazowego, okazałych rozmiarów (ponad 400 komnat), posiadający imponujące tarasy zamek jest bezapelacyjnie także jednym z najpiękniejszych.

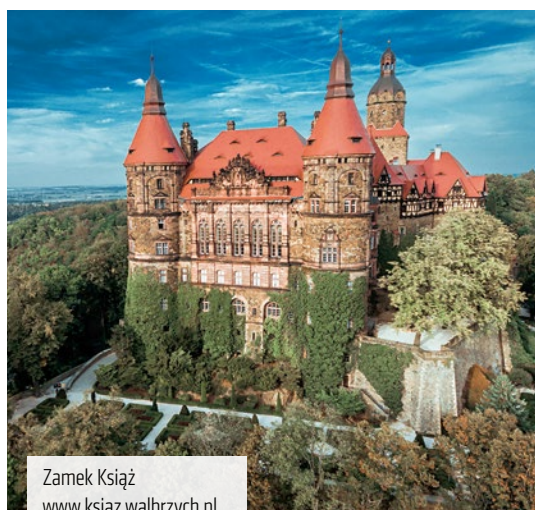
Historia zamku Książ rozpoczyna się ok. 1288 r., kiedy to Bolko I Surowy, książę świdnicko-jaworski z linii Piastów, nakazuje wybudować „Klucz do Śląska”. W historii zamku datuje się dwie wielkie rozbudowy – pierwsza (barokowa) rozpoczęła się w 1705 r., druga, w latach 1909–1923, miała przekształcić Książ w okazałą rezydencję magnacką. Zamek był kilkakrotnie częściowo niszczone i pldrowany.

Zwiedzać można niewielką część zespołu zamkowego, w tym znajdujący się w centralnej części zamek piastowski. Jednak turyści nie przyjeżdżają tu wyłącznie podziwiać, ale przede wszystkim słuchać o tajemnicach zamku i okolicy. A te wiążą się zwłaszcza z działaniami hitlerowców podczas drugiej wojny światowej. Niemcy przebudowywali zamek, prawdopodobnie szykując tu jedną z kwater głównych Adolfa Hitlera. Przekształcanie zabytkowych wnętrz na potrzeby wodza III Rzeszy było na tyle poważne, że nazywa się je trzecią przebudową zamku, jednak ze względu na ich barbarzyński charakter nie określa się tej przebudowy „wielką”.

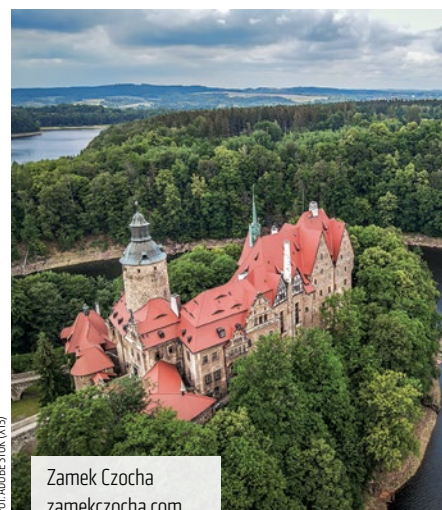
Wyobraźnię zwiedzających bardziej jednak rozpala to, co powstało w tym czasie pod ziemią. Na dwóch poziomach – 15 m



Zamek w Gołuchowie
mnp.art.pl/oddziały/muzeum-zamek-w-goluchowie



Zamek Książ
www.ksiaz.walbrzych.pl



Zamek Czocha
zamekczocho.com

■ i 50 m – rękoma więźniów z obozu koncentracyjnego Gross-Rosen Niemcy drążyli pod zamkiem ogromne tunele, stanowiące część budowanego w Górach Sowich kompleksu Riese. Do dziś przeznaczenie kompleksu owiane jest mgłą tajemnicy, co tylko podsyca zainteresowanie turystów.

ZAMEK CZOCHA

Swoje tajemnice z czasów drugiej wojny światowej kryje i zamek Czocha w miejscowości Sucha nad Zalewem Leśniańskim w polskiej części Łużyc Górnych. Choć brak na to jednoznacznych dowodów, przyjmuje się, że w czasie wojny Niemcy urządzili tu szkołę szyfrantów Abwehry. Niepotwierdzone, ale wysuwane są też teorie, że w zamku Niemcy prowadzili badania nad rakietami V-1 i V-2, bronią uranową lub nowoczesnymi silnikami rakietowymi. Nadzorować miał je Wernher von Braun, który po kapitulacji III Rzeszy pracował dla Amerykanów, był pionierem podboju kosmosu, czołowym współtwórcą programu kosmicznego Stanów Zjednoczonych. Po wojnie, w roku 1952, zamek zniknął z map. To dlatego, że urządzono tam Wojskowy Dom Wczasowy i z tego powodu budowla miała charakter utajniony. Na szczęście zarządzana dziś przez spółkę należącą do Agencji Mienia Wojskowego Czocha, wróciła na mapy i otwarto ją dla turystów.

Warownia na pograniczu śląsko-łużyckim powstała z rozkazu króla czeskiego Wacława I Przemysłydy. Gotyckie zamczysko przebudowywano w stylu renesansowym i neogotyckim. Do dziś zachowały się podzamcze, most, pałac zamkowy z wieżą, dziedziniec wewnętrzny, międzymurze z gankami obronnymi oraz basteje.

Czocha skrywa w sobie więcej tajemnic niż te z historii najnowszej. Odnaleziono

w nim kilkanaście ukrytych przejść, jedno z nich prowadzące do skarbcza, który zresztą można zwiedzać. Źródła mówią o istniejącym, ale odciętym od reszty zamku, prawdopodobnie od czasów PRL, podziemnym labiryncie o łącznej powierzchni ok. 3700 mkw. Zwiedzając zamek w obecności przewodnika, można poznać inne tajemnice Czochy, w tym upiorną legendę o zamurowaniu w kominku Sali Marmurowej kilkudniowego niemowlęcia. O okrucieństwie dawnych mieszkańców tego

miejsca może świadczyć i historia o tym, że pod łóżem małżeńskim w Komnacie Księżęcej ponoć znajdowała się zapadnia, która była szybką drogą z ciepłego łóża do zimnego lochu.

Zamek Czocha to jak na polskie warunki prawdziwa gwiazda filmowa. Przyjeżdżały tu ekipy filmowe (m.in. „Gdzie jest generał?”, „Dolina szczęścia”, „Wiedźmin”, „Fabryka zła”) i serialowe (m.in. „Tajemnica twierdzy szyfrów”, „Święta wojna”, „Pierwsza miłość”).

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



1. Zamek w Malborku
2. Zamek Królewski w Warszawie
3. Zamek Krzyżtopór w Ujeździe
4. Zamek w Łańcutie
5. Zamek w Krasie
6. Zamek Dunajec w Niedzicy
7. Zamek Królewski na Wawelu
8. Zamek Pieskowa Skała
9. Zamek Ogrodzieniec
10. Zamek w Będzinie
11. Zamek w Gołuchowie
12. Zamek Książ
13. Zamek Czocha

Piękno i moc jadą w parze



SIMPLY

SAFELY

FOR LESS



Rentis
Smart way to rent a car

+48 720 200 500

www.rentis.pl

info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 307 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307



Wojciech Cejrowski

Preria w Arizonie. Siedzimy w naszej kowbojskiej knajpie. Posłuchajcie...

Ed się po prostu ze mnie śmiał. Ale jak!!! Już z dziesięć minut, kolejnymi falami. Gdy usłyszał moją historię, najpierw prychnął orzeszkami, które właśnie pogryzał. Prychnął w przestrzeń za barem i rechał potem długo na całe gardło w czasie, gdy barman przynosił szczotkę, szmatę i mop.

Ostatecznie wszyscy się wyśmiali, barman posprzątał orzeszki i odłożył mop, a ja uznałem, że moje ponizienie dobiegło końca.

Ale potem Ed dostał drugiego ataku śmiechu. Niespodziewanie. Już myślał (sam o sobie), że się wyśmiał do końca, więc wziął do buzi krakersy i wtedy: bum! – druga niepowstrzymana fala śmiechu. Na połykanie krakersów było za późno, a miał ich pełną gębę... Poleciały w powietrze nad naszymi głowami. Wszyscy oprócz mnie siedzieli w kape-luszach, więc nic im to. Mnie... barman podał bez słowa czystą ścierkę, żebym się jakoś ogarnął.

– Nie przejmuj się, gringo. Na tej twojej koszuli i tak nie widać, co jest napaćkane fabrycznie, a co z krakersów – powiedział i wrócił na zaplecze po szczotkę, szmatę i mop do sprzątania krakersów.

Ed śmiał się jeszcze długo, w zasadzie do końca wieczoru. Parskał, prychnął i aż mu bąble z nosa szły.

A co się stało? Dlaczego się tak ze mnie śmiał?

Nic wielkiego. Przyszedłem do knajpy lekko... podziobany.

Jeff i Ed siedzieli na swoich stałych miejscach i na początku niczego nie zauważyli, bo oni na mnie nie patrzą, gdy podchodzę. Oglądają świat za swoimi plecami poprzez stare lustro wiszące za barem. Niewiele widać, bo to jest bardzo stare lustro i klasyczne barowe, czyli przed tym lustrem są półeczki, na któ-



FOT. WOJCIECH CEJROWSKI

Rura os (stara

rych stoją flaszeczki i coś tam widzisz pomiędzy nimi, ale niewiele. Widać ogólnie sylwetkę, ale tego, co miałem na twarzy i głowie, nie widzieli. Albo myśleli, że to odpryski na szkło, a nie bezpośrednio na mojej gębie.

Podszedłem więc jak zawsze, siadłem na moim stołku, a oni przywitali się ze mną pomrukami, bez odwracania głów.

– Co tam, gringo? – pyta Jeff po chwili.

– A nic.

– To w zasadzie dobrze, że nic. Na rancho zawsze najlepiej, gdy się nie dzieje nic.

– A co tam u ciebie, Jeff?

– U mnie też nic.

– To dobrze. Cieszę się.

– Cieszysz się z mojego nieszczęścia, gringo?

– Z jakiego nieszczęścia? Przecież powiedziałeś, że nic się nie dzieje.

– No właśnie! I to jest moje nieszczęście.

– Jeff...

– Tak, gringo? Pytaj. Zawsze głupio pytasz o rzeczy najprostsze. A to już tyle lat wspólnego siedzenia na tych stołkach. Tyle lat, a ty ciągle głupio pytasz. Eh.

– Dobra, to zapytam Eda. Ed...

– Tak, gringo? Pytaj – odezwał się Ed po raz pierwszy.

– No więc słuchaj, Ed. Przed chwilą Jeff stwierdził, że to DOBRZE, że u mnie się nic nie dzieje, „bo na rancho zawsze najlepiej, gdy się nie dzieje nic”.

– Hm. Prawda.

– Ale gdy ja się ucieszyłem, że u niego też nic się nie dzieje, to on ma do mnie pretensję, że się „cieszę z jego nieszczęścia”. Nie rozumiem.

– Jeff ma krowy, prawda?

– Ma. Wszyscy mamy krowy: on ma, ty masz, mam ja i nawet barman ma.

– Tak, ale! Wszystkim innym już się krowy wycieliły, a u Jeffa nic.

– Aaaa... – zrozumiałem wreszcie.

– Już dwa tygodnie po terminie, a u Jeffa nic się nie dzieje i w tym przypadku to nie jest dobrze. Powinieneś wiedzieć takie rzeczy, gringo.

– I być trochę bardziej delikatny, gdy kumpel w nieszczęściu – wtrącił się barman.

– I współczujący – dobił mnie Jeff.

– Jeff! I w ogóle wy wszyscy tutaj, a skąd ja niby mam wiedzieć, że krowy się komuś nie ciela?

– Wszyscy wiedzą. Tylko ty jeden jakoś nie wiesz, gringo.

– Jak mam wiedzieć, skoro mi nikt nie powiedział?!

– Takie rzeczy się po prostu wie i tyle.

– Ale skąd „się wie”? I dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

– Bo o takich rzeczach nie wypada rozmawiać.

– Skąd mam się kiedykolwiek dowiedzieć czegokolwiek, skoro nikt o tym nie rozmawia?

– Nie wiem, gringo, skąd, ale jakoś wszyscy inni wiedzą, a tylko ty jeden nie. I właśnie to nas boli. Nie jesteś wystarczająco współczujący, ot co.

– Jestem współczujący!!! I przecież mi teraz przykro, że u niego się nic nie dzieje i krowy mu się nie ciela, ale skąd ja miałem o tym wiedzieć, zanim mi powiedzieliście?!

– Gringo, gdybyś był rzeczywiście „współ-czujący”, tobyś wiedział bez



rura)

mówienia, co się tu dzieje w naszej wspólnocie.

– Skąd niby?
– Byś wyczuł. Wszyscy inni wyczuli i wiedzą, a ty ciągle jeszcze, po tylu latach naszej bezskutecznej ciężkiej nauki, nie nauczyłeś się wyczuwać. Nie masz w sobie tej... delikatności. I ja już nie wiem, czy kiedykolwiek nabędziesz.

– Nabędę! I bardzo mi przykro, Jeff, że twoje krowy się nie wycieliły – poklepałem go współczująco po plecach.

– Gringo...

– Tak, Jeff?

– Ile razy ja ci mam powtarzać, żebyś nie klepał ludzi po plecach, gdy piją piwo. Znowu się przez ciebie oblałem.

W tym momencie po raz pierwszy spojrzał na mnie nie przez lustro, ale bezpośrednio i wtedy się zaczęło.

Posłuchajcie...

– A co ty masz na głowie, gringo? – spytał Jeff, kompletnie zapominając o swoich krowach.

– Pokaśały mnie osy.

– Aż tyle? Jedna, dwie, to się zdarza każdemu, ale ty masz podziobany cały łeb i opuchniętą głowę. Nawet nie widać, gdzie masz drugie oko. Coś ty robił? Wdepnąłeś w gniazdo?

– Nieee.

– Wyroili ci się w samochodzie? – spytał Ed.

– Nieee.

– Sprzątałeś szopę? – barman też był zainteresowany.

– Przecież ci tyle razy mówiliśmy, że zanim posprzątasz szopę, to powinienes tam wrzucić kopeć, bo w starych rupieciach zawsze są osy.

– Nieee. Nie sprzątałem szopy.
– To co?
– Mam te zapasowe rury do wiatraka...
– I?
– I mi zawadzały, to chciałem je przełożyć w inne miejsce.
– I?
– I wziąłem rurę, a z tej rury wyleciała na mnie osa.
– I?
– I poszedłem do domu.
– Nooo, gringo, to jesteśmy z ciebie dumni, bo przecież wszyscy na prerii wiedzą, że w starych rurach osy zakładają gniazda i wtedy trzeba uciekać.
– Czeka, Ed. Niech on skończy, bo „wszyscy wiedzą” do niego nigdy nie pasuje. Więc co było dalej, gringo? Zobaczyłeś tę pierwszą osę, odłożyłeś grzecznie rurę i poszedłeś do domu, tak?

– Tak.

– I co było potem?

– Potem wróciłem ze sprejem na osy.

– I? – Ed zaczął lekko chichotać.

– I... Popsiukałem te wszystkie stare rury, najpierw z jednej strony... a potem już nie zdążyłem popsikać z drugiej.

W tym momencie Ed prychnął orzeszkami w przestrzeń za barem i zaczął rechotać na całe gardło, aż mu bąble z nosa szły.

OCIELENIE

Dnia następnego pojechałem na rancho Jeffa. Było tak:

– Jeff, uwierz mi, to pomoże i jutro ci się wszystkie wycielą.

– Albo się pozabijają z tymi wielkimi brzuchami.

– A masz coś do stracenia? Jeżeli się nie ocielą, to i tak pozdychają od przenoszonej ciąży.

– Właściwie masz rację, gringo.

Zamknęliśmy wszystkie jego cielne krowy w ciasnym corralu. Potem przegnaliśmy resztę stada za małą górkę. Krowy się słyszały nawzajem, ale nie mogły do siebie dojść, a stado nie lubi być podzielone...

Następnie wyrwaliśmy jedną deskę z ogrodzenia w taki sposób, by krowa mogła przeskoczyć, pod warunkiem że nie ma cielaka w brzuchu. I tak je zostawiliśmy na noc. Wyły, chciały wyjść, a nie mogły.

Albo się w tej sytuacji ocielą, żeby przeskoczyć płot i dołączyć do stada, albo... Albo nie. Ale co mieliśmy do stracenia w sytuacji, gdy i tak wszystko było stracone?

Kolejnego dnia o poranku Jeff przyjechał do mnie, ciągnąc budę do przewozu bydła. Zaparkował, otworzył kłapę i wypuścił ładną krowę z cielęciem. Potem siadł obok mnie na porchu.

Podaliśmy kawę.

Wypił.

Nic nie mówił.

Potem wypił drugą, wstał, uśmiechnął się do mnie z wdzięcznością i powiedział:

– Wycieliły się wszystkie.

– Hm! – uśmiechnąłem się. – I przywiozłeś mi jedną pokazać?

– Jaki głupi byłeś, taki głupi jesteś, gringo. To jest twoje honorarium za dobrą robotę.

– To była przysługa, a nie żadna robota, Jeff.

– To była bardzo dobra ROBOTA, gringo. I nie kłóć się ze mną, bo i tak przegrasz.

– Ale cała krowa z cielęciem to zdecydowanie za dużo. Mogłeś mi przywieźć flaszkę rumu albo nic i też byłoby dobrze.

– Wcale nie za dużo. Tyle chciał weterynarz za sztuczne wywołanie porodu.

– To czemu nie skorzystałeś z weterynarza?

– Ech, gringo, nic nie wiesz. Sztucznie indukowane cielęta są słabsze i potem i tak je szlag trafia albo kojoty, albo sobie złamią nogę. Dobra robota. Dziękuję – klepnąłem mnie w plecy z wdzięcznością i poszedł do samochodu.

– Jeff?! – zawołałem za nim.

– Co?

– Czy mógłbyś mnie nigdy więcej nie klepać po plecach, gdy piję kawę? Ochlałem się.

– Na tej twojej koszuli i tak nie widać, co jest napaćkane fabrycznie, a co od kawy. Kup se kraciastą, jak każdy normalny kowboj.

– Ty mi kup, to może założę, a na razie noszę hawajskie, bo takie mam.

– Nie naciągaj mnie! Dostałeś krowę i cielaka. Starczy.

Pojechał.

A ja zostałem z moją opuchniętą głową. Powinienem tej krowie od razu „przebić numery”, czyli wypalić jej na tyłku mój znak w miejsce znaku Jeffa, ale... znakownica leżała na zapasowych rurach do wiatraka. Będę musiał poczekać na mocny deszcz – wtedy osy nie atakują.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Katarzyna Pinkosz

35-lletni Grzegorz juŹ 16 lat choruje na SM. Ma wlasn firm, jest aktywny, cieszy si ojcostwem. Wszystko dziki skutecznemu leczeniu

Przez pierwsze 10 lat stwardnienie roziane (SM) nie dawao mu si we znaki. Szec lat temu pojawi si silny rzut choroby: problemy z chodzeniem, zaburzenia widzenia. Przyjmowa sterydy, poniewaŹ jednak ich przewleke stosowanie ma powaŹne skutki uboczne, lekarz doradzi przyjmowanie nowoczesnego leku doustnego. – Pocatkowo kupowaem go sam, potem udao mi si dosta do programu lekowego. Efekty s znakomite, czuj si dobrze, w rezonansie magnetycznym nie wida postpu choroby. Choroba si zatrzymaa – opowiada Grzegorz. Stara si Źy tak, jakby choroby nie byo. Pracuje,

Dziki nowym opcjom terapii zmniejszya si liczba osb z SM na rentach; pacjenci pracuj, aktywizuj si. WciŹ jednak jest wiele wyzwa

prowadzi wlasn firm. Jego wspprawnicy nie wiedz nawet, Źe ma SM. – Nie mam potrzeby o tym mow dopty, dopki nie jest zauwaŹalne, Źe na cokolwiek choruj. Kto moŹe pomyle: „Ma SM, moŹe zaraz bdzie inwalid, nie zrealizuje kontraktu”. Bior tabletki, dziaam, Źyj – opowiada. Stara si nie doprowadz do nadwagi, szczepi si przeciw grypie, by unikn ryzyka infekcji, rozchwiania ukadu immunologicznego i przyspieszenia SM. Jest aktywny fizycznie. Nie ma problemu, by doj Chocoowsk do schroniska, i na spacer z dzieckiem czy pojedzi dwie–trzy godziny na rowerze. Mimo SM zdecydowali si z Źon na dziecko. – Ojcostwo daje duŹo radoci, a choroba nie przeszkadza mi by w peni ojcem ani wychowywa dziecko. Samopoczucie i wyniki bada pokazuja, Źe leczenie jest skuteczne. Ciesz si, Źe to leczenie doustne, nie musz jedzi do szpitala na podanie leku czy robi sobie zastrzyki – opowiada.

Bior tabletki, dziaam, Źyj



Z prof. Konradem Rejdakiem, neurologiem rozmawia Katarzyna Pinkosz

Leczenie to inwestycja

KATARZYNA PINKOSZ: Pan Grzegorz od szeciu lat jest leczony terapi tabletkow, prowadzi normalne Źycie, jego otoczenie nawet nie wie, Źe ma SM. Leczenie w pierwszej linii moŹe by tak efektywne? Jakie s dowiadczenia z rzeczywistej praktyki klinicznej efektywnoci stosowania lekw tabletkowych w terapii pierwszego rzutu?

PROF. KONRAD REJDAK: Generalnie w terapii SM liczy si czas i powinno si je rozpoczyna jak najwczejniej. W tym konkretnym przypadku leczenie rozpoczo si z pewnym opnieniem, ale doprowadzio do stabilizacji procesu chorobowego. W wikszoci przypadkw moŹliwe jest osignicie dugiej remisji. KaŹdy pacjent ma swoje preferencje co do formy leczenia, jednak leki w tabletkach s bardzo dobrze akceptowane przez pacjent – a to poprawia rownieŹ poziom stosowania si do zalece i kontynuacj terapii bez przerw, co poprawia efekty leczenia.

SM jest chorob, ktorej wciŹ nie daje si wylicz; jednak moŹliwoci terapii bardzo poprawiy si w ostatnich latach?

Coraz lepiej rozumiemy genez choroby, pojawiaj si teŹ nowe moŹliwoci leczenia. W rzutowo–remisyjnej postaci choroby, w ktorej wystpuj zaostrzenia i remisje, mamy klasyczne leki pierwszej linii, pojawiy si teŹ leki doustne, ktore znaczco poprawiy komfort Źycia pacjent. S teŹ leki drugiej linii, ktore podajemy, gdy wcejniej stosowane przestaj by skuteczne. Nowoci ostatniego czasu s nowe substancje, ktore podaje si w odstpach czasu: raz na miesic, p roku czy raz w roku jak natalizumab, okrelizumab czy kladrybina. Wraz z aktywnoci choroby musimy dobiera leki o silniejszym dziaaniu, by wyumi stan zapalny. Niestety, nie mamy jeszcze lekw naprawczych, odbudowujcych utracone neurony i szlaki neurologiczne.



Zdarzały się przypadki, że przerywały leczenie, jeśli musieli wstrzykiwać lek albo jeździć do szpitala na jego podanie. Możliwość zastosowania doustnej terapii zmienia ich perspektywę. Znam wiele młodych osób, które bardzo się cieszą z możliwości stosowania leku doustnego i uwolnienia się od dyskomfortu związanego z zastrzykami.

Pacjent dobrze leczony ma szansę długie lata normalnie funkcjonować?

Nawet do 10 lat możemy opóźnić objawy postaci wtórnie postępującej. To ogromna korzyść, pacjent może normalnie pracować, funkcjonować.

W tym roku zostały opublikowane wyniki badania TOP-10, przeprowadzonego u chorych z SM leczonych natalizumabem. W badaniu wykazano, że u jednej trzeciej pacjentów zaobserwowano zmniejszenie stopnia niepełnosprawności. Jego stosowanie może cofnąć niepełnosprawność?

To w Polsce lek stosowany w drugiej linii, jeden z najskuteczniejszych w SM. Zmniejsza aktywność zapalną choroby, dzięki temu można obserwować cofnięcie się objawów. Włączenie tego leku jest szczególnie korzystne u osób z dużą aktywnością choroby, które miały jej ciężkie rzuty. Lek skutecznie tłumi proces zapalny. Poprzez skuteczne usunięcie mechanizmów uszkodzenia ułatwiamy proces regeneracji. Stan wielu pacjentów bardzo się poprawia dzięki stosowaniu tego leku.

Czas od wystąpienia pierwszych objawów SM do postawienia diagnozy to w Polsce ok. 7,5 miesiąca, ale u 10 proc. pacjentów nawet dwa lata. Czas od rozpoznania SM do rozpoczęcia leczenia to prawie 15 miesięcy. Na ok. 45 tys. zdiagnozowanych chorych z SM w programach lekowych jest tylko 15 tys. Te liczby pokazują, że wiele jeszcze powinno się zmienić...

Bardzo ważne jest to, żeby leczenie rozpocząć jak najszybciej, gdyż dzięki temu nie dopuszcza się do trwałego uszkodzenia układu nerwowego. Strata czasu oznacza uszkodzenie mózgu. Nie ma możliwości, żeby to odwrócić. Dlatego tak ważne jest też skuteczne leczenie. Pozwala to opóźnić o długie lata fazy progresywne choroby. W Polsce leczymy tylko ok. 30 proc. chorych; w innych krajach – nawet 60 proc. Jednak czas do postawienia diagnozy ostatnio bardzo się skrócił. Problemem jest jednak kwalifikacja i włączenie do

programu leczenia. Tutaj mamy dwie bariery. Pierwsza to sztywne zapisy programów: wielu pacjentów nie spełnia kryteriów kwalifikacji. Tracimy przez to czas i możliwości powstrzymania choroby, gdyż czekamy na jej postęp. Drugą barierą jest zbyt mała ilość środków z NFZ na leczenie. Są miejsca w Polsce, gdzie pacjenci w miarę płynnie uzyskują możliwości leczenia, niestety, w niektórych miejscach muszą czekać.

Co jeszcze powinno się zmienić, jeśli chodzi o leczenie SM w Polsce?

W ostatnich latach w Polsce nastąpiła bardzo duża poprawa, jeśli chodzi o dostępność terapii, pojawiły się leki, które długo czekały na refundację. Cieszymy się z dobrego dialogu z Ministerstwem Zdrowia. Polska awansowała w statystykach dotyczących poziomu opieki nad chorymi w SM: jesteśmy obecnie w środku Europy. Dzięki nowym opcjom terapii, dostępowi do nowoczesnych leków zmniejszyła się liczba osób z SM przebywających na rentach, pacjenci pracują, aktywizują się dzięki dobrej opiece i dostępności do leczenia. Są jednak też wyzwania. Konieczne jest złagodzenie zapisów programu, żeby więcej pacjentów wcześniej mogło być kwalifikowanych do leczenia, poprawa budżetowania programów lekowych, by nie doprowadzać do zadłużenia szpitali, poprawa wyceny pracy lekarzy.

Dzięki bardzo skutecznym lekom pierwszej i drugiej linii zmniejszyła się liczba chorych będących na rentach, otrzymujących zasiłki z ZUS. Widać opłacalność skutecznego leczenia?

Tak, to inwestycja długoterminowa. Z raportu opublikowanego na łamach pisma „Lancet” wynika, że w ciągu 15–20 lat śmiertelność z powodu SM spadła o 35 proc. w naszym kraju, co jest zbieżne z danymi z innych państw rozwiniętych gospodarczo. Ratujemy życie chorych, musimy jednak tak zmienić opiekę i leczenie, by pacjent mógł pracować i normalnie funkcjonować.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wciąż dużym problemem są też postaci postępujące SM. Dopiero niedawno pojawiły się pierwsze leki, które są nadzieją dla chorych z tą postacią choroby.

U każdego przebiega ona inaczej?

Ma tysiąc twarzy. Każdy pacjent choruje inaczej. Dlatego potrzebnych jest wiele leków, by dobierać je do pacjentów.

Jak ocenia pan dostęp do leków włączanych na początku, tzw. pierwszej linii?

To grupa leków o dość dobrym profilu skuteczności i bezpieczeństwa. Nie mają poważnych działań niepożądanych. Dobrze sprawdzają się u osób, które nie mają bardzo aktywnej postaci choroby ani nie wymagają agresywniejszego leczenia. Bardzo „przyjazne” dla pacjentów są leki doustne: fumaran dimetylu i teriflunomid. Szczególnie ten pierwszy wykazuje się dużą skutecznością. Jego skuteczność w hamowaniu stopnia niepełnosprawności jest potwierdzona klinicznie i radiologicznie. Około 50 proc. pacjentów zakwalifikowanych do programu lekowego w pierwszej linii terapii go otrzymuje, co wiele mówi zarówno o jego skuteczności, jak i o preferencjach pacjentów. Leki doustne cenią zwłaszcza osoby młode, a ta choroba często dotyka właśnie ich.



prof. Konrad Rejdak kieruje Kliniką Neurologii Szpitala Klinicznego nr 4 Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, jest prezesem-elektem Polskiego Towarzystwa Neurologicznego.

TEST „DO RZECZY”: MOTOROLA EDGE

Ladny, zakrzywiony wyświetlacz, intrygujące wzornictwo, świetna bateria oraz obsługa łączności 5G – to największe zalety średniaka z ambicjami flagowca, który niedawno na rynek wypuściła Motorola.

Jedną z największych zalet testowanego modelu w ofercie Motoroli jest wygląd. Zakrzywiony wyświetlacz OLED o przekątnej 6,7 cala, odświeżaniu ekranu 90 Hz i rozdzielczości 2340 na 1080 pikseli (Full HD+) jest naprawdę intrygujący. Animowane morskie fale przelewające się na tapecie smartfona budzą uśmiech za każdym razem, gdy się na nie spojrzy. Dobrze wyglądają też plastikowe plecki, które w udany sposób imitują szkło.

Sercem Edge'a jest procesor Qualcomm Snapdragon 765G, który współpracuje z 6 GB pamięci RAM (nieźle, choć flagowiec mógłby mieć 8 GB pamięci RAM). Na dane producent przewidział 128 GB. Takie parametry sprawiają, że urządzenie jest wystarczająco wydajne nawet dla graczy, choć i tak z tegorocznymi flagowcami konkurencji nie ma większych szans. Dużą zaletą tego modelu Motoroli jest jednak obsługa superszybkiej łączności 5G.

Dużym plusem jest też bateria o pojemności 4500 mAh, co pozwala na intensywną pracę przez praktycznie cały dzień lub na mniej więcej dwa dni standardowego użytkowania bez konieczności szukania gniazdka. Szkoda jednak, że flagowy model Motoroli nie obsługuje

ładowania bezprzewodowego oraz naprawdę szybkiego ładowania.

Nieźle sprawdza się również optyczny czytnik linii papilarnych. Po stronie plusów zapisać też można radio FM, zaskakująco dobre głośniczki stereo, gniazdo jack audio 3,5 mm oraz podwójny slot na karty (2x nanoSIM lub nanoSIM + microSD).

Wady? Pierwsza – choć Edge ma na tylnej klapie ukryte aż cztery obiektywy (główny o rozdzielczości 64 MP z obiektywem o przysłonie f/1,8, ultraszerokokątny z matrycą 16 MP, te-

leobiektyw oraz sensor głębi ToF), to za niemal 3 tys. zł można na rynku znaleźć modele, które robią lepsze zdjęcia. W przypadku Edge'a bardzo dobre są zarówno naturalne kolory, jak i wysoki kontrast. Oprogramowanie dość często przeświecila, a także zbyt mocno wyostrza, przez co po przybliżeniu obrazu widać zbyt wiele brudów nawet na fotografiach robionych przy dobrym oświetleniu. W ujęciach po zmroku szpecące

ziarno jest jeszcze bardziej widoczne. Niczego dobrego nie mogę też napisać o jakości fotografii wykonanych teleobiektywem. Na pochwałę zasługują za to tryb makro oraz tryb profesjonalny, który daje możliwość zapisu plików w formacie RAW.

Drugą ważną wadą: smartfon nie ma ratingu IP. Co prawda został pokryty powłoką hydrofobową, ale wodoszczelny nie jest.

Przetrwia więc na deszczu, ale podczas zdjęć przy basenie trzeba być bardzo ostrożnym. Poza tym niektórym zakrzywiony wyświetlacz, gdy minie pierwsze wrażenie „wow”, w codziennym użytkowaniu może zacząć się wydawać się nieco... zbyt zakrzywiony.

Mimo tych minusów model Edge to zdecydowanie najlepszy smartfon w ofercie Motoroli, który jest przyjemny w użytkowaniu i oferuje dobry stosunek jakości do ceny. Kilka tygodni po premierze trzeba za niego zapłacić 2718 zł. ©©

Jacek Przybylski



SKŁADANY E-ROWER

W czasach pandemii lepiej unikać zatłoczonych autobusów i tramwajów. W zakorkowanych centrach miast najszybciej można się poruszać rowerami. Fiido D11 to model elektryczny. Akumulator o pojemności 11,6 mAh, który napędza bezszczotkowy silnik o mocy 250 W, pozwala na pokonanie bez konieczności pedalowania ponoć nawet 100 km. Dodatkowe zalety to niewielka waga (12,9 kg) oraz możliwość szybkiego złożenia i wrzucenia do bagażnika samochodowego. Użyteczny może być też zamontowany przy kierownicy ekran LCD, pokazujący stan naładowania baterii, prędkość etc. Fiido D11 jest do kupienia na portalu Indiegogo. Cena: ok. 3,5 tys. zł. Dostawa planowana już w sierpniu.



NIE TYLKO DLA KOMPOZYTORÓW

TheoryBoard Thy333 to kontroler MIDI – czyli urządzenie z klawiaturą syntezatorową – który ułatwia zamianę domowego garażu we własne nowoczesne studio nagrań. Gadżet wymyślony przez mały start-up z Kalifornii, wykorzystując różne kolory, ułatwia naukę grania za pomocą kontrolera, a także komponowania własnych utworów. Poprzez przyciśnięcie jednego przycisku można odtwarzać nawet trzy różne dźwięki jednocześnie. Według producenta użytkownik ma do wyboru 840 skal i 1,981 mld kombinacji różnego rodzaju nut i akordów. TheoryBoard Thy333 można zamawiać na Kickstarterze. Cena: 499 dol. (1955 zł). Pierwsze dostawy planowane są na grudzień. ©©



Jacek Przybylski

ZAKWAS NA ZALEWAJKĘ MICHAŁA WIŚNIEWSKIEGO

Zalewajka to świetna zupa – bardzo pożywna, można do niej wrzucić niemal wszystko, więc zagospodarowuje resztki np. boczku czy kiełbasy, które mogłyby się zmarnować. Przyzwyczailiśmy się jednak do tego, żeby iść na łatwiznę i kupować gotowy zakwas. Dawniej w warzywniakach można było nabrać dobrego, robionego na miejscu zakwasu, ale dziś jest to praktycznie awykonalne, więc kupujemy taki produkowany przemysłowo i zamykany w plastikowych czy szklanych butelkach. Ja namawiam państwa, żeby zacząć



robić zakwas samemu. Proszę mi wierzyć, że taka zalewajka będzie smakować o niebo lepiej.

Składniki:

- 2 szklanki żytniej mąki
- 2 l wody
- 4 ząbki czosnku
- 6–8 ziaren ziela angielskie
- 1–2 liście laurowe
- pieprz w ziarnach
- kminek
- skórka z chleba razowego

Przygotowanie:

Żeby robić zakwas, musimy mieć gliniankę – kupimy ją w prawie każdym supermarkecie. Możemy jej później używać do kwaszenia innych rzeczy, np. buraków. Do glinianki wlewam połowę wody i mąkę (ja używam mąki orkiszowej, ale może to być zwykła mąka żytnia). Dodaję zgnieciony czosnek, 1–2 listki laurowe i 6–8 ziaren ziela angielskiego, kilka ziaren pieprzu oraz kminek. Do tego dodaję skórę z chleba razowego. Przykrywam to bawełnianą ściereczką i odstawiam na kilka dni. U mnie taki zakwas robi się tydzień, ale to nie jest reguła. Codziennie go mieszam, żeby zapobiec pojawieniu się pleśni, i sprawdzam, czy jest już gotowy.

Na koniec zlewam zakwas do słoików, precedzam, ale tak, żeby została w nim mąka (lubię gęste zupy). Zakwas z dwóch litrów wody wystarczy nam na kilka obiadów. W lodówce może stać nawet do trzech miesięcy. ©©

oprac. raw

Michał Wiśniewski jest wokalistą, założycielem i liderem grupy Ich Troje.

REKLAMA

Pobyty w Ciechocinku „Pod Tężniami” z zabiegami

**Posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu**

- wstęp do zespołu basenów do 90 minut dziennie
- basen zewnętrzny oraz wewnętrzny z atrakcjami
- oraz sauna fińska i sucha parowa.
- wstęp na imprezy kulturalne - rozrywkowe pod chmurką

**Pobyt leczniczy w terminie: 26.07 - 27.09.2020 r.
W ofercie również POBYTY WYPOCZYNKOWE**



www.podtezniami.pl

tel. 54 416 70 00

Klinika Uzdrawiskowa „Pod Tężniami”, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek

RYCERZE I WARCHOŁY

Pasibrzuchy bp. Czartoryskiego



JACEK KOMUDA

Biskup poznański Teodor Czartoryski, urodzony w 1704 r., jest do dziś mniej znanym członkiem stronnictwa politycznego Familii, ustępując za życia miejsca braciom – Michałowi Fryderykowi i Augustowi Aleksandrowi. Przeznaczony do stanu duchownego, już w wieku 13 lat został kanonikiem krakowskim. Dzięki staraniom rodziny jego kariera toczyła się gładko: w 1727 r. uzyskał święcenia, wkrótce został opatem benedyktynów w Lubiniu, w 1738 r. zaś biskupem poznańskim. Na godność arcybiskupią nie zgodził się dwór Augusta III Sasa, obawiając się zbyt dużego wzmocnienia rodu Czartoryskich.

Biskup poznański, usposobienia miłego, z natury był pocziwym i oświeconym (na sposób staropolski) człowiekiem. Dobry gospodarz, tolerancyjny, nie wierzył w magię i czary, a jego działalność polityczna stała się przyczyną powstania licznych anegdot. Jedną z nich związana jest z sejmem konwokacyjnym w 1764 r., kiedy stronnictwu Familii udało się zająć dominującą pozycję w Rzeczypospolitej. W czasie obrad, słuchając mowy biskupa wileńskiego Ignacego Massalskiego, przyszłego zdrajcy i targowiczanina, Teodor Czartoryski niespodziewanie zasnął i upadł na przemawiającego, co wywołało powszechny śmiech i zniweczyło cały efekt przemowy.

Prywatnie biskup był zamożnym i łaskawym panem. Wyjątkową sławą cieszył się w połowie XVIII w. jego ogromny dwór, ulokowany w pałacu w Ciężeniu, w Wielkopolsce, istniejący do dziś. Książę biskup utrzymywał nadworne oddziały wojskowe, wyborną kapelę, która przynajmniej dwa razy w tygodniu dawała koncerty – zwykle w czasie potężnych biesiad i tańców. Jak pisał Jędrzej Kitowicz: „Dworzanie tak respektowi, jako też służący nie mieli żadnej powinności, jak tylko usiąść do stołu i najadłszy się bawić,



FOT. WIKIPEDIA

czyż się któremu żywnie podobą. Zapłata, obroki, piwo, drwa, wszystko to punktualnie każdego, od największego do najmniejszego dochodziło; miał w tym ten pan osobliwe jakieś upodobanie żywić ludzi, nie patrząc na nich”.

Odziwo, sam biskup żył skromnie i wcale nie w Ciężeniu, ale w Dolsku, odległym o jakieś siedem mil. Miał przy sobie jednego dworzanina, dwóch lokajów, hajduków i strzelca, a także jednego kucharza i kuchnię. Jeśli potrzebował wydać ucztę i podjąć znacznego gościa, wzywał do Dolska swój dwór z Ciężenia i po odbytych bankietach kazał mu powrócić na miejsce. W całej okazałości prezentował go książę biskup przede wszystkim w Warszawie, gdzie jeździł na sejmy, elekcje i inne ważne wydarzenia. Czartoryski miał tak wiele służby, że podróż zaczynała się na długo przed przyjazdem biskupa. Najpierw trzy tygodnie wcześniej wyruszał do stolicy z Ciężenia cały dwór, który powoli, w karetach ciągnął do Warszawy. Sam biskup jechał osobno z jedną kareta i kuchennym wozem. Zwykle też przybywał wcześniej niż jego ludzie. Po odbytej ceremonii i załatwieniu wszystkich spraw najpierw wyjeżdżał z malutkim orszakiem Czartoryski, a dopiero trzy tygodnie po nim ciągnęła z powrotem ogromna hałastra

dworzan i ich sług. Obyczaje biskupa poznańskiego wydawały się współczesnym co najmniej dziwne, gdyż zwykle magnaci wyruszały w podróż na czele ogromnego dworu, ciągnąc całymi tygodniami przez Polskę i Litwę na czele niekończących się orszaków jeźdźców i kolumn wozów. Ich wielkość trudno sobie dzisiaj wyobrazić. Tak np. Jerzy Flemming, podskarbi wielki litewski, utrzymywał ponad stu samych tylko dworzan respektowych, których wyłącznym zadaniem było towarzyszenie panu w podróży, na ucztach i spotkaniach towarzyskich. Ponieważ każdy z nich utrzymywał własnych służących, pacholków i masztalerzy, ich liczbę należałoby pomnożyć przynajmniej przez trzy, czym otrzymywało się ogromne liczby utrzymywanych przez magnatów darmożjadów. Dodajmy do tego pokojowych, komorników i wyspecjalizowaną czeladź dworską magnata, czyli kucharzy, stangretów, woźniców, pasztetników, strzelców, praczki, Murzynów, Turków, Tatarów, sabatów i wszystkich pozostałych dworzan, aby uświadomić sobie, że podróż magnackiego orszaku oznaczała w dawnych czasach klęskę równą przemarszowi wojska. „Kiedy taki pan ciągnął w drogę – pisał Kitowicz – wszędzie za nim po karczmach i wsiach pełno było narzekania i przekleństw, tym więcej, im z większą wólką się czereda. [...] Ci rycerze głodni na każdym popasie i noclegu najpierwszą potyczkę odpawali z wiejskimi kokoszami, łapiąc i zjadając niepłatnie, gdzie im się jaki drób nawinął; a potem ulokowawszy się w karczmie lub gdy tam ciasno było; po chałupach wiejskich; kazali sobie szafować suto dla koni siana i owsa”.

Biskupa Teodora Czartoryskiego, który gdy tylko mógł, wyprawał się w drogę z nielicznym poczetem, nie musimy na szczęście rachować w poczet ciemniejszych chłopów i poddanych. ©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Tragedia nie taka tragiczna

Kurz wyborczy powoli opada. Trudno na razie ocenić, jak wielu „znanych ludzi” wyjdzie z Polski i ile kontraktów z firmami z Podkarpacia zostanie zerwanych. Poranieni wyborami przestają jęczeć, natomiast do dobrego tonu należy wzdychanie, jak straszliwie podzielona jest nasza Nieszczęsna Ojczyzna.

Otóż, szczerze mówiąc, tak strasznie to znowu podzieliła nie jest. Pewnie, polityka mogłaby mieć nieco więcej sensu, a politycy i dziennikarze mogliby się nieco mniej nienawidzić. Ten podział nie jest jednak jakoś szczególnie tragiczny. W gruncie rzeczy wyraża się głównie w nagłówkach gazet i we wpisach na Facebooku. Faktycznie te wpisy bardzo często są gulgoczące i pogardliwe, ale temperatura realnego życia jest jednak znacznie niższa niż tego w bańkach medialnych.

Ja na przykład egzystuję w ogromnym blocydle, gdzie żyje ładnych parę setek ludzi. Mieszkam tu 20 lat. I nigdy, nawet w najgorętszych okresach wojny polsko-polskiej, ta wojna nie dotarła na korytarze naszego bloku czy do windy, w której spędzam spory kawałek swojego życia. Nikt nigdy w żadnej sytuacji międzyludzkiej nie zająknął się nawet o polityce. Nikt nigdy nie splunął mi pod nogi za to, że pisuję do prasy mającej opinię prawniczej. I nikt nigdy nie wyrwał postępowej sąsiadce „Wyborczej” ani nie ogolił jej za flirtowanie z okupantem.

Inny przykład. Od paru lat udzielam się w rozmaitych

społecznościach rodzicielskich. Przedszkolnych, a potem szkolnych. Siłą rzeczy grupują one ludzi o bardzo różnych poglądach, czasem ostro zarysowanych. Nigdy jednak nie miało to wpływu na działania na rzecz dzieci. Owszem, zdarzyło się, że jedna czy druga osoba wrzucała na klasową grupę historycznego mema czy sensacyjne doniesienia o złodziejstwach Kaczyńskiego, ale reszta rodziców po prostu na to zupełnie nie reagowała, słusznie uznając, że na polityczną agitację są inne miejsca.

I trzeci przykład. Zaraz po wyborach trafił mi się wyjazd wakacyjny w bardzo mieszanym (politycznie) gronie. Były tam osoby, które w kampanii zamieniały swoje profile w platformy propagandowe. I znów – polityka nie pojawiła się w czasie tego wyjazdu. Wszyscy rozumieli – nawet po kielichu – że nie ma sensu się kłócić, bo na wakacjach są przyjemniejsze rzeczy do robienia.

A poza tym, daj Panie Boże takie podziały jak u nas. W Indiach są dwie wrogie sobie religie, niezła mozaika etniczna i system kastowy. To jest podzielone społeczeństwo. W USA – jak widać – kwestia rasowa wciąż ma ogromne znaczenie. We Francji zamieszki to codzienność. Od Wielkiej Brytanii chce się oddzielić Szkocja, a w Irlandii Północnej jeszcze kilkadziesiąt lat temu sąsiedzi podpalali sobie domy. Tę listę można by ciągnąć, a jeszcze nie dotarliśmy do Afryki. Więc nie przesadzajmy z tą tragedią. ©©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Budżet Schrödingera

Szef RE: Praworządność powiązana z budżetem Unii” kontra „Premier: Nie ma uzależnienia środków unijnych od praworządności”. Tak wyglądały dwa paski w dwóch największych telewizjach informacyjnych w Polsce w tym samym momencie – we wtorkowy poranek, gdy Mateusz Morawiecki ogłaszał efekty trwającego cztery dni szczytu unijnego. Ktoś może powiedzieć: nie pierwszy raz TVN i TVP Info znacząco rozmięły się w rozkładaniu akcentów, po czym wzruszyć ramionami. Problem polega jednak na tym, że często nawet tego nie widząc, przynajmniej od kilku lat żyjemy w świecie, w którym różne media nie tyle inaczej interpretują fakty, ile posługują się swoimi – wzajemnie się wykluczającymi – zestawami faktów.

I to jest właśnie, proszę państwa, postprawda w praktyce. Wybieramy wersję świata, która jest bliższa naszej ideowej strefie komfortu, a nie tę, która jest złożona, niejednoznaczna, wymagająca realnego wysiłku, porównania wydarzeń i samodzielnego wyciągnięcia z nich wniosków. Nie jest przecież tak, że żadnej obiektywnej rzeczywistości nie ma, istnieje tylko postmodernistyczna wielość prawd. Budżet unijny nie może przecież – jak kot Schrödingera – być i nie być powiązany z praworządnością w tym samym momencie. Z czym mamy zatem do czynienia?

Z sytuacją, w której owszem, do konkluzji szczytu unijnego po burzliwych negocjacjach wpisano regułę wi-

ążącą wypłatę środków z procedurą przestrzegania oraz weryfikowania praworządności, ale ujęto ją tak, że nie da się jej wprowadzić w życie bez weta Polski albo jednego z państw, które nie będą zainteresowane możliwym arbitralnym i niekorzystnym dla nich finansowo interpretowaniem „praworządności”. Jednym słowem, zgodzono się na kompromisowy zapis, który przypomina bezzębne rekina. On co prawda wygląda groźnie, ale ugryźć nie może. Rolą mediów nie jest jednak pomijanie albo akcentowanie wyłącznie owej bezzębności, ale takie sportretowanie sytuacji, w której widzimy jej pełen kontekst – być może niekorzystny dla obydwu stron.

Podobnie wyglądało również opisywanie kwoty, którą udało się wynegocjować z funduszy odbudowy oraz nowej wieloletniej perspektywy finansowej Unii. Usłyszeliśmy bowiem z wielu źródeł, że wywalczone w ubiegłym tygodniu 700 mld zł jest gorsze od 440 mld z poprzedniej perspektywy, bo wtedy to było 10 proc. unijnego budżetu, a dzisiaj 8,5 proc. Cała sytuacja przypomina logikę w stylu: bardziej sycący jest większy kawałek mniejszego tortu niż nieco mniejszy znacznie większego. A ja do znudzenia będę przypominał, że aby zrozumieć, co jemy i w jakim świecie żyjemy, musimy patrzeć na całe ciasto, na całego rekina i na całe spektrum polityki, którą uprawia się często ponad naszymi głowami. Inaczej nie będziemy mieć żadnych narzędzi, aby tę politykę kontrolować. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Polityczne dzieci”

11 listopada 1916 r. – dwa lata przed symboliczną datą odzyskania przez Polskę niepodległości – urzędujący w Warszawie jako szef niemieckich władz okupacyjnych gen. Hans von Beseler pisał do swojej żony, że jego najważniejszym zadaniem nad Wisłą jest „trzymanie w ryzach i wychowywanie Polaków, tych politycznych dzieci”.

Dwa dni później w kolejnym liście do małżonki rozwijał tę myśl: „Teraz chodzi o to, by ci postrzeleni Polacy rzeczywiście współpracowali! Jednak oni są narodem dzieci i fantastów, podążających za ułudami, a poważne nastawienie państwowe zastępują przez naciągany, zewnętrzny patriotyzm. Przyczyny i logika są dla nich

z Berlinem i Wiedniem. Niemieckiemu dowództwu chodziło przede wszystkim o pozyskanie polskiego mięsa armatniego, czyli kilkusettyśięcnej (jak oceniano w niemieckim sztabie) armii polskiej, która u boku Niemiec miałaby walczyć przeciw aliantom. Potrzeba była pilna, bo w momencie ogłaszania aktu 5 listopada trwały na froncie zachodnim wyniszczające „bitwy materiałowe”.

Polski rekrut był celem doraźnym. Strategicznym polem działania niemieckiej polityki na ziemiach polskich miała być kultura. Wszak ten krnąbrny naród „politycznych dzieci” trzeba jakoś wychować. W ostatnim roku swojego urzędowania w Warszawie Beseler, przemawiając w kwietniu 1918 r. w niemieckim kasynie oficerskim, urządzonym w pomieszczeniach Zamku Królewskiego, podkreślał, że „będzie dla nas zawsze kwestią o wielkim znaczeniu, abyśmy tutaj, w tym kraju, mieli mnóstwo ludzi, którzy nie tylko czują się Niemcami, ale również nieświadomie przynoszą ze sobą niemiecką kulturę. Polska ziemia ma nieskończenie wiele do zawdzięczenia niemieckości”.

A Polacy, te krnąbrne „polityczne dzieci”, okazali się już parę miesięcy później krzycząc „niewdzięczni”. Motyw „polskiej niewdzięczności” jesienią 1918 r. pojawiał się stale w niemieckiej prasie wszystkich orientacji politycznych – od socjaldemokracji do nacjonalistów.

Minęło ponad sto lat, a sposób pojmowania swojej roli przez niemieckie elity polityczne i kulturalne w relacjach z Polską niewiele się zmienił. Postrzeganie siebie jako wychowawców polskich „politycznych dzieci” pozostało i jest głośno artykułowane.

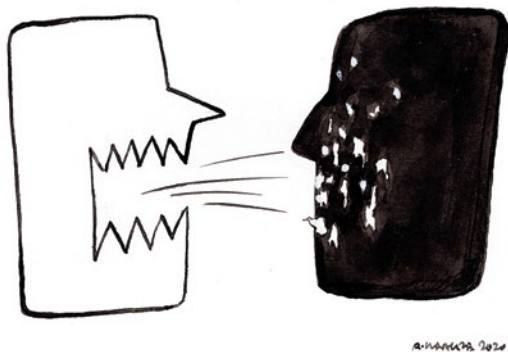
Protekcjonalny ton redaktora naczelnego „Die Welt” wobec urzędującego prezydenta Polski („Musi-

my porozmawiać, Panie Duda”) nie potrzebuje właściwie żadnego komentarza, poza zwróceniem uwagi na to, że mieści się on w długiej niemieckiej tradycji postrzegania stosunków polsko-niemieckich jako relacji niesymetrycznych. Z jednej strony są światli Kulturtregerzy wykonujący na „dzikim Wschodzie” trudną „pracę kulturową”. Z drugiej są niesforne „dzieci”, a właściwie dzikusy (już Fryderyk II mówił o „Irokezach nad Wisłą”), czekające na zbawcze oddziaływanie tej wyższej kultury przez duże „K”.

Na naszych oczach spełnia się również życzenie gen. Beselera z 1918 r., by Niemcy miały „w tym kraju” swoją własną agenturę wpływu, określaną sto lat temu mianem ludzi „nieświadomie przynoszących ze sobą niemiecką kulturę”. Nic nie przyszło samo z siebie. Trwająca od ponad 30 lat rozbudowa obecności niemieckiego kapitału w działających na naszym terytorium mediach przekonuje, że strategia „Mitteleuropy” jest wdrażana systematycznie i długofalowo.

W swoim bestsellerze z 1915 r. pod tytułem „Mitteleuropa” właśnie Friedrich Naumann pisał, że naczelnym celem niemieckiej polityki po wielkiej wojnie nie może być brutalna germanizacja, ale raczej ukształtowanie „środkowoeuropejskiego typu człowieka”, uformowanego według wzorców niemieckiej kultury. Jej częścią jest zaś „niemiecki typ gospodarczy”, który powinien dominować między Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem Czarnym. Polacy mogą mieć swoje urzędy, uniwersytety, a nawet państwo. Jednak świat pojęć całej Mitteleuropy mieli kształtować wychowawcy „politycznych dzieci” wychowani na Kancie i Heglu.

Nie wiem, czy ktoś w Urzędzie Kancelarskim czyta „Mitteleuropę”, ale jedno jest pewne – polska edycja książki F. Naumanna jest pilnie potrzebna. ©



RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

czymś okropnym. Zachwycają się przemówieniami i po części ładnymi piosenkami”.

Niemiecki generał pisał te słowa w prywatnej korespondencji, a więc wyrażał się szczerze. Nie bez znaczenia był moment, w którym Beseler zdobył się na te wynurzenia. 5 listopada 1916 r. Niemcy i Austro-Węgry ogłosiły na mocy aktu dwóch cesarzy powstanie Królestwa Polskiego o bliżej nieokreślonych granicach, ale złączonego „wieczystym sojuszem”

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**DO
RZECZY** TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

RAFAŁ ZIEMKIEWICZ
„CHAM
NIEZBUNTOWANY”

~~342~~ zł



138,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
204 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10, 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Tanku**JEMY** **HOT DOGI** za 1 grosz!

Kupujesz min. 25 l paliwa
oraz kawę i dosta**JESZ**
HOT DOGA za 1 grosz!
Twoje dzieci też!



Promocja trwa od 1.07 do 31.08.2020 lub do odwołania.
Zakup kwalifikowany musi nastąpić przy jednej transakcji.
Do jednej transakcji są wydawane maksymalnie 4 hot dogi
(1 dla kierowcy i maks. 3 dla dzieci) w promocyjnej cenie 1 gr/szt.
Z promocji są wyłączone transakcje z użyciem kart flotowych.
Regulamin i lista stacji biorących udział w promocji na lotos.pl.

grasa.pl 69589069

 **LOTOS**

12 **Polski biznes**
w wodorowej koalicji przyszłości

24 **Własna waluta**
tarczą na trudne czasy

32 **Technologia pędzi,**
ale czy prawo nadąży?

Konserwatywny magazyn ekonomiczno-społeczny

Forum Polskiej gospodarki

Nr 2 (2) lipiec 2020

20 **Podatkowe**
wsparcie
inwestycji

28 **Piąta edycja**
Kongresu 590
pod hasłem
„Wizja
roku 2030”

42 **Polski sposób**
na oczyszczenie
wybrzeża
Bałtyku

Felietony:
Gniadek SVD
Palutkiewicz
Hofman



14 Jak pomóc branży turystycznej wrócić do normalności?



14



24



32

06. POLSKA W WODOROWEJ KOALICJI PRZYSZŁOŚCI

O paliwie przyszłości i programie wodorowym rozmawiamy z Jerzym Kwiecińskim, prezesem Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa.

14. SEKTOR TURYSTYCZNY WOŁA O RATUNEK

– Sam bon nie wystarczy, trzeba nam pomóc również w inny sposób – apelują przedstawiciele branży turystycznej.

18. DOCEŃMY BOGACTWO WŁASNEGO KRAJU

– Jesteśmy przykładem firmy, która zaprzecza pokutującemu stereotypowi, że wakacje w Polsce są nieatrakcyjne i drogie – mówi Michał Król z Elbest Hotels.

20. W TAKIEJ FORMULE ESTOŃSKI CIT TO ZA MAŁO

Efekt inwestycyjny nowego rozwiązania może okazać się nikły w porównaniu z zapowiedziami resortu finansów.

24. WŁASNA WALUTA TARCZĄ NA TRUDNE CZASY

Nie pierwszy raz przekonujemy się, że posiadanie własnej waluty ma ogromne znaczenie dla stabilizowania sytuacji makroekonomicznej.

26. POLSKI WKŁAD W BUDOWĘ GOSPODARKI NISKOEMISYJNEJ

Największe polskie firmy, wspierane przez administrację rządową, przekierowują się na myślenie o ekologicznych źródłach energii.

28. 5. EDYCJA KONGRESU 590 POD HASŁEM „WIZJA ROKU 2030”

O jubileuszowej, piątej edycji Kongresu 590 rozmawiamy z Remigiuszem Kopoczkim, prezesem Kongresu 590.

32. CZY BEZPIECZEŃSTWO ŻYWNOŚCIOWE POLSKI JEST ZAGROŻNE?

Czas pandemii obnażył niewłaściwe kierunki polityki rolnej wielu państw Unii Europejskiej oraz światowych gospodarek rolnych.

34. TECHNOLOGIA PĘDZI, ALE CZY PRAWO NADĄŻA?

Nadchodzi potężna zmiana jakościowa, tymczasem prawnicy nie wiedzą, jakie założenia prawne mają towarzyszyć nowym technologiom?

38. JAK POMÓC GASTRONOMII WYJŚĆ Z KRYZYSU?

Państwo może, a nawet powinno prowadzić racjonalną politykę fiskalną i nie dokładać gastronomii nowych ciężarów.



Forum Polskiej
gospodarki

Wydawca:

Forum Polskiej
Gospodarki Sp. z o.o.
ul. Srebrna 16 lok. 18
00-810 Warszawa

Redaktor zarządzający:

Krzysztof Budka

Zespół redakcyjny:

Robert Azembski, Kamil Goral, Janusz Grobicki, Marek Kutarba, Jacek Podgórski (Instytut Gospodarki Rolnej), Magdalena Rubaj

Felietoniści:

ks. Jacek Gniadek SVD
Piotr Palutkiewicz (Związek Przedsiębiorców i Pracodawców)
Piotr Hofman (Rada Gospodarcza Strefy Wolnego Słowa)

Skład i opracowanie graficzne:

Przemysław Banasiewicz

Korekta:

Anna Zakrzewska

Reklama:

reklama@fpg24.pl

Partner merytoryczny wydania:

Rada Gospodarcza Strefy Wolnego Słowa

Redakcja Forum Polskiej Gospodarki nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń.



Elbest Hotels



**Polskie –
kupuję to!**

RODZINNE LATO W POLSCE

Odbierz 10% rabatu!

Szczegóły oferty znajdziesz na www.elbesthotels.pl/polskie-kupuje-to

Akcja POLSKIE – KUPUJĘ TO! narodziła się w Grupie Kapitałowej PGE. Celem akcji jest zachęcanie Polaków do kupowania rodzimych produktów i usług.



Pozorowane zmiany w podatkach to za mało

Skończyła się kampania wyborcza, więc – chcąc nie chcąc – musieliśmy wrócić do rzeczywistości. Trochę szkoda, bo słuchając prześcigania się kandydatów na obietnice mające przychylić polskim przedsiębiorcom nieba, człowiek mógł choć przez chwilę uwierzyć, że takie rzeczy jak niskie i proste podatki, przejrzyste prawo, odregulowanie gospodarki czy wprowadzenie rozwiązań innowacyjnych i proinwestycyjnych rzeczywiście leżą na sercu wszystkim politykom. Ale cóż, kampania – jak wiadomo – rządzi się swoimi prawami.

Niemniej jest coś, co w tym wszystkim można już uznać – jeśli nie za sukces – to na pewno za pierwszy krok w stronę tego sukcesu. Otóż temat poluzowania gospodarczego, w pewnym momencie odmieniany przez polityków przez wszystkie przypadki, nie pojawił się znikąd. To coś, na co nie tylko czeka ogromna rzesza polskich przedsiębiorców, ale co w perspektywie stawiania na nogi całej naszej gospodarki po koronakryzysie wydaje się być absolutnie niezbędne. Dodatkowe regulacje, gmatwanie prawa, zwiększanie obciążeń podatkowych i dociskanie śruby byłyby gwoździem do trumny nie tylko dla wielu polskich firm, ale i całych sektorów gospodarki, które jeszcze kilka miesięcy temu były uznawane za wzór i z których przecież byliśmy bardzo dumni.

Jedną z tych absolutnie priorytetowych kwestii jest sprawa podatków. Mamy w tym temacie, jako państwo,

tak wiele do zrobienia, że aby wszystko omówić, nie wystarczyłoby całego numeru. Dość powiedzieć, że polski system podatkowy odziedziczony po poprzednikach to system, który cały czas skutecznie odstrasza i zniechęca. Według rankingu Doing Business publikowanego przez Bank Światowy, aby rozliczyć się z fiskusem, polski przedsiębiorca musi poświęcić w ciągu roku 334 godziny!!! W zestawieniu konkurencyjności systemów podatkowych Tax Foundation plasuje Polskę na 35. (przedostatnim) miejscu w OECD. To są dane z poprzedniego roku, ale w obecnym nic pod tym względem się nie zmieniło.

Reset po pandemii to doskonała okazja, by w podatkach wprowadzić wreszcie realne, korzystne nie tylko dla przedsiębiorców, ale dla wszystkich podatników, zmiany. Mam nadzieję, że rząd dostrzeże tę okazję. Zresztą kwestia wprowadzenia SLIM VAT czy zapowiedź tzw. estońskiego CIT mogą zwiastować pozytywne ruchy w tym obszarze. Kierunek jest jak najbardziej słuszny i pożyteczny. Pod warunkiem jednak, że zmiany te nie będą pozorowane.

Prowadzenie działalności gospodarczej trzeba w Polsce uprościć, szczególnie jeśli myśli się o jak najmniejszych szkodach wyrządzonych przez zamrożenie gospodarki na skutek pandemii. A zacząć warto już, najlepiej od radykalnych zmian w ordynacji podatkowej.

Krzysztof Budka

Spółeczna odpowiedzialność biznesu na przykładzie Grupy Enea

Działania z zakresu społecznej odpowiedzialności biznesu realizuje szereg polskich firm. W czasie pandemii wiele zaplanowanych przez nie działań zostało przekierowanych na walkę z koronawirusem. Widać to szczególnie na przykładzie spółek Skarbu Państwa.

Grupa Enea przekazała ponad 4 mln zł na wsparcie placówek medycznych i instytucji pomocowych, które angażują się w walkę z pandemią, dostarczając specjalistyczny sprzęt medyczny, w tym respiratory, a także potrzebne środki higieny i ochrony. Pomoc finansowa dotarła do prawie 30 placówek z terenu działania Grupy Enea. W pierwszej kolejności były to szpitale przekształcone w jednostki zakaźne wskazane przez Ministerstwo Zdrowia. Proces ten koordynowało Ministerstwo Aktywów Państwowych.

Poza środkami finansowymi spółki Grupy Enea aktywnie udzielały też pomocy rzeczowej w postaci środków ochrony zdrowia. Część służbowej floty samochodowej ze spółek Grupy została użyczona szpitalom i laboratoriom, by wesprzeć obsługę logistyczną i zapewnić szybki transport. Dodatkowo grupa konsultantów, na co dzień obsługujących klientów Enei, wspierała w najtrudniejszym momencie pracę infolinii NFZ, usprawniając proces informowania społeczeństwa na temat koronawirusa i zasad bezpieczeństwa.

– Grupa Enea na co dzień jest zaangażowana w życie lokalnych społeczności, w których funkcjonują nasi pracownicy i klienci. W tych szczególnych okolicznościach czujemy dodatkową odpowiedzialność za ich bezpieczeństwo, stąd nasze wielokierunkowe wsparcie – podkreśla Paweł Szczeszek, prezes Enei.

Enea zorganizowała też akcję pomocy seniorom, mieszkańcom Poznania i powiatu poznańskiego.

– W czasie epidemii szczególną troską powinniśmy otaczać tych, którzy są w grupie wysokiego ryzyka i nie powinni wychodzić z domu. Przeprowadziliśmy akcję wsparcia osób starszych i samotnych. Nasi wolontariusze, z zachowaniem wytycznych Ministerstwa Zdrowia oraz Głównego Inspektoratu Sanitarnego, pomagają w załatwianiu codziennych spraw – tłumaczy Agata Goor z Fundacji Enea.

Uruchomiony został też program promocji regionu, zachęcający do podróży w te strony w celu wsparcia lokalnej branży turystycznej, która ucierpiała wskutek pandemii.

Enea wdrożyła szereg procedur zwiększających bezpieczeństwo klientów i pracowników. Firma sprawnie działa w obliczu zagrożenia epidemicznego i zapewnia bezpieczeństwo energetyczne milionom Polaków. Grupa dostosowała swój model pracy do nowych warunków, wprowadzając m.in. dodatkowe środki ostrożności w elektrowniach w Kozienicach oraz Polańcu i instalacjach produkujących ciepło dla mieszkańców w Pile i Białymstoku, a także procedury awaryjne, by zachować ciągłość zarządzania siecią energetyczną i produkcji oraz dostawy energii elektrycznej.

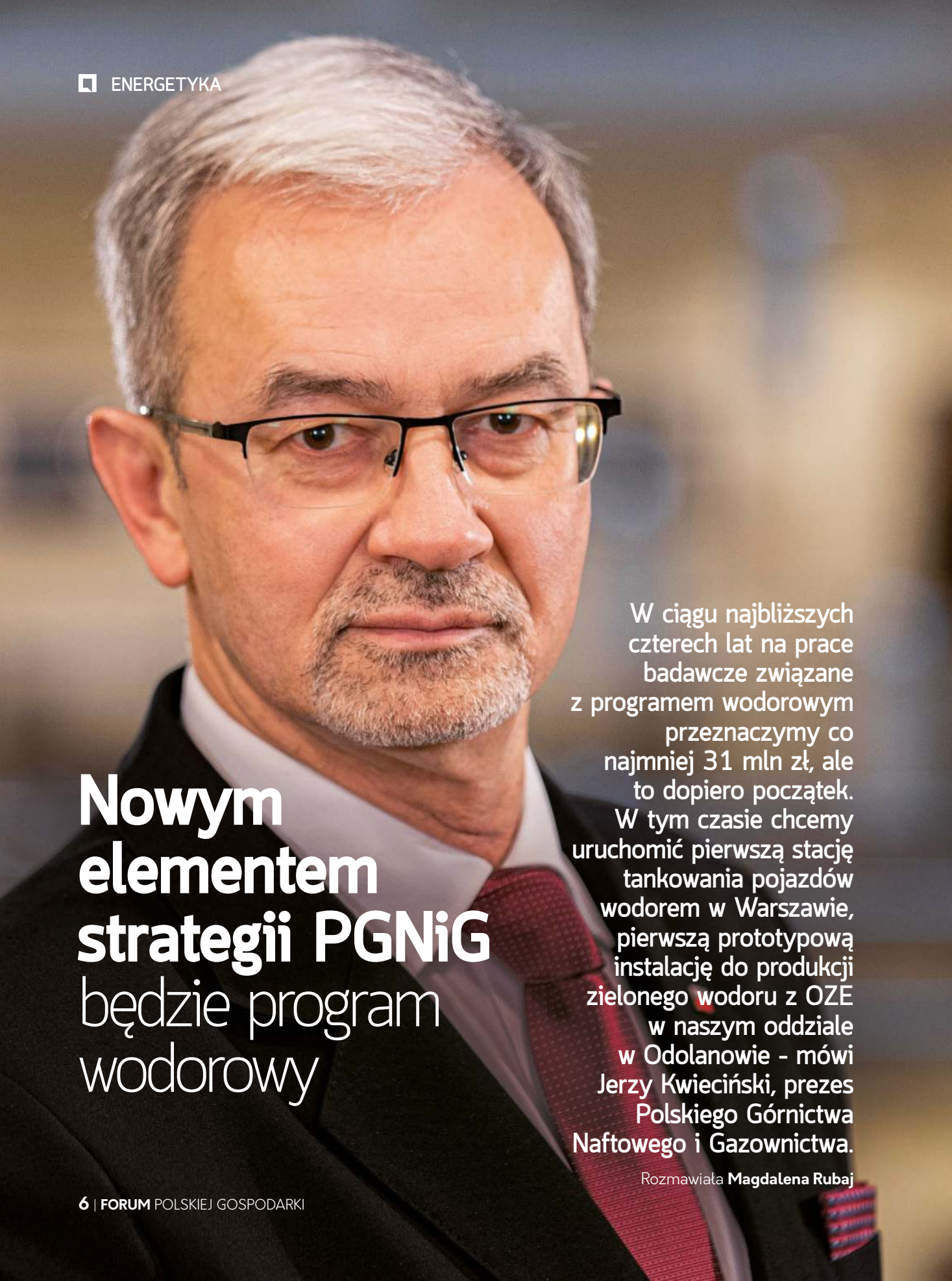
– Nasi pracownicy, dbając o bezpieczeństwo energetyczne milionów Polaków dwadzieścia cztery godziny na dobę, to również cisi bohaterowie tych czasów. Energetycy pracują na miejscu w elektrowniach i elektrociepłowniach, dyżurują na posterunkach energetycznych, interweniują w przypadku awarii w terenie. Dziękuję im za tę mobilizację i odpowiedzialną pracę w nowych, często utrudnionych warunkach – dodaje prezes Paweł Szczeszek.

MATERIAŁ PRZYGOTOWANY WE WSPÓŁPRACY
Z GRUPĄ ENEA



Enea aktywnie wspiera działania ograniczające rozprzestrzenianie się koronawirusa

 4 mln zł na wsparcie instytucji, które walczą z koronawirusem	 Wolontariusze Enei pomagający seniorom w codziennych zakupach	 Konsultanci Enei wspierający infolinię NFZ	 Flota samochodów użyczona szpitalom i laboratoriom	 Wsparcie turystyki regionalnej i lokalnej
---	---	--	---	---



Nowym elementem strategii PGNiG będzie program wodorowy

W ciągu najbliższych czterech lat na prace badawcze związane z programem wodorowym przeznaczymy co najmniej 31 mln zł, ale to dopiero początek. W tym czasie chcemy uruchomić pierwszą stację tankowania pojazdów wodorem w Warszawie, pierwszą prototypową instalację do produkcji zielonego wodoru z OZE w naszym oddziale w Odolanowie - mówi Jerzy Kwieciński, prezes Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa.

Rozmawiała **Magdalena Rubaj**

Jak Pan widzi rolę wodoru i energii wodorowej w polskim miksie energetycznym? Czy wodór jest paliwem przyszłości?

Faktycznie, wodór uważany jest za paliwo przyszłości. Paliwo bardzo czyste. Paliwo, które może być wykorzystywane w transporcie, czyli do napędu pojazdów, ale również jako paliwo, które może być wykorzystywane w przemyśle, może być też w odpowiednich proporcjach mieszane z gazem ziemnym i wykorzystywany w sieciach gazowych. Bardzo wielu ekspertów mówi, że obszar sektora energii bazującej na wodrze będzie się w najbliższych latach bardzo szybko rozwijał. Komisja Europejska przygotowała strategię wodorową, która jest powiązana z Europejskim Zielonym Ładem, dlatego wodór może zastępować paliwa kopalne. W najbliższych dniach ustanowiona zostanie tzw. Koalicja Wodorowa na poziomie europejskim.

Polska przystąpi do tej koalicji?

Tak, jako Polska i jako przedstawiciele polskiego biznesu też chcemy do tej koalicji przystąpić. W przypadku wodoru główną barierą jest koszt produkcji. Bo można wodór otrzymać albo w wyniku elektrolizy, czyli rozkładu wody, ale jest to proces energochłonny i drogi. Można też uzyskiwać go w procesie reformingu z gazu ziemnego poprzez rozszczepienie metanu i pary wodnej. O wodrze uzyskiwanym poprzez elektrolizę z wykorzystaniem np. energii wiatrowej mówi się jako o „zielonym”, natomiast w przypadku wodoru z gazu ziemnego otrzymywanego przez roz-

szczepienie metanu mówi się o „błękitnym wodrze”.

PGNiG stawia na ten rodzaj energii? Jako przyszłościowe paliwo?

Chcemy jako PGNiG mocno brać udział w tym procesie, dlatego dokonujemy aktualizacji strategii spółki. Nowym jej elementem będzie program wodorowy. W ciągu najbliższych czterech lat na prace badawcze związane z programem wodorowym przeznaczymy co najmniej 31 mln zł, ale to dopiero początek. W tym czasie chcemy uruchomić pierwszą stację tankowania pojazdów wodorem w Warszawie, pierwszą prototypową instalację do produkcji zielonego wodoru z OZE [odnawialnych źródeł energii – przyp. red.] w naszym oddziale w Odolanowie. W tym wypadku wodór byłby pro-

dukowany z naszej farmy fotowoltaicznej. Chcemy także uruchomić prototypową instalację gazową, która pracowałaby w oparciu o wyprodukowany przez nas wodór i umożliwiała przetestowanie możliwości mieszania wodoru z gazem ziemnym. Chcemy także zarabiać na sprzedaży wodoru i usług z nim związanych. Nasze laboratorium będzie analizowało czystość wodoru i prowadziło badania nad paliwami alternatywnymi.

Kiedy ruszą pierwsze instalacje?

Najbardziej zaawansowanym projektem jest budowa stacji tankowania pojazdów wodorem. Tutaj terminem uruchomienia jest jesień 2021 roku. W 2022 roku chcielibyśmy już móc rozpocząć samodzielną pilotażową produkcję „zielonego wodoru” w Odolanowie. Dajemy sobie 2-3 najbliższe lata na zbudowanie całego łańcucha kompetencji, które pozwolą nam na dalszy rozwój w tym obszarze. W dłuższym horyzoncie czasowym chcielibyśmy móc produkować wodór w takich ilościach, które pozwolą nam na mieszanie go z gazem ziemnym w sieciach dystrybucyjnych. To oczywiście musi być poprzedzone wieloma testami, które także zakładamy w naszym programie, a wykorzystać do tego chcemy wspomnianą już sztuczną sieć. Do zbadania pozostają kwestie techniczne i dostosowanie infrastruktury oraz urządzeń. Wiele krajów prowadzi zaawansowane testy wykorzystania w sieci gazowej wodoru dodawanego do gazu ziemnego. Badania, które prowadziliśmy z Instytutem Nafty i Gazu, pokazują, że do

Chcemy zarabiać na sprzedaży wodoru i usług z nim związanych. Nasze laboratorium będzie analizowało czystość wodoru i prowadziło badania nad paliwami alternatywnymi.



fot. PAP/Marcin Bielecki

gazu ziemnego moglibyśmy dodawać bez większych problemów nawet do 8 proc. wodoru. Produkcję własny wódor, moglibyśmy go mieszać w naszych sieciach dystrybucyjnych. Kwestią jest cena wodoru.

Czyli?

To zależy od metody produkcji i miejsca wytwarzania, ale ceny wahają się obecnie od 2 do 6 euro za kilogram. Koszty związane są z cenami elektrolizerów do produkcji zielonego wodoru, a w przypadku błękitnego wodoru to głównie koszty energii i doczyszczania wodoru pochodzącego z reformingu. Ale cena musi być niższa. Rozwiązaniem może być wykorzystanie nadwyżek, które mamy w sieci. Czyli: kiedy mocno wieje, mocno świeci słońce, nie mamy co zrobić z energią z farm fotowoltaicznych i wiatrowych, więc możemy ją wykorzystywać do produkcji wodoru. Wte-

Jerzy Kwieciński
Prezes
PGNiG

dy produkcja wodoru byłaby sposobem na zagospodarowanie tego nadmiaru energii.

W Niemczech już jeżdżą pociągi wodorowe, nazywane „błękitnymi” czy „zielonymi”. Czy i u nas będziemy stawiać na taki typ komunikacji?

Dopóki nie rozwinie się dostatecznie pod względem możliwości produkcji, magazynowania, transportu wodoru, cały czas priorytetowym dla nas paliwem gazowym w transporcie jest gaz ziemny. Może być i jest stosowany jako gaz sprężony i skroplony. Coraz szerzej w transporcie stosuje się LNG i CNG: na gaz jeżdżą ciężarówki, śmieciareki, autobusy miejskie, ale paliwem gazowym napędzane są także statki. Co trzeci kupiony w tym roku autobus w transporcie miejskim jest napędzany gazem. Kolejnym etapem w Polsce będzie zastosowanie wodoru do napędzania pojazdów. Już teraz przecież

produkuje się u nas w Polsce autobusy zasilane wodorem. Europa w wodorze widzi bardzo ważne źródło energii. I dlatego my jako PGNiG i inne polskie firmy stawiamy na rozwój technologii wodorowych.

Jak ocenia Pan możliwości wydobywcze ropy i gazu w Norwegii?

Co prawda mówi się, że znaczna część zasobów węglowodorów na szelfie norweskim już została wyeksploatowana, ale pozostałe do odkrycia zasoby ropy i gazu wciąż mogą być znaczne. Według norweskiej administracji same potwierdzone istniejące wydobywalne zasoby gazu ziemnego to ponad 1,5 biliona metrów sześciennych. Teoretycznie, gdyby całość tych zasobów przeznaczyć tylko dla Polski, to przy obecnym zużyciu wystarczyłoby ich na 75 lat.

Na szelfie cały czas prowadzone są poszukiwania i cały czas dokonuje się odkryć. Jednym z przykładów jest odkrycie przez PGNiG złoża gazu i ropy na Morzu Norweskim jesienią 2019 roku. Nadano mu nazwę Shrek. Nasze zasoby wydobywalne w Norwegii wzrosły w ciągu ostatnich trzech lat z 80 mln do obecnie ok. 200 mln baryłek ekwiwalentu ropy naftowej. Działamy tam na ponad 30 koncesjach, na czterech z nich pełniąc rolę operatora. Pracujemy na kilkunastu złożach, na 7 z nich prowadzimy wydobywanie, pozostałe przygotowujemy do produkcji. Nasza produkcja gazu ziemnego z szelfu wyniosła w ubiegłym roku ok. 0,5 mld metrów sześciennych, w przyszłym roku spo-

Pod koniec 2022 roku popłynie gaz do Polski z szelfu norweskiego poprzez wspomniany Baltic Pipe, a już od kilku lat sprowadzamy gaz skroplony poprzez terminal w Świnoujściu. Oba te projekty tworzą tzw. Bramę Północną.

dziewamy się 0,7 mld metrów sześciennych, ale docelowo za kilka lat chcielibyśmy dojść do poziomu 2,5 mld metrów sześciennych produkcji własnego gazu.

Gaz-System, nasza bratnia spółka, buduje gazociąg Baltic Pipe, który będzie łączył szelf norweski przez Danię z Polską i przez który ten norweski gaz popłynie do Polski. Przepustowość tego gazociągu wyniesie prawie 10 mld metrów sześciennych.

No właśnie, czy po zakończeniu kontraktu jamalskiego w 2022 roku będziemy mieli skąd brać gaz?

Tak. Dywersyfikujemy źródła i kierunki pochodzenia gazu, bo chcemy całkowicie uniezależnić się od kierunku wschodniego, czyli gazu rosyjskiego, od Gazpromu. Opieramy dywersyfikację na trzech filarach. Pierwszy to wspomniany Baltic Pipe i gaz z Norwe-

gii, wydobywany tam przez nas oraz kupowany od innych producentów działających na szelfie. Drugi to import LNG. A trzecim jest krajowe wydobycie. W Polsce wydobywamy jednak ok. 3,8 mld metrów sześciennych, więc biorąc pod uwagę roczne zużycie gazu w Polsce na poziomie bliskim 20 mld metrów sześciennych, resztę musimy i będziemy musieli sprowadzać z zagranicy.

Czyli skąd?

Pod koniec 2022 roku popłynie gaz do Polski z szelfu norweskiego poprzez wspomniany Baltic Pipe, a już od kilku lat sprowadzamy gaz skroplony poprzez Terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu. Oba te projekty tworzą tzw. Bramę Północną.

Ile mamy tą drogą?

W przypadku LNG w ubiegłym roku było to ponad 3,4 mld metrów sześciennych, ale poziom ten będzie rósł z każdym rokiem. Od 2024 roku może

to być nawet 8,3 mld metrów sześciennych rocznie, taką też moc zarezerwowaliśmy w rozbudowywanym terminalu. Interkonektory pozwolą nam na handel gazem ze wszystkimi krajami sąsiednimi. Teraz budowane są przez Gas-System interkonektory ze Słowacją i Litwą.

Wystarczy za kontrakt jamalski?

Od lat mieliśmy problem z tym kontraktem. Podpisany został w 1996 roku. Przez wiele lat za ten gaz bardzo dużo płaciliśmy, były to ceny zawyżone, nierynkowe. Nie było tajemnicą, że były one jedne z najwyższych w Unii Europejskiej. Dodatkowo zdarzało się, że wielokrotnie kurek z kierunku wschodniego był zakręcany albo dostarczany nam gaz był zawodniony i nie nadawał się do użytku.

Wygraliśmy spór arbitrażowy, ale proces ten trwał ponad 5 lat. W samym sądzie arbitrażowym rozprawa trwała 4 lata. Zakończyła się





dla nas pomyślnie, pozwoliła nam również wystąpić o zwrot nadpłaty za gaz za lata 2014-2020.

Teraz rozliczamy się z Gazpromem po cenach ustanowionych na bazie formuły określonej w wyroku. Wydaje się, że nasze relacje z Gazpro-

mem w tym sensie znormalizowały. Otrzymaliśmy również zwrot nadpłaty. Jest bardzo wysoki, 1,5 mld dolarów. To pokazuje, jak mocno przełaliśmy się za gaz rosyjski.

Wspomniał Pan o Baltic Pipe. Czy nie będzie tutaj kolizji Baltic Pipe kontra Nord Stream?

Działający Nord Stream i budowany Nord Stream 2 skierowane są na dostawy gazu z Rosji na rynki Europy Zachodniej. Z uwagi m.in. na amerykańskie sankcje budowa została wstrzymana. Z kolei Baltic Pipe jest projektem łączącym norweskie złoża z Polską. Byliśmy przeciwni wyłączeniu gazociągu Nord Stream 2 spod regulacji unijnych, czego domagała się spółka go budująca, i nasze argumenty wygrały. W maju niemiecki regulator odrzucił wniosek Nord Stream 2 o derogację. Nadal niezmiennie, podobnie jak rząd RP, stoimy na stanowisku, że projekt Nord Stream 2 niesie negatywne konsekwencje dla bezpieczeństwa dostaw i konkurencji na rynku gazu w Europie Środkowo-Wschodniej. Nasze

Nadal niezmiennie, podobnie jak rząd RP, stoimy na stanowisku, że projekt Nord Stream 2 niesie negatywne konsekwencje dla bezpieczeństwa dostaw i konkurencji na rynku gazu w Europie Środkowo-Wschodniej.

dwie spółki PGNiG SA i PST GmbH były stroną w tym postępowaniu.

Jak Pan skomentuje wyniki PGNiG za pierwszy kwartał? I jakie są perspektywy na kolejny?

Ten pierwszy kwartał był dla nas bardzo trudny, niepewny. Po pierwsze dlatego, że mieliśmy kolejną ciepłą zimę, tym razem najcieplejszą od wielu lat. Każdy użytkownik gazu się cieszy, bo zapłaci mniej za gaz. Ale w przypadku naszej firmy PGNiG jest inaczej: ludzie wykorzystują mniej ciepła, więc zarabiamy mniej. Drugi ważny czynnik: pandemia koronawirusa, której atak przypadł na koniec kwartału. Dodatkowo rynek europejski bardzo obawiał się konfliktu ukraińsko-rosyjskiego. Była obawa, że obie strony nie porozumieją się w sprawie tranzytu rosyjskiego gazu przez Ukrainę i Rosjanie zamkną kurki z gazem na przełomie roku. Dlatego wszystkie firmy z naszego sektora w Europie wypełniły maksymalnie magazyny gazem. Do tego na rynku europejskim wzrósł import gazu ciekłego m.in. z USA, ale i od innych. Spadły więc mocno ceny gazu, co też przełożyło się na nasze wyniki. Pierwszy kwartał wyglądał na początku niepewnie, ale poradziliśmy sobie. Mieliśmy rekordową sprzedaż gazu ogółem, która sięgnęła 10,6 mld metrów sześciennych. Wyniki operacyjne zatem były bardzo dobre. Gdyby nie odpisy na majątku trwałym związanym z wydobyciem ropy naftowej i gazu, to mielibyśmy rekordowy wynik EBITDA w wysokości nieco ponad 2,8 mld zł.



Piotr **Palutkiewicz**

Polska gastronomia głodna po kryzysie

Gdy opadł kurz po wprowadzeniu w Polsce lockdownu, okazało się, że najbardziej poobijana wyszła z zamknięcia branża gastronomiczna. Na ulicach miast i miasteczek pojawiają się puste lokale, w których jeszcze kilka miesięcy temu kwitło życie towarzyskie. W tych kawiarniach, barach i restauracjach, którym udało się przetrwać, stoliki nie są jednak zapelnione. Wielu z nas ciągle ogranicza swoją aktywność towarzyską. Barwne życie studenckie umarło w połowie marca i do dziś nie odżyło. Nie wszyscy wróciliśmy także do pracy w centrach miast. Nie korzystamy z pracowniczych bufetów czy stołówek. Nie są organizowane konferencje i business lunche. Setki tysięcy turystów z zagranicy w tym roku do Polski nie przyleciało. I nie przyleci. Stoliki stoją puste.

Obraz smutny. A jeszcze niedawno było zupełnie inaczej. Przed wybuchem epidemii koronawirusa działało w Polsce 76 tys. lokali, które generowały blisko 37 mld zł dla krajowego PKB. Rynek zdominowany jest przez małych i mikro przedsiębiorców. Tutaj nie ma korporacji.

Duże biznesy można policzyć na palcach może dwóch rąk. Branża gastronomiczna, w zależności od pory roku, zatrudniała blisko milion osób, głównie młodych ludzi poniżej 26 roku życia. Gastronomia to dla nich częstokroć pierwsza praca, nie zawsze w pełnym wymiarze godzin. Dla wielu to szansa na dodatkowy zarobek w trakcie studiów czy w okresie wakacyjnym.

Sektor gastronomii to nie tylko biznes. Gastronomia pełni także ważne funkcje społeczne. Umożliwia nam nawiązywanie więzi, budowanie znajomości, zaufania społecznego i relacji. Restauracje, kawiarnie, bary i kluby pełnią ważną funkcję kulturotwórczą. Obecność obiektów gastronomicznych tworzy tkankę miejską. Sprawia ona, że centra miast i miasteczek tętnią życiem. Szkoda, by po okresie rozkwitu życia społecznego w tych miejscach trend się zmienił.

Rząd może tej branży pomóc. Pomóc bardzo łatwo. Najprostszym rozwiązaniem jest ujednolicenie stawki VAT dla usług gastronomicznych. Pomimo wprowadzonej 1 lipca nowej matrycy VAT, w omawia-

nej branży dalej funkcjonują dwie stawki – 8 proc. i 23 proc. Dlaczego nie ułatwić funkcjonowania restauracjom, barom, kawiarniom poprzez ujednolicenie (i zmniejszenie dla niektórych produktów) stawki VAT do 8 proc.? Prosty ruch. Realna i szybka pomoc dla branży. Na obniżenie stawki VAT na usługi gastronomiczne zdecydowały się po koronakryzysie Austria, Belgia, Bułgaria, Cypr, Grecja i Niemcy.

Konieczność pomocy sektorowi w najbliższych miesiącach nie podlega dyskusji. Bezpośrednie wsparcie finansowe, które gastronomia otrzymała, nie wystarczy. Gdy pomoc ta się skończy, sytuacja w tej branży się nie poprawi.

Dając odetchnąć gastronomii, uratujemy miejsca pracy i utrzymujemy stabilne wpływy z innych podatków, które gastronomia zapewnia. I trudno będzie znaleźć kogoś, kto przy kawie lub piwie skrytykuje rząd za to rozwiązanie. Wręcz przeciwnie. Wielu Polaków wypije zdrowie tego, kto pomoże lokalnym kawiarniom, restauracjom czy barom. A picie toastu za rząd... zdarza się bardzo rzadko.

100 tysięcy wniosków

- o dofinansowanie instalacji fotowoltaicznej w programie „Mój Prąd” wpłynęło do Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (56 tysięcy z nich otrzymało już ocenę pozytywną).
- 100 tys. wniosków odpowiada kwocie dofinansowania w wysokości 0,5 mld zł – informuje Dominik Bąk, p.o. prezesa NFOŚiGW.

Tak Brytyjczycy ożywiają gospodarkę

Brytyjski rząd ogłosił pakiet o wartości 33 mld euro, mający na celu szybkie odbicie się tamtejszej gospodarki po zamrożeniu spowodowanym pandemią koronawirusa. Między innymi zostanie obniżony z 20 do 5 proc. VAT na żywność i napoje, zakwaterowanie w hotelach i atrakcje turystyczne. Oznacza to, że w sierpniu, od poniedziałku do środy, rząd zapłaci połowę ceny za spożycie w barach i restauracjach (bez napojów alkoholowych), do limitu 11 euro na osobę. Kanclerz skarbu Rishi Sunak ogłosił też, że przeznaczy 2,2 mld euro na pokrycie sześciomiesięcznych praktyk zawodowych dla młodych ludzi w wieku od 16 do 24 lat w niepewnej sytuacji, ponieważ prognozuje się, że będą to grupy najbardziej dotknięte z powodu bezrobocia i kryzysu gospodarczego.

Orlen może przejąć Lotos, ale...

Komisja Europejska zgodziła się na połączenie Orlenu z Lotosem, postawiła jednak kilka warunków. Orlen będzie musiał m.in. sprzedać aż dziewięć baz paliwowych i zbudować w Szczecinie nowy terminal importowy na paliwo lotnicze. Lotos ma natomiast zwolnić zarezerwowane dla siebie miejsce na paliwa w magazynach paliwowych, co sprawi, że na to miejsce będą mogły wejść inne, prywatne firmy handlujące paliwami. Do tego na sprzedaż zostanie wystawionych blisko 400 stacji benzynowych Lotosu, co spowoduje spadek udziału spółek kontrolowanych przez państwo także w rynku detalicznym.

Twórca TikToka narzędziem chińskiego reżimu?

Choć ma „dopiero” 37 lat, dorobił się już wielkiej fortuny. Według czasopisma „Forbes” zajmuje 9. miejsce na liście najbogatszych Chińczyków. Zhang Yiming, czy-

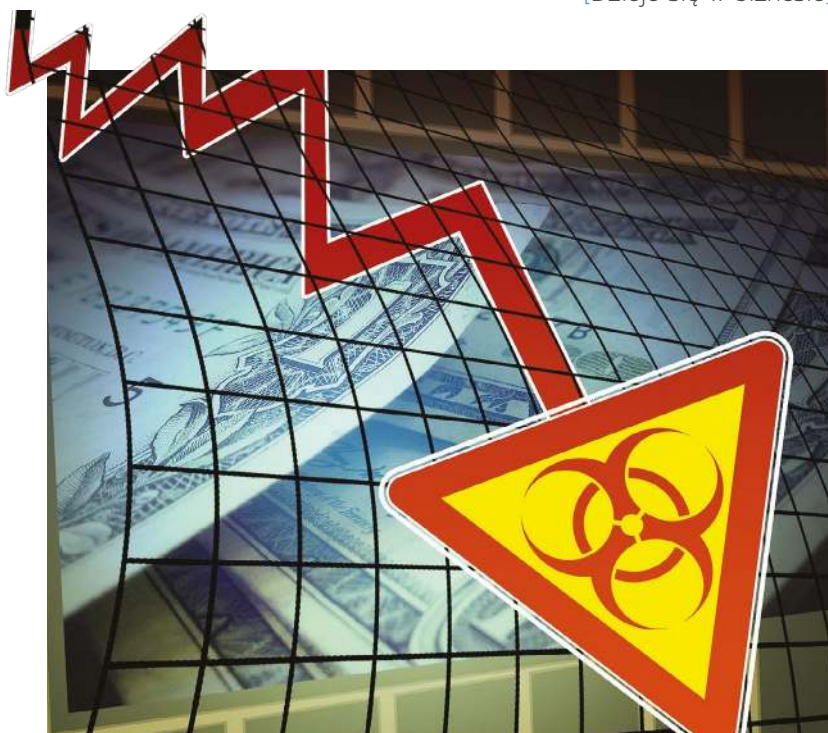
li twórca TikToka. Co ciekawe, ta aplikacja z globalnego fenomenu wśród nastolatków w mgnieniu oka stała się... publicznym zagrożeniem. Do tego stopnia, że prezydent USA Donald Trump Yiminga i TikToka nazwał „narzędziem chińskiego reżimu”. Tak czy inaczej firma Yiminga wyceniana jest dziś na 100 mld dolarów.

21 miliarda zł

- tyle wyniosły czerwcowe przelewy na konta w funduszach inwestycyjnych. To najlepszy wynik od pięciu lat. Inwestorzy uznali zapewne, że to dobra alternatywa dla nieoprocentowanych lokat. Łącznie Polacy zgromadzili już w ten sposób 253 mld złotych.

Globalny spadek PKB

Międzynarodowy Fundusz Walutowy nie ma wątpliwości: tnie prognozy globalnego wzrostu gospodarczego. Pandemia koronawirusa okazała się dla mrożonych gospodarek bardziej toksyczna niż pierwotnie sądzono. MFW przewiduje, że globalny spadek PKB wyniesie 4,9 proc. w 2020 roku. Z kolei w 2021 roku spodziewany jest wzrost światowego PKB o 5,4 proc. Przy tym należy pamiętać, że punkt odbicia będzie ustawiony tak nisko, jak świat od dawna nie widział. Prognozy PKB obniżono na ten rok niemal wszystkim krajom.



APPLE NIE MUSI PŁAĆ 13 MLD EURO IRLANDII

Komisja Europejska przegrała w Sądzie UE w Luksemburgu z amerykańskim koncernem Apple. Chciała zmusić producenta iPhone'ów do zapłaty 13 mld euro z tytułu zaległych podatków w Irlandii, jednak Apple zaskarżył tę decyzję i wygrał. „Sąd stwierdził nieważność zaskarżonej decyzji, ponieważ Komisji nie udało się wykazać w sposób wymagany prawem, że istniała korzyść w rozumieniu art. 107 ust. 1 Traktatu o Funkcjonowaniu Unii Europejskiej” - stwierdził w orzeczeniu Sąd UE, odnosząc się do unijnych reguł konkurencji.



Coraz lepsze prognozy dla MŚP

Aż 81,9 proc. małych i średnich przedsiębiorstw korzysta lub zamierza skorzystać z rozwiązań zawartych w tarczach antykrzysowych. Tych mniejszych firm, które podniosły się z koronakryzysu, w lipcu było już 47,9 proc., a więc o 19,4 proc. więcej niż w poprzednim, czerwcowym pomiarze badania zamówionego przez BGK. „Przedsiębiorcy finansowo radzą sobie coraz lepiej. Ponad jedna trzecia firm z sektora MŚP (35,4 proc.) określa swoje aktualne przychody jako porównywalne do tych z lutego, co stanowi wzrost o 13,4 proc. lub wyższe (wzrost o 5,9 proc.)” – komunikuje BGK.

Branża turystyczna wciąż woła o pomoc

To, że w niektórych obiektach turystycznych jest stuprocentowe, wakacyjne obłożenie, nie oznacza, że branża wyszła już z kryzysu. Szczególnie bolesne są brak turystyki przyjazdowej oraz biznesowej, całkowite zatrzymanie krajowych spotkań grupowych B2B i wydarzeń artystyczno-rozrywkowych, a także brak perspektyw na szybką reaktywację sprzedaży zorganizowanych wyjazdów zagranicznych. - Sam bon nie wystarczy, trzeba nam pomóc również w inny sposób - apelują przedstawiciele branży.

Robert Azembski

Jeden czy dwa działające pensjonaty nad morzem lub w górach w popularnym miejscu i odżywająca agroturystyka mogą tworzyć złudne wrażenie, że krajowa branża turystyczna już się podniosła. Nic bardziej mylnego. To jest tak, jakbyśmy chcieli wyciągnąć wniosek, że odżyła już turystyka biznesowa, bo w tym i innym obiekcie odbyło się wesele czy inne spotkanie rodzinne.

– Przemysł turystyczny pojawia się dopiero wtedy, gdy przynosi wartość dodaną: rezerwacja imprezy łączy się z rezerwacją hotelu, ale także usługami przewozu, potem pilota, wykupieniem usług dodatkowych w firmach organizujących lokalne atrakcje, z zatrudnieniem przewodnika – mówi nam Łukasz Adamowicz, wiceprezes Stowarzyszenia Organizatorów Incentive Travel SOIT, współzałożyciel sztabu branży MICE TUgether.

Sztab ten, złożony z przedstawicieli różnych firm turystycznych, prowadzi trudne rozmowy z rządem, szczególnie z Ministerstwem Rozwoju i Agencją Rozwoju Przemysłu (ARP), o koniecznych formach pomocy dla branży. Z nowego badania przeprowadzonego przez SOIT wynika bowiem, że 77 proc. hoteli położonych w miastach i 45 proc. zlokalizowanych poza centrami miast sygnalizuje poziom rezerwacji na wakacje poniżej 20 proc. To są twarde dane, a nie zdjęcia z dawnych urlopów. Trudno dyskutować z faktami.

Zapaść podróży biznesowych

Popyt zamarł na rynku spotkań konferencyjnych. A przecież nie wszystko i nie zawsze

Popyt zamarł na rynku spotkań konferencyjnych

da się zorganizować zdalnie. Tak zwany incentive travel, rynek MICE, czyli mówiąc prościej, przemysł spotkań biznesowych, ma szansę wrócić do normalności dopiero od początku przyszłego roku. Część wydarzeń już jest przenoszona na przyszły rok.

– Kwestia powrotu do turystyki biznesowej jest obecnie jedną z najważniejszych spraw w branży, przede wszystkim hotelarskiej. Ona bowiem utrzymuje popyt na usługi turystyczne poza sezonem letnim. Tak jest także w naszym regionie. Miesiące wakacyjne pozwolą nam złapać oddech, ale należy myśleć już o tym, co będzie dalej. Żle by się stało, gdyby sytuacja od września czy października się nie poprawiła – opowiada nam Łukasz Magrian, dyrektor biura Pomorskiej Regionalnej Organizacji Turystycznej (PROT).

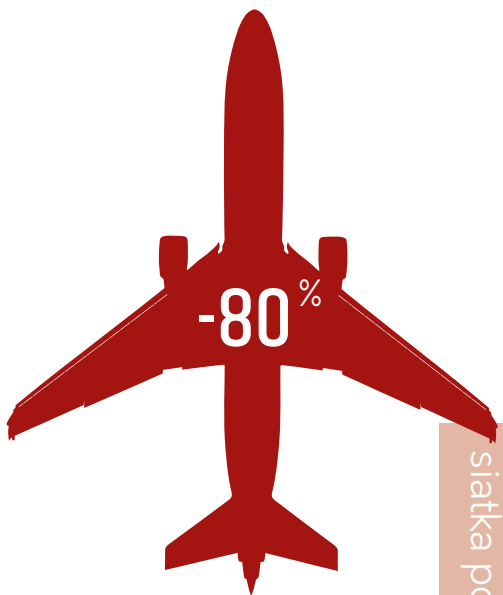
Wytyczne Sanepidu i zarządzenia Ministerstwa Zdrowia uniemożliwiają organizację większości targów i konferencji biznesowych.

Ten sektor turystycznej branży potrzebuje szczególnej pomocy. – Postulujemy, by koszty spotkań biznesowych były uznawane za koszty uzyskania przychodu. Przydałoby się także obniżenie stawki VAT na usługi konferencyjne do 8 proc. i możliwość spożytkowania środków z funduszu socjalnego na organizację spotkań pracowniczych – zaznacza Łukasz Adamowicz.

Dramat na rynku przewozów

Sektor przewozów autokarowych jest obecnie w takiej zapaści, że grozi mu całkowita zagłada albo fala przejęć. Pomoc, którą dostały firmy, właśnie się kończy. Wszystkie środki przyznane przez instytucje publiczne uległy wyczerpaniu. Postojowe, umorzenie ZUS, mikropożyczki oraz tarcza finansowa PFR obliczone były na przetrwanie przez trzy miesiące. Sektor nie zarabia. Klientów jak nie było, tak nie ma. Ludzie boją się epidemii. Dmuchają na zimne, a jeśli już





się gdzieś wybiorą, rezerwują sobie miejsce bez pośredników i jadą samochodem. – Nasz sektor został najbardziej dotknięty przez kryzys związany z koronawirusem. Odmrożenie gospodarki nic nie dało, wciąż mamy zero zleceń – tłumaczy Wojciech Sochaczewski, właściciel jednej z firm autokarowych w województwie mazowieckim. Takich firm jak jego są w Polsce setki.

Sochaczewski ma przy tym wrażenie, że pomoc nie trafiła do tych, do których miała trafić. Firmy transportu za granicę dopieszczono aż nadmiernie. O krajowym segmencie turystyki prawie zapomniano. Dostali postojowe, ale często nie kwalifikowali się już do pomocy z tarczy finansowej. Należy też znać specyfikę tego biznesu: największy popyt na rynku przejazdów autokarowych zaczyna się zazwyczaj w połowie kwietnia. Szczyt trwa w maju i czerwcu. – Instytucje takie jak biura

podroży, kościoły czy szkoły nadal nie zamawiają przewozów grupowych. Oczywiście ze względu na koronawirusa. Żyje jeszcze tylko nieznaczna część sektora zajmująca się przewozem pracowników – mówi Sochaczewski.

Jak tu pomóc? Przede wszystkim przedłużając postojowe dla kierowców albo dopłacając do autobusów na wzór dopłat funkcjonujących w Niemczech. Właściciele firm przewozowych cały czas opłacają ok. 10 proc. raty leasingowej za wzięte w leasing autobusy. W październiku kończy się okres odroczenia pełnych rat i przyjdzie płacić w pełnym wymiarze. Stanie się to właśnie w tym czasie, gdy turystyka przejazdowa już nie zarabia, bo kończy się sezon. Przy leasingu sektorowi przewozów autobusowych rzeczywiście potrzebna jest szczególna pomoc publiczna. Trwają rozmowy ze stroną rządową. Zobaczymy, co z nich wyniknie.

Polecą albo... nie polecą

Powiedzieć, że mali touroperatorzy i agencje podróży wyjazdów za granicę przeżywają kryzys, to nic nie powiedzieć. Firmy te balansują na krawędzi bankructwa. – Przychodzimy do biura na dwie, trzy godziny, by poprzekładać rezerwacje, poinformować klientów o nowych wytycznych, ale nie mamy z tego nic – opowiada Agata Nędzy z biura podróży zagranicznej i czarterowej BB Travel z Radomia.

Większość klientów decyduje się na zwrot pieniędzy. Nieliczni tylko chcą przełożyć imprezę na przyszły rok, wykorzystując vouchery dofinansowujące wyjazd.

– Ogromnym wyzwaniem dla branży turystycznej jest kwestia zwrotów za wycieczki dla klientów, gdy mija koniec ustawowych 180 dni i touroperator musi to zrobić. Wiele firm nic nie sprzedało w ostatnich miesiącach, więc ich płynność finansowa jest bardzo poważnie zagrożona – ostrzega Łukasz Magrian.

Wielu klientów odwiedzających biura turystyki zagranicznej jest też przekonanych, że epidemia spowodowała duże obniżki cen na usługi turystyczne. Niestety, obniżek nie ma, bo siatka połączeń czarterowych została „skoszona” o 80 proc. Do tych 20 proc. lotów aspiruje szereg organizatorów turystyki. Każda z większych firm wykorzystuje przy tym maksymalny limit miejsc, żeby samolot mógł wylecieć w pełni obłożony.

W opinii biur polski rząd nie rozumie specyfiki ich działalności. Oferta touroperatorów zagranicznych jest tworzona na ok. 1,5 roku przed sezonem. Zaliczki muszą jednak płacić za granicę od razu, po to, by zarezerwować przejazdy wewnętrzne i miejsca hotelowe. Przychód uzyskują dopiero po zrealizowaniu imprezy. – Przez trzy miesiące byliśmy wyłączeni ze świadczenia usług, nic nie zarobiliśmy. Szacuję, że obroty naszej branży stanowią obecnie ok. 20 proc. obrotów zeszłorocznych – dodaje Agnieszka Nędzy.

Pomysł bonu ocenia negatywnie. Nie dotyczy on sektora turystyki zagranicznej. Może nawet przeszkadzać, bo na lepszej pozycji ustawia konkurencję zajmującą się krajowymi wyjazdami.

Powrót do pełnego ruchu lotniczego ma zasadnicze

znaczenie także dla turystyki przyjazdowej. Nadal nie istnieją regularne loty ze Skandynawii. Spadek przyjazdów gości zagranicznych z tamtych, niegdyś bardzo popularnych kierunków, jest więcej niż wyraźny. Bardzo powoli odbudowują się przyjazdy z Niemiec. Cierpią na tym nie tylko obiekty hotelowe, ale i skupione wokół nich firmy usługowe typu piekarnie, zaopatrzenia w środki czystości, firmy pielęgniarskie, fryzjerzy, usługi przejazdów i lokalnych wycieczek itp. – Do poziomu sprzed pandemii wrócimy zapewne dopiero za dwa, trzy lata – mówi Łukasz Magrian.

Czego oczekuje branża?

Opinie właścicieli różnego rodzaju firm turystycznych są tu zgodne. Bon turystyczny, jeśli się pojawi, niewątpliwie jest czymś na plus dla branży. Problem tkwi jednak w tym, że będzie to mały strumień pieniędzy, skierowany do wąskiego grona odbiorców – przede wszystkim do dzieci i młodzieży. – Nie bardzo widzę teraz możliwość jego efektywnego, pełnego wykorzystania. Może to być wsparcie tylko dla organizatorów jedynie ograniczonych form wypoczynku. Skala potrzeb jest jednak dużo większa – zaznacza Magrian.

Przy obecnej konstrukcji bon nie pomoże branży. Można także zastanawiać się, czy pieniądze z bonu posłużą do opłacenia rezerwacji tych, które już wcześniej zostały dokonane, czy rzeczywiście przełożą się na nowe rezerwacje? – Tylko w sytuacji, w której bon pobudzi dodatkowe rezerwacje, będzie miał realny wpływ pomocowy na branżę turystyczną – stanowczo twierdzi Adamowicz.

Skoro nie bon, to, co mogłoby być lepszą pomocą organizatorów turystyki?

– Branża potrzebuje przedłużenia na trzy miesiące dopasowanego do obecnej sytuacji pakietu zwolnienia ZUS plus postojowego. To będzie pomoc krótkoterminowa. Średnioterminowo konieczne jest odblokowanie kredytów obrotowych – mówi Adamowicz. Wiele firm turystycznych, nie mając przed sobą jasnych perspektyw, jest po prostu „niebankowalna”, banki zamroziły dla nich kredyty. SOIT postuluje, by uruchomić pożyczkę obrotową na kapitał w ARP, skierowaną do sektora spotkań, przewozów i hotelowego. Środki na pożyczki pochodzą z budżetu państwa, nad którym podobno pracuje już Ministerstwo Rozwoju. Firmy turystyczne powinny mieć też możliwość zaciągnięcia, w Turystycznym Funduszu Gwarancyjnym, nieoprocentowanego kredytu z przeznaczeniem na zwroty zaliczek wpłaconych przez klientów

na rezerwację imprezy zagranicznej.

Turystyka, łącznie z branżą organizatorów i agentów turystycznych, hotelową, przewozów autokarowych i lotniczych, targów, przewodników, turystyki szkolnej, wydarzeń artystyczno-rozrywkowych oraz turystyką przyjazdową, stanowi ok. 15 proc. PKB Polski. Zapewnia też ok. 1,5 mln miejsc pracy. Znajdująca się w bardzo trudnej sytuacji branża słusznie oczekuje pomocy. Pomocy szczególnej i większej niż inne sektory gospodarki. Pomoc powinna być jednak tak przemyślana, by precyzyjnie trafiła do tych, którym jest najbardziej potrzebna. – Rozumiejąc argumenty strony rządowej, która prowadzi rozmowy z naszym rynkiem, chciałbym zwrócić uwagę na to, że nie należy rezygnować, tylko znaleźć rozwiązanie. Chodzi o sektorową pomoc, która zostanie sensownie rozdysponowana, będzie dla branży wystarczająca i realnie jej pomoże – zaznacza Adamowicz.

Turystyka stanowi ok 15 proc. PKB Polski



Doceńmy bogactwo turystyczne własnego kraju



Jesteśmy przykładem firmy, która zaprzecza pokutującemu wciąż stereotypowi, że wakacje w Polsce są nieatrakcyjne i drogie. Jest wręcz odwrotnie. Wakacje w Polsce można zorganizować w sposób ciekawy i niedrogi - mówi Michał Król, prezes firmy Elbest Hotels.

Rozmawiał Robert **Azembski**

Turystyka to jedna z najbardziej poszkodowanych przez epidemię branż, na której koncentruje się teraz uwaga i rządu, i ekonomistów. Elbest Hotels to firma z sektora turystyczno-hotelarskiego, ale o szerokim spektrum działania. Co dokładnie jest przedmiotem jej działalności?

Jesteśmy właścicielami sześciu hoteli i czterech ośrodków wypoczynkowych w Polsce. Nasza oferta jest bardzo zróżnicowana. Hotele są zlokalizowane w atrakcyjnych turystycznie miejscach, jak np. wysokiej klasy hotel Krynica w Beskidach, hotel Solina w Bieszczadach, czy hotel Wolin nad Bałtykiem. Są to bez wątpienia idealne miejsca do wypoczynku. W naszej ofercie znajdują się również hotele sprzyjające spokojnemu wypoczynkowi w miejscach z dala od głów-

nych szlaków turystycznych. Ponadto hotel Wodnik w okolicach Bełchatowa, a w samym Bełchatowie hotel Sport, dzięki centralnemu położeniu to idealne miejsca do organizacji konferencji czy szkoleń.

Hotele to zawsze wyższa półka oferty. Co jeszcze firma jest w stanie zaproponować gościom?

W naszej ofercie hotele to nie wyłącznie wyższa półka. Atrakcyjność cenowa naszej oferty polega również na tym, że na nocleg w hotelu może pozwolić sobie również rodzina z dziećmi, a nie tylko gość biznesowy. Posiadamy ośrodki turystyczne zlokalizowane w różnorodnych miejscach. Oferują one nie tylko pokoje, ale też domki letniskowe, urządzone w wysokim standardzie. Takim miejscem jest

ceniony przez gości ośrodek Wawrzkowizna pod Betchatowem, a także ośrodek Krasnobród położony w otulinie Roztoczańskiego Parku Narodowego. Naszą ofertę kierujemy zarówno do turystów indywidualnych, jak i gości biznesowych. Organizujemy konferencje dla przedsiębiorców dostosowywane do różnej liczby gości. Do tego typu wydarzeń firmy oczekują nieco innej infrastruktury i my ją posiadamy. Klientom biznesowym polecam szczególnie hotel Wodnik w okolicach Betchatowa, który posiada największe zaplecze konferencyjno-noclegowe w południowej części województwa łódzkiego. Położony jest przy tym w niezwykle urokliwym miejscu, nad wodą, w otoczeniu lasu. Warto przy tym podkreślić, że dojazd do niego jest bardzo wygodny praktycznie z każdego miejsca Polski.



Jak radziliście sobie po zatrzymaniu gospodarki wskutek epidemii COVID-19?

Dla całej branży to był bardzo trudny czas. Wstrzymaliśmy podstawową działalność w zasadzie we wszystkich obiektach. Od połowy marca do maja odnotowaliśmy znaczący spadek przychodów. Najważniejsze jednak, że wszystkie nasze hotele i ośrodki już działają. Pracujemy przy wzmożonym reżimie sanitarnym, wprowadzonym w ramach ogólnopolskiej akcji „Bezpieczny Hotel – Bezpieczny Gość”.

Pracujecie w tym samym składzie obsługi?

Zdrowie oraz bezpieczeństwo naszych gości i pracowników są dla nas bardzo ważne. W naszych hotelach i ośrodkach pracują osoby z dużym doświadczeniem w branży turystycznej, co ma szczególne znaczenie w tym trudnym okresie. W czasie przestoju wywołanego epidemią koronawirusa bardzo dbaliśmy o to, by nikogo nie zwalniać.

Czym Elbest Hotels wyróżnia się na tym mocno konkurencyjnym rynku?

Przede wszystkim dysponujemy bardzo atrakcyjnymi lokalizacjami. Jak już wspominałem, w naszej ofercie, w zależności od preferencji naszych gości, mamy morze, góry oraz lasy i jeziora. Bardzo mocną stroną ośrodków Elbest są nasi pracownicy. Dzięki ich doświadczeniu nasi goście mają zagwarantowane poczucie bezpieczeństwa i komfort wypoczynku. Nasza oferta jest atrakcyjna cenowo. Dziś, kiedy część branży próbuje odbić sobie straty w drastyczny sposób podno-

sząc ceny, nasza oferta pozostała bardzo korzystna.

Jak postrzega Pan wprowadzenie bonu turystycznego? Czy to pomoże branży hotelarskiej?

Jestem przekonany, że takie rozwiązanie wesprze naszą branżę. My też chcemy z niego skorzystać. Zamierzamy wprowadzić dodatkowe ulgi i inne promocje dla osób, które będą używały bonu turystycznego, korzystając z naszej bazy hotelowej. Uważam, że bon turystyczny ma szansę stać się bardzo istotnym i znaczącym impulsem zwiększającym popyt na usługi hotelarskie w kraju. Teraz właśnie jest ten czas, by skorzystać z atrakcyjnych propozycji, wybierając urlop w Polsce. Jako spółka z Grupy PGE aktywnie włączamy się w akcję zainicjowaną przez pracowników PGE pod hasłem „Polskie – kupuję to!”. Wspólnie zapraszamy do spędzania wakacji w kraju. Szczególnie zachęcamy do odwiedzenia naszych obiektów, które poza atrakcyjnymi lokalizacjami kuszą także przystępnymi cenami. Nasza baza hotelowa jest otwarta dla osób planujących spędzić wakacje zarówno w górach, jak i nad morzem, w hotelach o wyższym standardzie, jak i w ośrodkach wypoczynkowych. Jesteśmy przykładem firmy, która zamierza zaprzeczyć pokutującemu wciąż stereotypowi, że wakacje w Polsce są nieatrakcyjne i drogie. Jest wręcz odwrotnie. Wakacje w Polsce można zorganizować w sposób ciekawy i niedrogi. To bardzo ważne, by Polacy znali i doceniali bogactwo turystyczne swojego kraju, który pod tym względem ma bardzo wiele do zaoferowania.



W takiej formule estoński CIT nie będzie lekarstwem na brak inwestycji

Ministerstwo Finansów zapowiada, że jednym z warunków korzystania z nowej formy opodatkowania CIT będzie wykazywanie nakładów inwestycyjnych. Nie zdradza jednak ani tego, o jakie nakłady chodzi, ani też jak miałyby być wykazywane. Jeśli zostanie to zrobione w sposób, jaki stosowano przy innych rozwiązaniach proinwestycyjnych, estońskiemu CIT nie należy wróżyć powodzenia.

Marek **Kutarba**

W 2021 roku ma zacząć obowiązywać w Polsce tzw. estoński CIT, który ma polegać na tym, że w przypadku pewnej grupy podatników podatek dochodowy miałby być płacony nie po uzyskaniu dochodów, a dopiero w momencie wypłaty zysku. Z tej możliwości będą mogli korzystać podatnicy CIT, których przychody nie przekraczają 50 mln zł. To jednak nie jedyny warunek. Taka forma opodatkowania będzie bowiem mogła dotyczyć tylko tych spółek, w których współnikami są wyłącznie osoby fizyczne, i tylko gdy spółka nie posiada udziałów w innych podmiotach. Spółka musi też zatrudniać minimum trzech pracowników (nie wiadomo, czy do liczby tej będą się wliczali także zatrudnieni w spółce wspólnicy) oraz – co najważniejsze – wykazywać nakłady inwestycyjne.

Podstawową zaletą nowej formy opodatkowania, poza brakiem podatku do momentu wypłaty zysku, ma być całkowity brak rachunkowości podatkowej, czyli jak wyjaśnia resort finansów, podatnik nie będzie musiał ustalać, co jest podatkowym kosztem uzyskania przychodu, obliczać odpisów amortyzacyjnych, stosować podatku minimalnego czy poświęcać czasu i środków na optymalizację podatkową.

Dwie korzyści?

Ministerstwo Finansów twierdzi, że taki model opodatkowania da przedsiębiorcom dwie podstawowe korzyści. Po pierwsze, zwiększy ich odporność na dekoniunkturę. Po drugie, zwiększy zdolności inwestycyjne, powodując wzrost

produktywności i innowacyjności.

O ile z pierwszym z tych twierdzeń można by się zgodzić bez większych zastrzeżeń, o tyle nad drugim już warto się głębiej zastanowić. Przede wszystkim nie bardzo zrozumiałe jest, w jaki sposób pozostawienie zysków w firmie miałoby w prosty sposób przekładać się na wzrost produktywności, a już szczególnie innowacyjności. Chyba że resort finansów zdecyduje się na wąskie zdefiniowanie pojęcia nakładów inwestycyjnych w sposób, który promował będzie te właśnie elementy.

Jak już wspomniałem, z ostatnich informacji na temat kształtu polskiej wersji estońskiego CIT wynika bowiem, że jednym z warunków umożliwiających korzystanie z tej preferencji ma być po-

noszenie nakładów inwestycyjnych.

Nadal nie wiadomo jednak, jak nakłady inwestycyjne miałyby być zdefiniowane. Czy obejmą każdą inwestycję, czy tylko wybrane formy lub rodzaje inwestycji, tak jak ma to miejsce w przypadku obowiązujących dziś ulg na badania i rozwój oraz tzw. IP BOX?

Nie wiadomo także, w jaki sposób przedsiębiorcy będą musieli udokumentować fakt ponoszenia takich nakładów, skoro równocześnie fiskus zapowiada, że korzystający z tej formy opodatkowania będą zwolnieni z obowiązku prowadzenia jakiegokolwiek księgowości podatkowej.

Od księgowości nie da się uciec

Ministerstwo Finansów zapowiada, że estoński CIT będzie

Estoński CIT nikogo z obowiązku rozliczania

VAT nie zwolni



oznaczał brak rachunkowości podatkowej i deklaracji. Nie wiadomo jednak, czy to samo miałyby dotyczyć księgowości rachunkowej, której końcowym efektem jest sprawozdanie finansowe, które musi trafić do KRS. Wydaje się, że raczej nie. Tak samo, jak nie do końca prawdziwa wydaje się obietnica braku rachunkowości podatkowej. Pozostaje przecież jeszcze kwestia rozliczania VAT.

Estoński CIT nikogo z obowiązku rozliczania VAT nie zwolni. A to oznacza, że resort mówi raczej o rachunkowości podatkowej na potrzeby CIT, co przy konieczności prowadzenia ewidencji VAT i ksiąg rachunkowych wcale nie odciąży tak bardzo przedsiębiorców, jak mogłoby się wydawać po pierwszych zapowiedziach ze strony ministra finansów. Chociaż niewątpliwie wyeliminuje kłopotliwe czasem spory o to, co może, a co nie może być kosztem podatkowym.

Tak czy inaczej, skoro ponoszenie nakładów inwestycyjnych ma być jednym z warunków uprawniających do korzystania z estońskiego CIT, pewne jest, że fiskus stworzy sobie narzędzie pozwalające mu ten warunek kontrolować. A to nie budzi dobrych skojarzeń u przedsiębiorców z dłuższą historią.

Złe doświadczenia

Musimy bowiem pamiętać, że Polska miała już w swojej historii podatkowe ulgi inwestycyjne. Wprowadzono je w latach 90. ubiegłego wieku. Cieszyły się one wówczas dużą popularnością. To jednak, co stało się później, po zakończeniu okresu ich obowiązywania, a zatem masowe



foto PAP / Tomasz Gzell

kontrole podatkowe nastawione na odbieranie przedsiębiorcom odliczonych kwot wraz z odsetkami (co robiono dość skutecznie pod byle pretekstem), skutecznie na lata zniechęciło podatników do korzystania z jakichkolwiek tego typu udogodnień podatkowych.

Stąd tak małe zainteresowanie ulgami na badanie i rozwój czy ulgą IP BOX (ulga pozwalająca na korzystanie z niższego CIT przez przedsiębiorców sprzedających tzw. kwalifikowane prawa własności intelektualnej). Pomijając już wady tych rozwiązań, takie jak np. to, że ulgi na badanie i rozwój nie dadzą się wykorzystać na rozwijanie projektów badawczych całkowicie we własnym zakresie, a jedynie na ich zakup poza firmą podatnika, podstawową

wą ich wadą jest skomplikowanie przepisów oraz obwarowanie licznymi warunkami, co skutecznie odstrasza szersze grono podatników od korzystania z nich.

Inwestycje? Niekoniecznie...

Podobnie może być z estońskim CIT. Jeśli definicja nakładów inwestycyjnych okaże się skomplikowana i obwarowana licznymi warunkami, które trzeba będzie spełnić, o prostocie i ułatwieniach, o których mówi dziś minister finansów, będzie można zapomnieć, a liczba korzystających z tej formy spółek może okazać się dużo mniejsza, niż wydaje się przedstawicielom rządu.

Dodatkowo trzeba pamiętać, że tzw. estoński CIT ma dotyczyć małych i średnich spółek. A te niekoniecznie mogą mieć warunki do pozostawiania wypracowanych zysków w spółce. Wspólnicy tych spółek nie prowadzą przecież działalności wyłącznie po to, by inwestować i rozwijać biznes, ale najczęściej również po to, by z zysków z tej działalności móc się utrzymywać. A zyski małych spółek wcale nie są tak wysokie. Szczególnie w gronie spółek, które nowym rozwiązaniem chciałoby objąć Ministerstwo Finansów.

Dlatego efekt inwestycyjny nowego rozwiązania może okazać się nikły w porównaniu z zapowiedziami Ministerstwa Finansów. Podobnie jak mało prawdopodobne wydaje się zwiększenie w związku z tymi inwestycjami liczby miejsc pracy. Chyba że liczymy na to, iż w związku z brakiem dywidendy więcej wspólników zatrudni się w swoich własnych spółkach...

Jacek **Gniadek SVD**

Menedżer nie jest przedsiębiorcą

W trzecią niedzielę czerwca wypadł Dzień Przedsiębiorcy. Został on ustanowiony przez Sejm Rzeczypospolitej Polskiej uchwałą w 2016 roku. Pani wicepremier i minister rozwoju Jadwiga Emilewicz przemówiła z tej okazji z amboony po mszy św. na Jasnej Górze.

Kościół przyznał, że było to zachowanie niefortunne ze strony władz zakonu paulinów i nigdy nie powinno mieć miejsca. Myślę, że nigdy by do tego nie doszło, gdyby Kościół miał własny Dzień Przedsiębiorcy. Nie ma go, gdyż przedsiębiorcy są marginalizowaną grupą w Kościele. Pamięta się o nich co najwyżej przy okazji składki na remont kościelnego dachu.

Kilka razy widziałem, jak podczas kazania księży zaprosili świecką osobę na ambonę, by dali świadectwo o tym, jak doświadczyli w swoim życiu działania Chrystusa. Było wprowadzenie księdza, później świadectwo, a na zakończenie podsumowanie. Nie miałem nic do zarzucenia. Szkoda tylko, że nigdy nie widziałem tam przedsiębiorcy.

Przypuszczam, że wszystko na tydzień przed pierwszą turą wyborów prezydenckich wyglą-

dałoby inaczej, gdyby pani wicepremier opowiedziała coś ze swojego doświadczenia jako katolicka przedsiębiorczyni. Brakuje dzisiaj w Polsce świadectw katolickich przedsiębiorców, którzy osiągnęli sukces własną pracą i chcą o tym opowiedzieć, by zachęcać młodzież do pójścia w ich ślady. Tak się jednak nie stało. Pewnie dlatego, że pani wicepremier nigdy w życiu nie prowadziła własnej firmy. Nie można przecież do tego zaliczyć kierowania państwowym muzeum PRL-u w Nowej Hucie.

O. Józef M. Bocheński OP pisał, że kapitał i siła robocza są niezębnymi elementami przedsiębiorstwa, ale potrzebują jeszcze elementu, który je inicjuje i łączy jako system. Utożsamianie właściciela kapitału z przedsiębiorcą dominikański filozof uważał za zabobon. Fałszywe jest także utożsamianie menedżera z przedsiębiorcą. Menedżer pełni tylko funkcję pomocnika przedsiębiorców i kapitalistów. O alokacji czynników produkcji do różnych branż decyduje przedsiębiorca, gdyż jest właścicielem majątku i zarządza nim na własny rachunek i na własne ryzyko. Menedżer, któremu centralny planista po-

wierza zarządzanie społecznym majątkiem, nie ryzykuje własnym bogactwem. Jego spekulacje dotyczą ryzykowania cudzych pieniędzy.

Własność prywatna jest dziś postrzegana przez państwo jako coś podejrzanego z etycznego punktu widzenia, co należy ograniczać i kontrolować. Dlatego najlepiej byłoby ustanowić w Kościele własny Dzień Przedsiębiorcy. Dobrym dniem byłby 13 listopada. To wspomnienie św. Homobona z Cremony. Żył w czasach św. Franciszka z Asyżu. Też był synem bogatego kupca, ale nie zrezygnował z majątku. Pomnożył go i później za swoje pieniądze pomagał biednym i chorym.

Prócz Dnia Przedsiębiorcy przydałby się jeszcze kościelny dokument o przedsiębiorczości. Mamy soborową deklarację o wolności religijnej „Dignitatis humanae”. Czas najwyższy na encyklikę o wolnej przedsiębiorczości. Jan Paweł II w „Centesimus annus” zasugerował, by słowo kapitalizm, który może się niektórym źle kojarzyć, zastąpić innym określeniem, np. „ekonomia przedsiębiorczości”, „ekonomia rynku” lub po prostu „wolna ekonomia”.



Własna waluta

to tarcza na trudne czasy

Nie pierwszy raz w ciągu ostatnich kilkunastu lat przekonujemy się w Polsce, że posiadanie własnej waluty ma ogromne znaczenie dla stabilizowania sytuacji makroekonomicznej. Potwierdzają się zatem opinie tych ekonomistów, którzy wskazywali, że rezygnacja ze złotego miałaby dla naszej gospodarki negatywne skutki.

Kamil Goral

Zatem co tak naprawdę daje posiadanie własnej waluty? Czy nie lepiej byłoby zastąpić polskiego złotego „wspólnotowym” euro? To przecież pieniądź, którym płacą w Paryżu, Berlinie czy Wiedniu. A to właśnie są państwa, do których poziomu ekonomicznego aspirujemy. Może zatem warto zrezygnować ze złotego na rzecz środka płatniczego obowiązującego w większości krajów zachodniej Europy?

Pozory mogą mylić

Polska wciąż ma do nadrobienia spory dystans do średniej unijnej, jeśli chodzi o poziom życia. Tyle że wydłużał się on wtedy, kiedy w tzw. Starej Unii obowiązywały waluty narodowe. Różnica w bogactwie nie bierze się z tego, że we Francji czy Niemczech płacą euro, a w Polsce nie. Można powiedzieć, że jest nawet odwrotnie.

Świadczy o tym przykład państw południowej części naszego kontynentu. Potężnym ciosem dla ich gospodarek był światowy kryzys finansowy. Kraje te, w największym skrócie opisując stan rzeczy, utraciły wówczas swoją konkurencyjność, a ich gospodarki wpadły w poważne strukturalne problemy, takie jak wysokie bezrobocie czy rachityczna dynamika tempa wzrostu PKB. Książkowym działaniem w takich sytuacjach jest dewaluacja narodowej waluty, pozwalająca złapać drugi oddech i przynajmniej częściowo odzyskać wspomnianą utraconą konkurencyjność. Grecy, Hiszpanie czy Włosi nie mogli sobie jednak na to pozwolić. Mając euro, byli pozbawieni bardzo ważnego elementu prowadzenia polityki gospodarczej, nie mogli na nią oddziaływać po-

przez dostosowaną do swoich potrzeb politykę pieniężną i kursową. Efekt? Od 2008 roku PKB per capita liczone z uwzględnieniem parytetu siły nabywczej spadło we Włoszech ze 108 średniej unijnej do 95 w 2019 roku, w Hiszpanii ze 102 do 91 dla analogicznego okresu. Najdramatyczniejszy ten spadek wyglądał w Grecji – z 95 do jedynie 68.

Oczywiście wskaźników tych nie da się rzucić jedynie na euro. Miały one także inne przyczyny, niemniej wiele wskazuje na to, że gdyby zadziałał mechanizm dewaluacji, kraje te mogłyby znacznie szybciej stanąć na nogi. Nie miały jednak na to szansy. Również doświadczenia państw naszego regionu wskazują, że przyjęcie euro, o ile nawet nie przeszkadza, o tyle nie pomaga w poprawie najważniejszych zmiennych makroekonomicznych. Stosowna analiza w tym zakresie została przygotowana przez mnie dla Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa. Mówiąc w skrócie, te kraje byłego bloku wschodniego, które weszły do unii walutowej, wcale nie radzą sobie ekonomicznie lepiej niż Polska.

Co zyskujemy z własną walutą?

Kryzys gospodarczy wywołany przez pandemię nie ma precedensu w najnowszej historii świata, licząc od połowy ubiegłego wieku. Oznacza to, że aby mu przeciwdziałać, konieczne są zupełnie wyjątkowe działania. W tym kontekście warto mieć na stole wszystkie opcje, tak aby do dyspozycji były narzędzia fiskalne i monetarne. Jeśli chodzi o te pierwsze, oczywistym jest zwiększanie się deficytu budżetowego i zawieszenie obowiązujących mecha-

W szczytowym momencie za USD trzeba było płacić ok. 4,3 zł.

nizmów przeciwdziałających nadmiernemu zadłużaniu.

W Polsce jest nim stabilizująca reguła wydatkowa. Na czas poprawy sytuacji ekonomicznej w kraju jej stosowanie zostaje wstrzymane. Mamy jeszcze konstytucyjny próg 60 proc. relacji długu publicznego do PKB. W tym wypadku nie należy się raczej spodziewać rewolucji. Ta bowiem wymagałaby ponadpartyjnego konsensusu w parlamencie, a to w obecnej sytuacji politycznej w Polsce wydaje się mało prawdopodobne. Tym ważniejsze jest to, że nasz kraj może prowadzić suwerenną i odpowiednią do okoliczności politykę pieniężną i walutową.

Zaraz po pojawieniu się pierwszych zachorowań na koronawirusa w Polsce i wynikającym z nich lockdownie, Narodowy Bank Polski ruszył z odsieczą. Po pierwsze obniżył główną stopę procentową, do maja spadła z 1,5 proc. do zaledwie 0,1 proc. Gospodarcze skutki pandemii nie pozostały bez wpływu także na polską walutę. W marcu złoty mocno osłabił się wobec euro i dolara. W szczytowym momencie za USD trzeba było płacić ok. 4,3 zł, za euro zaś ponad 4,6 zł. Na początku roku kosztowały one odpowiednio 3,8 zł i 4,24 zł. Po decyzjach NBP wydawać by się mogło, że złoty w dalszym ciągu może tracić na wartości. Tymczasem zaczął on szybko odra-

biać straty, co wywołało nawet lekki niepokój w Radzie Polityki Pieniężnej. Czemu? Lockdown silnie wpłynął bowiem na polską wymianę handlową. W ujęciu nominalnym nasz eksport spadł w kwietniu aż o ponad ¼ (podobnie było z importem). W związku z tym pojawiły się obawy, że umacniający się złoty zaszkodzi i tak poszkodowanemu eksporterom. Mając jednak kontrolę nad własną walutą, rodzime władze monetarne samą tylko komunikacją mogą wpływać na jej kurs. Gdyby w Polsce obowiązywało euro, takiej możliwości by nie było.

Dlaczego złoty jest mocny?

W długim okresie wartość waluty krajowej uzależniona jest przede wszystkim od wewnętrznych czynników makroekonomicznych w danym państwie. Prawdą jest, że w krótkim okresie kurs podlega wahaniom, nierzadko oderwanym od uwarunkowań ekonomicznych. Co do zasady jednak ważne są fundamenty, czyli wartości, jaką przyjmują te zmienne, na podstawie których oceniamy kondycję danej gospodarki. Kluczowe są zatem m.in. dynamika PKB, stan finansów publicznych, sytuacja na rynku pracy czy bilans handlowy. Nie bez znaczenia jest także ocena stabilności politycznej i prawnej danego kraju. Pod praktycznie każdym z tych względów Polska wygląda bardzo dobrze (oczywiście mając na uwadze aktualny kontekst), szczególnie w porównaniu z resztą Unii Europejskiej. Nie dziwi zatem, że waluta naszego kraju radzi sobie całkiem nieźle. Przy tym wciąż nasze władze monetarne mają wpływ na jej wartość, mogąc dzięki temu wspierać wzrost polskiej gospodarki.



20
years

Polscy uczestnicy
UN GLOBAL COMPACT
LEADERS SUMMIT

MAŁGORZATA JAROSIŃSKA-JEDYNAK
Minister of Development Funds and Regional Policy



Polski wkład w budowę gospodarki niskoemisyjnej

W jaki sposób po pandemii odbudować gospodarkę i społeczeństwo? Jaki model rozwoju obrać, aby był sprawiedliwy, niskoemisyjny i odporny na zmiany klimatu? Największe polskie przedsiębiorstwa, wspierane przez administrację rządową, przekierowują się na myślenie o ekologicznych źródłach energii.

Robert **Azembki**

Pandemia COVID-19 nie przestroniła konieczności rozpoczęcia procesu transformacji energetycznej i zredefiniowania wobec tego nie tylko postaw rządów, ale także wiodących przedsiębiorstw. Zmniejszenie emisji CO₂ oraz innych szkodliwych gazów nie przestało być w Europie priorytetem. – Pandemia testuje naszą polityczną determinację w dążeniu do osiągnięcia celów klimatycznych. Nie przestajemy działać i nadal realizujemy naszą długoterminową wizję transformacji w czystą i zieloną gospodarkę – mówi Małgorzata Jarosińska-Jedynak, minister funduszy i polityki regionalnej.

Na rzecz OZE

Chcąc osiągnąć te ambitne cele, konieczne jest part-

nerstwo i współpraca, zarówno po stronie przedsiębiorstw, jak i administracji publicznej. Jednym z przykładów tego rodzaju działań są wspólne inicjatywy sektora kolejowego, który już dzisiaj jest najbardziej energooszczędnym i ekologicznym środkiem transportu.

Kolej zużywa niecałe 2 proc. energii w skali kraju, jednak w sektorze jest wciąż duży potencjał do zwiększenia efektywności energetycznej. Głównym celem Centrum Efektywności Energetycznej Kolei (CEEK), które zrzesza niemal 100 podmiotów odpowiedzialnych za konsumpcję 95 proc. energii w sektorze, jest ograniczenie zużycia energii o 1,2 TWh w perspektywie 10 lat. Pozwoli to na redukcję emisji CO₂ o ponad 1 mln ton. CEEK opracował

również projekt „zielonej kolei”, czyli transformacji źródeł zasilania pociągów w Polsce. Główną rolę w tym projekcie powierzył PKP Energetyka, spółce, która zasilą polską kolej. Właśnie ta inicjatywa została zaprezentowana na forum ONZ. Jej wdrożenie umożliwi zasilanie polskiej kolei w 85 proc. z odnawialnych źródeł energii. Perspektywa osiągnięcia tego celu to 2030 rok. Szacuje się, że program mógłby stymulować inwestycje w OZE o wartości 6–10 mld zł w ciągu 10 lat. Te wszystkie działania pozwolą na redukcję emisji CO₂ o ponad 9 mln ton.

– Warto podkreślić, że projekt zakłada docelowo doprowadzenie do zeroemisyjnej kolei w Polsce. Oparcie zasilania o OZE nie tylko pozytywnie wpłynie na środowisko, ale także pozwoli zwiększyć konkurencyjność całej branży. Kluczem do skutecznej realizacji tak dużego projektu jest stworzenie atrakcyjnych warunków inwestycyjnych dla budowy instalacji OZE oraz współpraca całego sektora kolejowego – mówi Wojciech Orzech, prezes PKP Energetyka.

Międzynarodowa reprezentacja

Nic więc dziwnego, że PKP Energetyka, wraz z innymi firmami wykazującymi szczególną dbałość o środowisko naturalne, zeroemisyjność i zrównoważony rozwój, znalazła się w gronie zaproszonych gości, delegowanych na tegoroczny Szczyt United Nations Global Compact Leaders Summit. Podczas tego szczytu 200 ekspertów z całego świata przez 26 godzin nieprzerwanej transmisji on-line obradowało, jak znaleźć wspólne rozwiązanie dla problemu nierówności,

kryzysu klimatycznego oraz pandemii COVID-19.

UN Global Compact jest agendą ONZ, która od 20 lat pracuje na rzecz bardziej odpowiedzialnego i zrównoważonego rozwoju. W tym roku szczyt odbywał się pod hasłem odbudowy i partnerstwa: „Recover better, recover stronger, recover together”. Wśród uczestników znaleźli się m.in. niemiecka kanclerz Angela Merkel i były wiceprezydent USA Al Gore. Polski rząd reprezentował m.in. minister klimatu Michał Kurtyka. Delegacje poszczególnych krajów składały się z reprezentantów rządów oraz wybranych przedstawicieli biznesu, wdrażających projekty w zakresie zrównoważonego rozwoju. Polskiej delegacji przewodniła Małgorzata Jarosińska-Jedynak, minister funduszy i polityki regionalnej, a w jej składzie znaleźli się także przedstawiciele firm podejmujących „zielone projekty”: Jerzy Kwieciński (PGNiG), Wojciech Orzech (PKP Energetyka), Katarzyna Zawodna-Bijoch (SKANSKA C.D. Europe) oraz Piotr Michałowski (Europejski Bank Inwestycyjny).

– Firmy takie jak PGNiG, Skanska i PKP Energetyka charakteryzuje podejmowanie oddolnych inicjatyw na rzecz zmniejszania emisji CO₂ do atmosfery, praca nad nowymi, sprzyjającymi środowisku modelami technologicznymi i innowacyjne partnerstwo na rzecz osiągnięcia gospodarki niskoemisyjnej – mówi Kamil Wyszkowski, dyrektor generalny UN Global Compact.

Projekt „Zielona Kolej”, nad którym pracują polskie firmy kolejowe, spotkał się z dużym zainteresowaniem na forum ONZ jako case study, które ma realną szansę stać się elementem odbudowy gospodarki w sposób przyjazny dla środowiska. Co szczególnie istotne, inicjatywa polskiej branży kolejowej jest w pełni aplikowalna i może być wdrażana także na innych rynkach.

Rozwój z dbałością o klimat

Podczas paneli przeważały głosy, że drogą do poprawy jakości klimatu i ograniczenia redukcji CO₂ są właśnie nowe technologie i modele, które pozwolą poszczególnym sektorom gospodarki ograniczać emisje CO₂.

Zarówno światowi przywódcy, jak i przedstawiciele delegowanych firm podkreślali konieczność realizacji celów klimatycznych przy zachowaniu zasad zrównoważonego rozwoju. Starali się wspólnie odpowiedzieć na pytanie o możliwość odbudowy bardziej integracyjnego, sprawiedliwego i równego społeczeństwa oraz gospodarki – przy jednoczesnym dążeniu do osiągnięcia neutralności klimatycznej.

Jedno nie ulega wątpliwości: także wiodące polskie firmy są już na tej drodze.





Przeptyw pracowników, podnoszenie kompetencji, budowanie świadomości własnej siły są bardzo potrzebne, bo to one na końcu składają się na sukces. Tak właśnie chcemy definiować nowoczesny patriotyzm gospodarczy, będący ideą spajającą Kongres - mówi Remigiusz Kopoczek, prezes Kongresu 590.

Rozmawiał Krzysztof Budka

Wiadomo już, czy w tym roku odbędzie się kolejna edycja Kongresu 590?

Tak. Termin tegorocznej, piątej już edycji Kongresu 590, to 21–22 października. Tak samo jak w edycjach poprzednich, odbędzie się on w Arenie w Jasionce koło Rzeszowa. Pod tym względem więc nic się nie zmienia. Mam nadzieję, że sytuacja pandemiczna pozwoli przeprowadzić go w pełnej formie obejmującej zarówno wydarzenie stacjonarne, jak i obecność w sieci. Jesteśmy przygotowani na każdy możliwy scenariusz, niemniej liczymy, że tegoroczny Kongres będzie miał format pełnego uczestnictwa, jak miało to miejsce do tej pory, a nawet szerszy dostęp dzięki transmisjom on-line.

Czymś ta piąta edycja będzie się różniła od poprzednich? Macie Państwo pomysł na nową formułę Kongresu?

Piąta edycja już sama w sobie narzuca własny format – pewnego podsumowania, jak również zaplanowania działań na przyszłość. Takim ogólnym tematem i założeniem tegorocznego Kongresu 590 jest wizja roku 2030. Czyli chcemy rozmawiać o stosunkowo niedalekiej przyszłości, bo przecież to tylko dziesięć lat. Chcemy się skoncentrować na zagrożeniach, szansach i wszelkich zdarzeniach, które potencjalnie mogą mieć miejsce, a także na wizji Polski w perspektywie dekady. Polski jako kraju dynamicznego i bardzo prężnego gospodarczo. Trzy główne bloki tema-

tyczne, mówiąc w największym uproszczeniu, to gospodarka, społeczeństwo i kultura. One przenikają się i są ze sobą mocno powiązane. Chcemy rozmawiać w ramach tych głównych obszarów o tym wszystkim, co może całkowicie zmienić przyszłość naszego kraju. Tym bardziej że sytuacja pandemiczna nieco przewartościowała utarte, schematyczne myślenie o tym, jak funkcjonuje gospodarka i społeczeństwo. Pewne rozwiązania przestały działać, dlatego musimy znaleźć zupełnie nowe formuły i nowe formaty, które będą dla nas korzystne i pozwolą nam w dalszym ciągu szybko się rozwijać.

Politykom często zarzuca się, zresztą słusznie, że myślą w perspektywie roku albo co najwyżej najbliższych wyborów. Natomiast, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale myślę, że dekada to i tak najkrótszy okres, w którym powinno się myśleć o tym, jaką Polskę przekażemy następnemu pokoleniu.

Oczywiście. Każdy z nas może wykonać taką bardzo prostą operację myślową, czyli przypomnieć sobie, co robił w roku 2010. Zorientuje się wówczas, że ta ostatnia dekada minęła błyskawicznie. To było prawie dwa lata po ogólnosiwiatowym kryzysie finansowym, a wydaje się tak całkiem niedawno. Więc mówimy o okresie, który bardzo szybko nam upłynie. Procesy, które dzieją się wokół nas, są niezwykle dynamiczne, nie ma innej możliwości – musimy patrzeć na takie rozwiązania i na takie działania, które prowadzone są tu i teraz, ale z konsekwencjami widocznymi za 3, 5 czy 10 lat. Cho-

ciażby inwestycje strukturalne, które są obecnie przygotowywane bądź już prowadzone: w jakim stopniu zmieniają krajobraz, rzeczywistość i sposób komunikowania się społeczeństwa? Czy też inwestycje dużych zagranicznych korporacji w centra obliczeniowe w Polsce – w jaki sposób może to całkowicie przeorientować biznes, który jest w tej chwili prowadzony? To cały zbiór zagadnień, który przełoży się na czynniki społeczne i kulturalne. Dostępność i łatwość komunikacji zmienia przepływ ludności, kontaktów, czy obcowania ze sztuką i kulturą. To bardzo szerokie zagadnienie. I tak chcielibyśmy do tego podejść: pokazać wieloaspektowość, a nie tworzyć wyspy tematyczne, które funkcjonują sobie zupełnie samodzielnie.

Dla kogo będzie ten Kongres?

Chciałbym, aby był dla wszystkich, którzy myślą długofalowo, śledzą trendy i chcą być na nie gotowi. Oczywiście jeżeli będą ograniczenia związane z liczbą uczestników na miejscu, będziemy

te ograniczenia respektować. Dlatego całość będzie przygotowana w takim formacie, aby można było uczestniczyć w Kongresie zdalnie. Zdajemy sobie sprawę, że oglądanie na ekranie komputera cze- gokolwiek przez wiele godzin nie jest specjalnie przyjemną czynnością, więc przygotowujemy taki format, który będzie atrakcyjny zarówno dla uczestników, którzy będą na miejscu, jak i tych, którzy śledzić będą Kongres w formie zdalnej. Chcemy, by ta grupa też mogła mieć faktyczny wpływ na przebieg rozmowy.

Kto odpowiada za przygotowanie merytoryczne zagadnień poruszanych na Kongresie?

Zaprosiliśmy do współpracy szereg organizacji i instytucji okotobiznesowych, w tym między innymi Radę Gospodarczą Strefy Wolnego Słowa oraz „Forum Polskiej Gospodarki”. Utworzyliśmy Radę Programową Kongresu, w skład której wchodzi eksperci z Instytutu Gospodarki Narodowej, a także z różnego rodzaju stowarzyszeń i think tanków, jak również z uczelni wyższych. Z racji moich osobistych kontaktów ze środowiskiem akademickim – jestem wykładowcą na Uniwersytecie Śląskim – chciałem zaangażować w tej Radzie w większym stopniu środowiska akademickie. Po to, by dyskusje podczas Kongresu były oparte o wiedzę i znajomość faktów oraz wyniki istotnych badań prowadzonych na uczelniach wyższych i instytutach badawczych. Chcemy przesunąć akcenty na element kreowania rzeczywistości – nie tylko zajmować się sprawami bieżą-

Chcemy się skoncentrować na wizji Polski w perspektywie dekady. Polski jako kraju dynamicznego i bardzo prężnego gospodarczo.

cymi, powiedzmy – legislacją, sprawami związanymi z sytuacją gospodarczą, ale przede wszystkim chcemy pokusić się o poszukiwanie odpowiedzi na pytania, które są szczególnie trudne.

Jakie na przykład?

Co zrobić, żeby zmienić model demograficzny w Polsce? Albo: w jaki sposób zmodyfikować przemysł tak, aby z jednej strony był bardziej „zielony” i spełniał coraz bardziej wyrubowane normy, a z drugiej nie zadusił potencjału polskiej gospodarki? Jakie technologie są schyłkowe, a którym nowym technologiom warto się bardziej przyglądać?

Zdecydowanie brzmi bardziej naukowo niż polityczne.

Ekspercko. To chyba najlepsze określenie. Merytoryczną treść Kongresu mają zapewnić eksperci. Celem nadrzędnym jest wzmacnianie potencjału wszystkich debat i dyskusji. Chodzi o to, by uczestnicy, którzy przyjeżdżają na Kongres, mieli poczucie, że biorą udział w wydarzeniu unikalnym i ważnym. W wydarzeniu, które pokazuje trendy i kreuje rzeczywistość, a jednocześnie pokazuje rozwiązania, które trzeba zastosować, by wszystkim żyło się po prostu lepiej.

Zapytam jeszcze o największą grupę kreującą rzeczywistość w polskiej gospodarce, czyli o sektor MSP. Co Kongres 590 może zaproponować tym przedsiębiorcom?

Zgadza się, że sektor MŚP jest głównym krwioobiegiem gospodarki. Chcemy przygotować kilka form, które będą dedykowane tylko dla tej grupy firm. Chodzi nam o formaty, któ-



re będą realizowane podczas dyskusji, a zostaną sfokusowane na MŚP. Na przykład będą prowadzone różnego rodzaju warsztaty czy wykłady tematyczne skoncentrowane na takich zagadnieniach, które są nośne i ważne dla tej grupy odbiorców. Będzie przygotowana forma pod ogólną nazwą „Forum 590”, która będzie miała kształt pitchingu, czyli firmy MŚP będą mogły zgłosić się wcześniej do prezentacji. Krótko mówiąc, ofertę dla tego sekto-

Sektor MŚP jest głównym krwioobiegiem gospodarki. Chcemy przygotować kilka form, które będą dedykowane tylko dla tej grupy firm.

ra chcemy potraktować warsztatowo, ale z drugiej strony też dać jej możliwość networkingu. Przepływ pracowników, podnoszenie kompetencji, budowanie świadomości własnej siły są bardzo potrzebne, bo to one na końcu składają się na sukces. Tak właśnie chcemy definiować nowoczesny patriotyzm gospodarczy, będący ideą spajającą Kongres.

Jaką rolę do odegrania będą miały Spółki Skarbu Państwa?

Bliska jest mi wizja Spółek Skarbu Państwa jak „parasoli”. Chodzi o to, by budowały one takie organizmy, które wokół nich pozwolą funkcjonować innym. To nie tylko jest kwestia kontraktów czy prowadzenia jakichś wspólnych interesów, ale samego faktu, że duża spółka Skarbu Państwa (czy w ogóle duża spółka) pokazuje dobre praktyki, jakie wprowadziła i jakie sprawiły, że dynamiczniej się rozwija. Zastosowane technologie, kultura pracy, sposób współdziałania z kooperantami, obsługa klienta itd. Cały ten proces jest zapewne tak samo ważny z punktu widzenia tych małych i średnich firm, których nie stać na przykład na przeprowadzenie daleko idących analiz, badań rynku, na znalezienie rozwiązań technicznych czy kontaktów z innymi kooperantami. Te „parasole” mają mieć bardzo szeroki charakter. Wyobrażam sobie to w taki sposób, by te duże podmioty znalazły płaszczyzny, w których edukują, kształcą, ale też wskazują tym mniejszym aktualne trendy. Uważam, że to byłby ich najcenniejszy wkład w rozwój całej naszej gospodarki.

LOTERIADA

jak niezwykle!

Ponad
1000 niezwykle nagród!



**6 x HYBRYDOWY
FIAT 500**

200 x GŁOŚNIK



**114 x
SAMSUNG
GALAXY A71**



**18 x
THERMOMIX®**



**36 x
ROWER
ELEKTRYCZNY**



**30 x ASUS
TUF GAMING FX505**

**600 x
KARTA
PODARUNKOWA 300 ZŁ**



Do wygrania

MILION zakładów Lotto

Graj w punktach LOTTO
i na lotto.pl

**Kup dowolny produkt za min. 6 zł. Wybierz grę Lotto
i dodatkowo zyskaj szansę na jeden z MILIONA zakładów Lotto.**



Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

Szczegóły i regulamin na www.loteriada.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa **od 10 lipca do 31 sierpnia 2020 r.**

Liczba talonów jest ograniczona i wynosi 1 000 000 sztuk. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

eprasa.pl b63589b6f9

Czy bezpieczeństwo żywnościowe Polski jest zagrożone?

Czas pandemii koronawirusa obnażył niewłaściwe kierunki polityki rolnej wielu państw Unii Europejskiej, ale także - szerzej - światowych gospodarek rolnych. Problemów nie ustrzegli się tacy hegemoni jak Chiny, Stany Zjednoczone czy kraje grupy Mercosur. Polska nie odczuła tak wielu trudności znanych innym państwom - zarówno w odniesieniu do produkcji, jak i dostaw czy rynku konsumenckiego. Dlaczego?

Jacek **Podgórski**

Mimo wielu trudności związanych z nierówną konkurencją na rynku unijnym, faworyzowania przez unijnego „wielkiego brata” bezpośredniego rolniczego rywala Polski, czyli Ukrainy, mimo zwrotu w stronę „zielonego rolnictwa”, polska gospodarka rolna od lat pozostaje stabilna. Ba, notuje permanentne wzrosty wszelkich wskaźników produkcyjnych czy eksportowych. Nasz kraj wciąż otrzymuje niższe dopłaty obszarowe niż najsilniej rozwinięte rolniczo kraje Wspólnoty Europejskiej, co jest niezrozumiałe w kontekście unijnej – niestety teoretycznej – polityki równania szans. To nasz kraj cierpi na wzmożonym eksporcie z Ukrainy, który najczęściej zatrzymuje się na wschodniej ścianie Polski. To nasz kraj najrealniej odczuwa konsekwencje wprowadzania kolejnych bezcłowych kontyn-

gentów darowanych wschodniemu rolnemu gigantowi. To nasz kraj cierpi na postrzeganiu przez Niemcy Ukrainy – nie Polski – jako „spichlerza Unii Europejskiej”, o czym niejednokrotnie wspominała kanclerz Angela Merkel. To nasz kraj...

Właściwy kierunek

Mimo tych wszystkich kłód rzucanych pod nogi polskim gospodarzom to rodzime rolnictwo notuje od lat najwyższą dynamikę wzrostu produkcji rolnej wśród wszystkich państw członkowskich UE.

Dzieje się tak z powodu wciąż postępującej profesjonalizacji polskiego rolnika, wzrostu technicyzacji, obrania właściwego kierunku kształtowania ustroju rolnego i wielu innych zmiennych. Ciężka praca polskich rolników doprowadziła do kluczowej sytuacji, w której Polska stała się

krajem nadwyżkowym. Oznacza to dokładnie, że produkujemy tyle żywności lub półproduktów koniecznych do jej wytworzenia, że bez trudu potrafimy rokrocznie zwiększać nasze wskaźniki eksportowe przy jednoczesnym zachowaniu równowagi na rynku krajowym. Tylko w ostatnim roku przed pandemią eksport artykułów rolno-spożywczych znad Wisły przekroczył barierę 31,4 mld euro. To wartość, która stanowi pochodną wzrostów eksportu – nieprzerwanych od roku 2004, kiedy wyeksportowaliśmy artykuły rolno-spożywcze o wartości 5,2 mld euro. Tylko względem roku 2018, w poprzednim Polsce zanotowała wzrost na poziomie 5,8 proc.

Dywersyfikacja ryzyka

Struktura towarowa rodzimego sektora rolnego opiera się na szerokiej grupie produktowej, co pozwala na dywersyfikację ryzyka. W roku 2019 z tytułu eksportu mięsa czerwonego Polska zarobiła 3,8 mld euro, ze sprzedaży drobiu i jego przetworów – niemal 3 mld euro, mleka i jego przetworów – 2,3 mld euro, zbóż – niemal 3 mld euro, ryb – 2,2 mld euro, warzyw – 1,8 mld euro, owoców – 1,3 mld euro.

Wartości pieniężne przekładają się tu na ogromny wolumen, który wynosi w przypadku czerwonego mięsa – 1,5 mln ton, czy drobiu i przetworów – 1,5 mln ton. Wszelkie wartości wypadają tu korzystnie, co w połączeniu z dodatnim saldem wynoszącym w 2019 roku 10,4 mld euro sytuuje Polskę w gronie najsilniejszych pod względem rolnym państw Unii Europejskiej. Wzmógł się eks-

port, który w znacznej mierze opart się także skutkom pandemii COVID-19, w żaden sposób nie wpłynął także na poziom zapasów żywności w kraju. Nie zachwiały nim także regularnie nawiedzające Polskę susze, deszcze nawalne, gradobicia, przymrozki i inne kataklizmy. Nie zachwiały, ponieważ rolnicy nauczyli się częściowo łagodzić skutki niekorzystnych zjawisk atmosferycznych, a rząd nie pozostawił ich samym sobie, kiedy byli w największej potrzebie.

Wysoki poziom profesjonalizacji rodzimego rolnictwa pozwolił także na ograniczanie ryzyka eksportowego.



Wprawdzie wciąż największym odbiorcą tego sektora pozostaje Unia Europejska, która generuje 81 proc. przychodów pochodzących z eksportu rolnego, ale Polska wciąż zdobywa nowe intratne rynki. Tylko w ubiegłym roku o 17 proc. wzrósł eksport do Wspólnoty Niepodległych Państw, a o 12 proc. do innych krajów trzecich. Umacniamy się na pozycji silnego eksportera do Chin, USA czy... na Ukrainę.

Nie pozostaje to bez znaczenia dla bezpieczeństwa żywnościowego kraju. Zwiększone przychody rolników pozwalają im na stabilne zaopatrywanie rynku wewnętrznego. Tylko z pozoru wydaje się to sytuacją naturalną. Na tym polu, w szczytowym okresie pandemii, polegli bowiem Włosi, Hiszpanie i Portugalczycy.

Wiele do zrobienia

Nie oznacza to jednak, że rodzimy sektor rolny nie może poprawić swojej sytuacji – wręcz przeciwnie. Wciąż zbyt niewiele w tej składowej gospodarki impulsów do nowoczesnych inwestycji, wciąż zbyt wysoki udział zagranicznego kapitału, który zdominował część branż rolnych, stanowiąc pokłosie złodziejskiej prywatyzacji minionej ery. Wciąż – wreszcie – ogromna praca do wykonania dla rozwoju, mającego przecież wspaniałe tradycje, polskiego systemu spółdzielczości rolnej. Szczególnie bez ostatniego z wymienionych elementów nie można myśleć o przekroczeniu bariery, która dziś wydaje się tylko szklanym sufitem.

*autor jest dyrektorem Instytutu Gospodarki Rolnej

Technologia pędzi, ale czy prawo nadąża?

Dwa lata temu przewidywano, że jeśli w pełni wykorzystamy potencjał cyfryzacji, to do 2025 roku PKB Polski może zwiększyć się nawet o 275 mld złotych. Pandemia z pewnością znacznie przyspieszyła postęp w zakresie rozwoju robotyzacji, telepracy, pracy zdalnej oraz wszystkiego, co wiąże się z pojęciem Industry 4.0.

Janusz Grobicki

Nie ma jeszcze badań, które oceniłyby dynamikę wartości dodanej, której źródłem są nowe technologie. Jednak u progu „nowej normalności” rzeczywista świadomość znaczenia procesów cyfryzacji gospodarki stała się udziałem nie tylko elit gospodarczych, ale także szerokich rzesz przedsiębiorców i pracowników.

Wypchnięci przez COVID-19

W początkowej fazie mrożenia gospodarki telepraca oraz praca zdalna stały się jedyną szansą na podtrzymanie działalności wielu organizacji, przedsiębiorstw i instytucji. W zasadzie cały system nauczania oparł się na zdalnej pracy nauczycieli i uczniów. Tradycyjne wzorce zarządza-

nia, wobec konieczności pogodzenia się z brakiem bezpośredniego kontaktu i wpływu na pracownika, zostały wystawione na poważną próbę. Niektórzy menedżerowie gwałtownie musieli zrezygnować ze stylu autokratycznego i przestawić się na liberalne metody współpracy z podwładnymi. W wielu firmach zaczęto uczyć się zarządzania przez cele.

Wiele się zmieniło, ale czy te zmiany są spełnieniem marzeń o cyfrowej transformacji, uwalniającej kreatywną inicjatywę ludzi, którzy przed pandemią, zamknięci w swoich zakładach pracy, z zazdrością spoglądali w stronę – ich zdaniem uprzywilejowanych – przedstawicieli tzw. wolnych zawodów? Do czasu wybuchu epidemii telepraca i praca zdalna funkcjonowały na obrzeżach rynku

pracy. Raptowne upowszechnianie się tej formy organizacji życia gospodarczego postawiło zagadnienia związane z powszechnym wykorzystaniem IT w procesie funkcjonowania gospodarki na eksponowanym miejscu. Dotyczy to nie tylko jej wpływu na PKB. Okazało się, że rozwiązania prawne znów nie nadążają za tempem zmian rzeczywistości.

Zdalnie, czyli „na gębę”

Masowe przejście na pracę zdalną było możliwe dzięki kosmetyce prawnej. Tarcza antykryzysowa 1.0 otworzyła tę możliwość przed pracodawcami. Tak niewiele było potrzeba, aby zakończyć wieloletnie spory prawników, którzy pracę zdalnej nawet nie potrafili zdefiniować. Do tej pory ta forma wykonywania zadań nie ma żadnego odzwierciedlenia w Kodeksie pracy. Warto wiedzieć, czym praca zdalna różni się od dość wnikliwie i szczegółowo uregulowanej kodeksowo telepracy. Chodzi o to, że – w przeciwieństwie do Home Office – telepraca ma charakter stały. Umowa dotycząca telepracy ma sformalizowany charakter, umocowany w konkretnych rozwiązaniach prawnych.

Jeśli pracownik nie przychodzi do pracy i tylko czasowo wykonuje swoje obowiązki z domu, to zwykle podstawą jest umowa ustna z pracodawcą. Tymczasem w przypadku telepracy wykonywanie pracy poza zakładem pracy jest zasadą. Skoro praca zdalna świadczona jest „na gębę”, to co w tej sytuacji z prawami i obowiązkami pracodawców? Jakie zasady obowiązują pracowników? Co z BHP? Czy w razie konfliktu lub nieszczęśliwego

Z każdym rokiem postęp technologiczny będzie mnożyć coraz poważniejsze wyzwania przed prawnikami.

wypadku sądy będą potrafiły sprawiedliwie ocenić sytuację? Jakie zasady mają obowiązywać na przykład ubezpieczycieli w przypadku uszkodzeń sprzętu używanego do celów służbowych? Jak długo można pracować zdalnie, bo przecież nie każdy jest entuzjastą takiego sposobu pracy? Co z kontynuacją kariery w firmie, skoro nie mamy osobistego kontaktu z przełożonymi? Pytania można mnożyć, ale odpowiedzi nie znajdziemy w rozległych zasobach polskiego prawa. Czy wszystko ma opierać się na dobrej woli pracodawcy i pracownika?

Może dobrym rozwiązaniem byłoby rozszerzenie o pracę zdalną art. 67 Kodeksu pracy? Tarcza antykryzysowa otworzyła pracodawcom możliwość czasowego delegowania pracowników do pracy w domu. Nie ma więc przeszkód, żeby uszczegółowione zasady tego rozwiązania znalazły odzwierciedlenie w przepisach.

Z każdym rokiem postęp technologiczny będzie mnożyć coraz poważniejsze wyzwania przed prawnikami. Szczegół-

nym problemem jest aksjologia. Nie ma bowiem odpowiedniej terminologii, która byłaby dostosowana do dynamicznie rozwijającej się zalgorytmizowanej rzeczywistości gospodarczej. W konsekwencji powiększają się obszary nieregulowane.

Inflacja prawa

Szanse wynikające ze wzrostu udziału automatyki, robotyzacji oraz wykorzystania nowoczesnych sposobów komunikacji są bardzo atrakcyjne dla pracowników i przedsiębiorców. Warto jednak zwrócić uwagę na pojawianie się wielu zagrożeń, które zwiększają ryzyko gospodarcze oraz mogą być okazją do nadużyć i nieuczciwych praktyk. Pandemia koronawirusa przybliżyła nas w kierunku Gig economy (gospodarki opartej na realizacji zadań i projektów), która wynika z coraz bardziej popularnego mobilnego stylu życia i możliwości pozyskiwania źródeł utrzymania z realizacji zleceń i udziału w projektach otrzymywanych od kontrahentów za pośrednictwem Internetu.

Obserwacja trendów skłania do wniosku, że Gig economy będzie odgrywać podobną rolę na rynku pracy jak dzisiaj zatrudnienie etatowe. Nadchodzi więc potężna zmiana jakościowa. Tymczasem prawnicy nie wiedzą, jakie założenia prawne mają towarzyszyć nowym technologiom. A żeby coś usankcjonować prawnie, najpierw należy wiedzieć, co chce się osiągnąć. Próby regulacji wszystkiego, jak na przykład nieszczęsne RODO, prowadzą do niebezpiecznej inflacji prawa i obnażają słabość biurokratycznych elit.

Polskie społeczeństwo jest gotowe na cyfryzację

Polskie firmy nie mają się czego wstydzić, ale musimy mieć świadomość, że pod względem możliwości dla przemysłu i biznesu prawdziwa rewolucja nadejdzie wraz z upowszechnieniem technologii 5G. Dlatego obecny poziom cyfryzacji stanowi jedynie punkt startowy - mówi Radosław Kędzia, wiceprezes Huawei w regionie Europy Środkowo-Wschodniej i krajach nordyckich.

Rozmawiał Krzysztof Budka

Jak bardzo pandemia koronawirusa wymusi przyspieszenie procesu cyfryzacji w naszym kraju? A może go spowolni?

Koronawirus, a w przypadku Polski przede wszystkim związany z nim lockdown, pokazał wszystkim, jak ważna w naszym życiu jest możliwość zdalnej komunikacji. Ruch w sieciach urosł w tym czasie o 40-70 proc, gdyż to właśnie tam przeniosła się znaczna część życia Polaków – od pracy, przez edukację, po rozrywkę i życie towarzyskie. W zasadzie z dnia na dzień okazało się także, że możliwe są zdalne lekcje, konsultacje lekarskie, czy załatwianie spraw urzędowych. Dla przykładu, w pierwszym półroczu 2020 Polacy założyli przeszło 2,6 miliona profili zaufanych – to o pół miliona więcej niż przez cały miniony rok. Pokazuje to przede

wszystkim, że nasze społeczeństwo jest w ogromnym stopniu gotowe na cyfryzację. Z drugiej strony, tak duży wzrost ruchu w sieci pokazał też dobitniej niż kiedykolwiek wcześniej, że infrastruktura telekomunikacyjna musi się stale rozwijać i modernizować. Autorzy jednej z prognoz przewidują, że do roku 2030 zapotrzebowanie na transfer danych wzrośnie w Polsce ponad 24-krotnie. Jednocześnie wielu ekspertów alarmuje, że już w najbliższym czasie grozi nam „zatkanie” mobilnego internetu 4G/LTE. Operatorzy oraz my, jako dostawca infrastruktury, jesteśmy w pełni gotowi, aby poprawić tę sytuację, wdrażając sieci 5G.

Jak Polska, a szczególnie nasz rodzimy sektor MŚP, prezentuje się pod względem cy-

fryzacji na tle innych krajów europejskich o podobnym potencjale gospodarczym?

Polskie firmy nie mają się czego wstydzić, ale musimy mieć świadomość, że pod względem możliwości dla przemysłu i biznesu prawdziwa rewolucja nadejdzie wraz z upowszechnieniem technologii 5G. Dlatego obecny poziom cyfryzacji stanowi jedynie punkt startowy. Ci, którzy jako pierwsi zaczną na szeroką skalę implementować rozwiązania oparte na możliwościach, jakie daje 5G, staną się liderami na najbliższe lata – podobnie jak Amazon, Google czy Facebook wybiły się w ciągu ostatnich lat na rozwiązaniach opartych na 4G. Jestem przekonany, że polskie firmy mają olbrzymi potencjał, aby wykorzystać szansę, która przed nimi stoi.

Jak ocenia Pan przygotowanie naszego kraju do wdrożenia 5G?

Choć aukcję na częstotliwości komercyjne odwołano, minister cyfryzacji zapewnia, że 5G zostanie wdrożone do końca roku zgodnie z unijnymi planami. I jestem przekonany, że tak będzie. Obecnie wszyscy najwięksi operatorzy ogłosili już uruchomienie sieci 5G na częstotliwościach, które przyznano im do wykorzystania przy 4G. Dobitnie pokazuje to ich determinację do zaimplementowania rozwiązań najnowszej generacji. Musimy pamiętać, że bez rozdysponowanych dedykowanych sieci 5G pasm udostępniona zostaje odbiorcom tylko namiastka możliwości, jakie daje ta technologia. Zarówno my, jako dostawca sprzętu, jak i operatorzy, jesteśmy gotowi wdrażać 5G w Polsce niemal natych-

Jestem przekonany, że polskie firmy mają olbrzymi potencjał, aby wykorzystać szansę, która przed nimi stoi.

miast. Czekamy wyłącznie na wyjaśnienie kwestii prawnych.

Czy, a jeśli tak, to w jakim stopniu, 5G stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa i jego obywateli, jak usiłują przekonywać przeciwnicy tego typu rozwiązań technologicznych?

Sieć 5G została od samego początku zaprojektowana tak, aby być nie tylko szybszą i bardziej wydajną od sieci starszych generacji, ale też, co najważniejsze, bezpieczniejszą. Wierzymy, że cyberbezpieczeństwo jest kwestią czysto techniczną i można je zweryfikować, dlatego Huawei zadbał o uzyskanie dla swoich produktów uznawanych na całym świecie certyfikatów, takich jak Common Criteria na poziomie EAL4+. Proaktywnie zapraszamy laboratoria zewnętrzne do analizy bezpieczeństwa naszych urządzeń. Deklarację gotowości do współpracy złożyliśmy także na ręce dyrektora polskiego Instytutu Łączności, gdy tylko ogłoszono otwarcie Laboratorium Oceny Bezpieczeństwa Produktów Teleinformatycznych.

Który europejski kraj mógłby być wzorem dla nas w kwestii rozwoju procesu cyfryzacji?

Według przygotowanego przez Komisję Europejską rankingu

DESI, najbardziej zaawansowana pod względem cyfryzacji jest Finlandia. Jest to też jeden z europejskich krajów, w którym Huawei ma już podpisane umowy na dostawę sprzętu 5G. Tamtejszy operator, Elisa, przeszedł do testów nowej technologii w Helsinkach już na początku 2018 roku, a pod koniec 2019 roku uruchomił sieć komercyjną opartą na naszych produktach. To właśnie szybkość działania jest kluczowa, jeśli jako polskie społeczeństwo chcemy być nie tylko konsumentami dostępnych technologii, ale także ich twórcami.

Czy konflikt na linii USA-Chiny ma wpływ na pozycję Huawei w Polsce i Europie?

Donald Trump osobiście przyznał niedawno, że europejskie represje wobec Huawei są wynikiem jego polityki nacisków. Wyraźnie pokazuje to, że prowadzone przez Stany Zjednoczone działania to element politycznej gry, a nie, jak twierdzą niektórzy, przejaw troski o cyberbezpieczeństwo. Trzeba też przy tym pamiętać, że rynek dostawców usług telekomunikacyjnych jest bardzo wąski, a na bezpodstawnym wykluczeniu któregośkolwiek z dostawców finalnie stracą operatorzy i ich klienci. Instytut Oxford Economics wyliczył, że mniejsza konkurencja, opóźnienia i spadek innowacyjności wpłynęłyby na utratę w Polsce nawet 120 mln euro PKB każdego roku, prowadząc do łącznej straty rządu nawet 2,2 mld euro do 2035 roku. Czyli za działania amerykańskiego rządu Polacy zapłacą spowolnieniem gospodarczym, opóźnieniem procesów transformacji cyfrowej i podniesionymi cenami usług telekomunikacyjnych.

Jak pomóc gastronomii przetrwać koronakryzys?

Chociaż przedstawiciele branży przestrzegają przed zapaścią niedogrzanego po zdjęciu jedynie części tylko obostrzeń rynku i wtórują im ekonomiści, są pewne podstawy, by twierdzić, że placówki gastronomiczne mimo wszystko sobie poradzą. Nie zmienia to faktu, że państwo może, a nawet powinno prowadzić racjonalną politykę fiskalną i nie dokładać gastronomii nowych ciężarów.

Robert Azembski

Po ogłoszeniu zamrożenia gospodarki powiało grozą: gastronomia straciła 75 proc. obrotów, a jej czas wydawał się policzony. Szczególnie tych barów, restauracji i innych placówek gastronomicznych, które zdalny dowóz towarów traktowały tylko jako dodatkową część swojego biznesu albo nie miały go wcale. Tak wysokie spadki obrotów pozwalały przypuszczać, że bardzo wiele lokali nie przetrwa lockdownu. Tym bardziej że nie było wiadomo, jak długo epidemia potrwa.

Ta branża to głównie MŚP

Kiedy 18 maja br. kawiarnie, restauracje i inne punkty gastronomiczne otworzyły się na przyjęcie klientów, sprzedaż była niższa niż przed obostrzeniami średnio o 30 proc. Najwięcej ucierpia-

ły oczywiście te placówki, które nie zorganizowały sprzedaży zdalnej, tam zanotowano aż 50-proc. spadek.

Według raportu Związku Przedsiębiorców i Pracodawców (ZPP) także lokale, które prowadziły sprzedaż na wynos i w dowozie (w systemie tzw. delivery), osiągały niewielkie obroty, na poziomie 5–10 proc. w porównaniu z analogicznym okresem poprzedniego roku. W raporcie czytamy także, że polska gastronomia to ponad 76 tys. lokali, które generują blisko 37 mld zł dla krajowego PKB. Rynek jest zdominowany przez małych i mikro przedsiębiorców. Duże biznesy można policzyć na palcach jednej ręki. Branża gastronomiczna, w zależności od pory roku, zatrudnia blisko milion osób, głównie młodych ludzi. Niekorzystnie odbiły się na

niej zakaz handlu w niedzielę w galeriach, ostatni wzrost cen warzyw i owoców, podwyżka akcyzy na alkohol, ale i znacznie mniejszy ruch w lokalach, brak także turystów zagranicznych. A grozi jej przecież jeszcze wprowadzenie tzw. opłaty cukrowej, która jest niczym innym jak kolejnym podatkiem.

To wszystko prawda. Jednocześnie nie wolno zapominać, że branża uzyskała środki – częściowo bezzwrotne – z Tarczy Finansowej PFR. Pieniądze są wykorzystywane na utrzymanie zatrudnienia. Dostała również dopłaty do pensji pracowników, które wsparły wypłaty za okres pandemii.

W stronę konsolidacji?

Przenieśmy się na chwilę na zachód Europy. Z szacunków Unice, portugalskiej firmy obsługującej płatności bezgotówkowe, wynika, że pomimo usunięcia restrykcji dla gastronomii, obroty branży były o 60 proc. niższe wobec stanu z pierwszej połowy marca, czyli sprzed zamrożenia gospodarki. Właściciele restauracji, barów, kawiarni oraz innych punktów gastronomicznych, administracyjnie zmuszono podczas lockdownu do sprzedaży zdalnej. Kto nie chciał tego robić, musiał zawiesić lub zamknąć działalność gospodarczą.

Dopiero między 3 a 17 maja rząd Portugalii pozwolił na obsługiwanie klientów w ogródkach restauracyjnych, przy zachowaniu dwumetrowego dystansu między konsumentami. Ale niemal co trzecia restauracja już nie wróciła na rynek. Ci, którzy przetrwali, otworzyli... o 65 proc. wię-

cej placówek niż przed zamrożeniem rynku. Wygląda, jakby COVID-19 popchnął branżę do konsolidacji, wymuszając jednocześnie zmianę dominującego modelu obsługi gości na zdalną.

W trzy tygodnie po ponownym odmrożeniu włoskiego rynku restauracyjnego okazało się, że obroty były o 50 proc. niższe niż przed pandemią – podał federacja gastronomiczna Fipec. W restauracjach przychody spadły o 54 proc., w barach – prawie o połowę. W ponad 30 proc. lokali gastronomicznych pożegnano się aż z połową pracowników. Powód? Brak turystów, zwłaszcza zagranicznych.

Działalność otwartych po 4 maja restauracji i barów w Hiszpanii nie przełożyła się na wzrost ich obrotów. Przetrwali 62 proc. hiszpańskich placówek gastronomicznych, narzekając na mało klientów i niskie obroty, o połowę niższe od analogicznego okresu poprzedniego roku. Winną nie jest tym razem głównie absencja turystów. Wraz z rozluźnieniem restrykcji gastronomii przeniosła się na plaże

lub w okolice kąpielisk, do których sami krajowcy przyzwyczaili się podczas lockdownu.

Większy strach

Koronawirusowe mrożenie rynku gastronomicznego potraktowało naszych zachodnich sąsiadów brutalnie. Po części można to oczywiście przypisywać faktowi, że Włochy, Portugalia, a szczególnie Hiszpania, żyją z turystyki bardziej, niż mając dostęp do zimnego morza, mniejszej ilości walorów turystycznych i tylko części Tatr Polska, a udział w tych krajach turystyki w wytwarzaniu PKB jest wyraźnie wyższy. Może też ich ostonowe działania były mniej skuteczne od naszych tarcz? A może strach ludzi przed stołowaniem się poza domem jest jeszcze większy niż w Polsce?

To zrozumiałe, że polscy restauratorzy chcą się odbić po trzymiesięcznym zastoju. W niektórych lokalach, szczególnie sieciowych i w większych miastach, ceny wzrosły niewiele. Właściciele usprawiedliwiają podwyżki koniecznością zachowywania wciąż obowiązujących obostrzeń. Choćby zakupem dodatkowych środków sanitarnych, ale przede wszystkim ograniczeniami co do liczby gości, limitowanym i rzadszym rozstawianiem stolików.

Obowiązujące przepisy z ostatniego odmrożenia rynku gastronomicznego z 3 czerwca dopuszczają organizację imprezy dla hotelowej restauracji do 150 osób. To i tak lepiej, niż było wcześniej – do 50 osób. Nie trzeba jednak dużej wyobraźni, by rozumieć, że przychody z organizacji dużego wesela, du-

*Państwo może,
a nawet powinno
prowadzić
racjonalną
politykę fiskalną
i nie dokładać
gastronomii
nowych ciężarów.*

żej gali czy innego eventu na kilkaset osób są całkiem inne. Zdecydowanie wyższe.

Zmniejszyć VAT

Analizując dane Eurostatu za 2019 roku, widać, że w polskich restauracjach ceny sięgnęły 75 proc. średniej europejskiej. To dużo. Szczególnie biorąc pod uwagę mniejszą wartość nabywczą średniej pensji Polaka. Nie wszyscy polscy restauratorzy są powściągliwi w ustalaniu cen. Pieniądże z tarcz zostały wzięte. Znad polskiego morza i polskich gór dochodzą wieści o horrendalnych rachunkach potwierdzonych dowodami w postaci paragonów. Tak drogo jeszcze nie było!

Cóż, niektóre lokale w taki właśnie sposób próbują wykorzystać swoje pięć minut, jakie przyniósł sezon wakacyjny. Na szczęście w taki sposób nie działa cała branża. Pozostaje wiele lokali, które nie mają komfortu tłumy turystów i dla których każda pomoc, każda ulga, będzie na wagę złota. Przedstawiciele sektora gastronomicznego słusznie zwracają uwagę, by nie spoglądać na całą branżę przez pryzmat praktyk tylko tych przedsiębiorców, którzy wykorzystując sytuację, windują ceny do horrendalnych rozmiarów.

W liście otwartym do premiera ZPP zawarł apel o wprowadzenie jednolitej, 8-proc. stawki VAT na wszystkie usługi gastronomiczne. „Na razie recesja w Polsce jest stosunkowo płytka, dzięki postawie polskich przedsiębiorców i adekwatnemu rządowemu wsparciu, przede wszystkim w postaci Tarczy Płynnościowej PFR. Gospodarka na tle innych krajów OECD prezentuje



ok 15 proc. restauracji prawdopodobnie padło

się nieźle – niemniej w niektórych sektorach, najbardziej dotkniętych przez pandemię, sytuacja jest trudna (...) Polscy restauratorzy i kucharze konsekwentnie odbudowują, totalnie zniszczoną przez komunistów, polską gastronomię. Szkoda to stracić i cofnąć się dekadę wstecz. Potrzebna jest szybka pomoc” – argumentuje prezes ZPP Cezary Kaźmierczak.

Propozycja ZPP uporządkowałaby podatki i na pewno pomogła sektorowi gastronomicznemu. Bo pomimo odmrożenia restauracji, klienci omijają lokale. Faktem jest też, że od początku czerwca u naszych niemieckich sąsiadów obniżono podatek VAT (Mehrwertsteuer) z 7 do 5 proc., m.in. na jedzenie na wynos, do hoteli i restauracji. – Jeśli Niemcy mogły obniżyć stawkę VAT na alkohol z 19 do 16 proc., znaczy, że pozostałe państwa członkowskie mogą zrobić to samo – uważa sekretarz ge-

neralny The Brewers of Europe, Pierre-Olivier Bergeron w wywiadzie dla portalu informacyjnego EURACTIV.

Marża da się operować

Na razie jednak jest, jak jest. Restauratorzy mogliby pochylić się we własnym zakresie nad stosowanymi przez siebie marżami. Marża gastronomiczna dodawana jest do kosztu wytworzenia porcji potrawy czy jednostki wyrobu gastronomicznego, np. 1 kg szynki, do ceny zakupu towarów sprzedawanych w formie nieporcjowanej, np. butelki piwa lub porcjowanej (np. szklanki soku) czy do kosztu zestawu przygotowanego na imprezę. Marżę można operować. Nie jest to wielkość stała, tylko procentowo określana i zależy głównie od szerokości oferty gastronomicznej, jakości obsługi i lokalizacji lokalu gastronomicznego, czyli tzw. kryteriów miękkich. Generalnie im mniejsza konkurencja, tym można (ale nie trzeba) naliczać wyższą marżę.

Według badań portalu branżowego POSbistro, ok. 20 proc. aktywnych przed pandemią polskich restauracji prawdopodobnie padło. Konkurencja osłabła. Jest więc pole do utrzymania marż na akceptowalnym dla klientów poziomie, bo marże wpływają przecież na cenę netto gastronomicznej usługi. Zbyt duże ceny odstraszały gości równie skutecznie co koronawirus.

Lipiec i sierpień to dwa miesiące największego sezonu turystycznego. To zazwyczaj jest dobry czas dla branży gastronomicznej. W tym roku niestety nie musi taki być, warto więc pochylić się nad postulatami tej branży.



Piotr Hofman

Nie ma piskląt bez gniazda

Jeśli chodzi o kwestie gospodarcze, pod wieloma względami doganiamy Zachód. Są jednak i takie wskaźniki, które pokazują, jak długa droga jeszcze przed nami, aby osiągnąć poziom życia najbogatszych krajów. Takim parametrem jest liczba mieszkań na 1000 mieszkańców.

W Polsce wynosi on około 370 i jesteśmy pod tym względem zdecydowanie w tyle, w porównaniu nie tylko do państw tzw. Starej Unii. Wypadamy gorzej nawet od Czech czy Węgier, tam ta zmienna waha się między 450 a 460 mieszkań na 1000 osób. Lata świetlne dzielą nas zaś od Niemiec czy Francji, gdzie omawiany wskaźnik przekracza wartość 500.

Brak mieszkań to wciąż poważna bariera rozwojowa. Przekłada się ona nie tylko na dobrostan obywateli naszego kraju. Oddziałuje także na tak ważną kwestię, jaką jest przyrost naturalny. Znane powiedzenie mówi, że nie ma piskląt bez gniazda. I trudno się z tym nie zgodzić. Własne „M” to poczucie bezpieczeństwa i komfort pozwalający myśleć o powiększeniu rodziny. Tymczasem w Polsce wciąż mieszkań jest za mało. Bez rozwiązania tego

problemu możemy mieć poważne kłopoty z przewyższeniem innych trudności, jakie trapią polskie społeczeństwo. Z tą najbardziej dotkliwą, jaką jest niski wskaźnik dzietności. Nie można zatem tej kwestii traktować jedynie z perspektywy tego czy innego rynku, to sprawa o fundamentalnym charakterze.

Z jednej strony wciąż słyszymy o tym, że są kolejne plany związane z poprawą tej sytuacji. Należy docenić starania i trafić diagnozę, jaką wobec zaistniałego stanu rzeczy stawia obecny rząd. Niemniej najważniejsze są konkretne liczby, to do nich powinniśmy się odnosić. I niestety wciąż nie wygląda to najlepiej. Budownictwo mieszkaniowe to wyzwanie o charakterze cywilizacyjnym, rynek ma tutaj oczywiście ważną rolę do odegrania. Jednak bez mechanizmów wsparcia ze strony państwa możemy kolejne lata dreptać w miejscu. Potrzebny jest zatem odważny plan dla rozwoju mieszkalnictwa w Polsce. Mówi o tym wicepremier Jadwiga Emilewicz, wskazując, że takie prace już się toczą i niedługo możemy spodziewać się konkretów.

Strategii potrzebuje całe polskie budownictwo, zarówno to

mieszkaniowe, jak i drogowe. Branża podlega silnym wahaniom cyklicznym, jest mocno uzależniona od środków napływających z Unii Europejskiej. To zaś wpływa na skokowe zmiany cen, okresowy i dotkliwy brak rąk do pracy oraz trudności w dostępie do materiałów budowlanych. W konsekwencji wzrasta także ryzyko podmiotów współpracujących z branżą, np. deweloperów. Cierpi na tym także państwo, które ma trudności ze znalezieniem wykonawców, którzy chcieliby realizować zaplanowane projekty według proponowanych kosztorysów.

Najbliższe lata mają być okresem wielkich inwestycji infrastrukturalnych. Bardzo ich potrzebujemy i należy mieć nadzieję, że te plany zostaną z powiedzeniem wcielone w życie. Nie można jednak zapominać o mieszkalnictwie. To temat, który dotyczy milionów Polaków, często nie mogących liczyć na własne cztery kąty i przez to wstrzymujących się z powiększeniem rodziny. W tym obszarze potrzebna jest efektywna współpraca na linii państwo – biznes. Jej podjęcie to jedno z najważniejszych zadań dla obu stron w najbliższym czasie.



POLSKI SPOSÓB na oczyszczenie wybrzeża Bałtyku

Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że obecnie Bałtyk jest jednym z najbardziej obciążonych transportowo akwenów morskich na świecie. Musimy uświadomić urzędy morskie i zarządy portów, aby przestały traktować niewybuchy jak przeszkody przy inwestycjach, tylko zaczęły podchodzić do nich jak do problemu, który należy rozwiązać dedykowanym projektem – mówi Łukasz Porzuczek, prezes zarządu GeoFusion sp. z o.o.

Czym jest kłaster „Grupa Bezpieczny Bałtyk”?

To oddolna inicjatywa środowiska biznesowego, któremu bliskie są problemy Morza Bałtyckiego, a szczególnie jego ekosystemu. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że obecnie Bałtyk jest jednym z najbardziej obciążonych transportowo akwenów morskich na świecie. Głównym celem klastra jest zapewnienie szeroko rozumianego bezpieczeństwa poprzez zminimalizowanie lub likwidację zagrożeń ze strony zatopionej broni konwencjonalnej i chemicznej oraz zagrożeń ze strony paliw zalegających w zatopionych wrakach. Uroczennienie klastra nastąpiło w lutym tego roku. W jego skład weszło pięć polskich firm, w tym moja spółka GeoFusion, oraz Regionalna Izba Gospodarcza Pomorza, która pełni rolę operatora klastra.

Jak pod względem bezpieczeństwa wygląda polskie wybrzeże Bałtyku?

Dwa miesiące temu na jednej z plaż znaleźliśmy torpedę G7a. Sama głowica tej torpedy waży 280 kg. Torpeda znajdowała się 40 cm pod piaskiem. To nie jest żaden wyjątek. Od takich rzeczy, czyli broni konwencjonalnej, niestety roi się na polskim wybrzeżu Bałtyku. Zresztą nie tylko od takiej. Od kilku lat czyniłem starania o pozyskanie środków unijnych na mój autorski projekt, czyli „Budowę systemu poszukiwania i utylizacji broni chemicznej zatopionej w Morzu Bałtyckim”. I te środki udało mi się pozyskać. Broni chemicznej niestety też jest bardzo dużo. Moja firma cały czas się rozwija, szczególnie pod względem technologicznym. Chcemy pokazywać, jak identyfikować zagrożenie, tworzyć technologie, które temu

służą, a także edukować pod tym względem zarządy portów morskich, bo tu jest ogromne pole do działania. Właśnie w kwestii edukacji.

Dlaczego?

Problem polega na tym, że jak na razie tego typu prace wykonywane są niejako przy okazji. Na przykład przy projektach związanych z umocnieniem brzegów są oczyszczane z niewybuchów tylko obszary pod te konkretne inwestycje, co stanowi ledwie promil całego naszego wybrzeża i w żaden sposób nie rozwiązuje problemu, tylko sygnalizuje, że ten problem jest. Jeżeli na tak małych obszarach znajdujemy tak dużą liczbę tego typu obiektów, można sobie tylko wyobrazić, co zalega na całym polskim wybrzeżu. Pomijam nadzór nad jakością tych prac, bardziej chodzi nam o to w naszym programie edukacyjnym, żeby uświadomić urzędy morskie i zarządy portów, aby przestały traktować niewybuchy jak przeszkody przy inwestycjach, tylko zaczęły podchodzić do tych niewybuchów jak do problemu, który należy rozwiązać dedykowanym projektem.

Kampania przynosi efekty?

Raz z większym, innym razem z mniejszym skutkiem, ale powoli zaczyna przynosić. Moje przedsiębiorstwo, i nie ma w tym cienia przesady, jest w Polsce liderem, jeśli chodzi o rynek realnych prac podwodnych. Na dziś jesteśmy jedyną polską firmą, która dostała w całości do oczyszczania odcinek w jednej ze sztandarowych inwestycji, jaką jest pogłębianie toru Szczecin–Swinoujście. Pozostałe fragmenty tego typu robót generalny wykonawca powierzył firmom zagranicznym. Polskim podwykonawcom dawał do realizacji jedynie małe fragmenty. Moja firma dostała natomiast całą sekcję. Było to możliwe tylko dlatego, że przeszliśmy weryfikację co do jakości technologii, jaką dysponujemy. Jako jedna z dwóch polskich firm mamy też podpisane kontrakty na kompleksowe badania farm wiatrowych na Bałtyku. W ramach wspomnianego klastra „Grupa Bezpieczny Bałtyk” chcemy stworzyć grupę firm, która będzie w stanie konkurować, oczywiście mierząc siły na zamiary, z zachodnimi firmami.

Niemcy przygotowują się do projektu wartego kilka miliardów euro, czyli usunięcia wszystkich niewybuchów ze swoich wód terytorialnych. Powinniśmy w Polsce zrobić to samo? Stać nas na to?

Oczywiście. Im szybciej, tym lepiej. Pod względem technologicznym stać nas na to, żebyśmy wzię-

li udział w przetargach dotyczących tego przedsięwzięcia. Wiadomo, że na niemieckim rynku funkcjonują firmy, które latami budowały pozycję i kapitał. Ale my też bardzo dynamicznie się rozwijamy i z całą pewnością nie mamy się czego wstydzić. Chciałbym namówić Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej, Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska oraz urzędy morskie na taki projekt jak w Niemczech, czyli przygotować projekt środowiskowy, którego celem będzie najpierw zmapowanie i zeskanowanie całego polskiego wybrzeża – plaż oraz terenów o długości 5 km w głąb morza, a następnie systematyczne oczyszczanie tego całego obszaru.

Jak długo trwałby taki proces oczyszczenia całego polskiego wybrzeża?

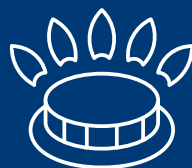
Dokładny skan całego wybrzeża jesteśmy w stanie zrobić w trzy lata. Koszt – ok. 400 mln zł. Natomiast czas oczyszczania zależy oczywiście od wyników skanów. Dopiero wówczas wiedzielibyśmy dokładnie, ile tego wszystkiego tkwi pod ziemią i na dnie. Czy jest sens z tym czekać? Moim zdaniem nie. Taki projekt „Grupa Bezpieczny Bałtyk” już teraz jesteśmy w stanie zacząć realizować.

Wspominał Pan, iż pańska firma, jako lider klastra, otrzymała dofinansowanie na projekt związany z bronią chemiczną. Proszę przybliżyć, o co chodzi.

Grupa Geofusion otrzymała dofinansowanie z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju w wysokości niemal 20 mln zł na budowę systemu poszukiwania, podejmowania i utylizacji broni chemicznej. Celem tego projektu jest zbudowanie kompleksowego systemu, który będzie można montować na odpowiednich statkach. System taki po zakończeniu tego projektu i przeprowadzeniu procesów komercjalizacji będzie mógł przystąpić do fizycznego oczyszczania Bałtyku. Tak więc nie jest to tylko projekt mówiący o kolejnym badaniu zagrożenia. My już wiemy, że to zagrożenie istnieje i chcemy w sposób fizyczny i konkretny je rozwiązać. Do tej pory zajmowaliśmy się głównie w branży saperskiej usuwaniem niewybuchów i niewypałów z obszarów morskich, portowych i przybrzeżnych, więc z mojego punktu widzenia jest to naturalny kierunek rozwoju firmy. Dodam, że ten projekt jest unikatem nie tylko w skali Polski, ale i w skali świata.

MATERIAŁ PRZYGOTOWANY WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

Jesteśmy blisko Ciebie



Dbamy
o bezpieczeństwo
energetyczne
Polaków



Zapewniamy
niskie ceny gazu
dla gospodarstw
domowych



DOBRA ENERGIA
TANI GAZ